HAZARD NA DŁONI
Jak uzależniają gry mobilne

REGUŁY TALIBÓW
Paweł Pieniążek z Afganistanu

MICHAŁ HELLER
Wszechświat to za mało

WIELKI PRZEGRYW
Narodowe nieczytanie Norwida

IŚĆ TO ŻYĆ
Długie dystanse Łukasza Supergana

Kraków 26 września 2021 nr 39 (3768) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

UPADEK POLSKICH DOMINIKANÓW

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

AFGANISTAN, HAITI, SOMALIA SUDAN POŁUDNIOWY, JEMEN...

pomoc cierpiącym w wyniku kataklizmów i konfliktów jest **w naszych rękach**

Wesprzyj działania Polskiej Akcji Humanitarnej

WPŁAĆ: **www.pah.org.pl/wplac**
Nr konta: 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772
(Alior Bank S.A.)
Tytuł wpłaty: Pomoc Humanitarna TP

pah
Polska Akcja Humanitarna

KS. ADAM

Boniecki: *Raport*

Piszę na marginesie raportu Komisji Terlikowskiego i przedstawionej w nim sprawy dominikanina Pawła M., o czym obszernie opowiada aktualny „Temat Tygodnika". Raport jest wnikliwym studium konkretnego przypadku i ma m.in. na celu zbadanie i ujawnienie nieprawidłowości funkcjonowania wspólnoty dominikanów, które stworzyły dla Pawła M. przestrzeń dla jego patologicznej działalności, nie chroniąc wiernych przed manipulacją i krzywdą z jego strony. Dokument zaprzecza opiniom tych, którzy – prawdopodobnie znając go fragmentarycznie lub tylko na bazie prasowych relacji – uznali, że cała odpowiedzialność za to, co się działo w roku 2000 i potem, obciąża ówczesnego prowincjała o. Macieja Ziębę OP, ewentualnie, w mniejszym zakresie, jego następców. Owszem, raport jest co do roli o. Zięby jednoznaczny – ale też pozwala zrozumieć złożoność sprawy, która „jest wytworem kultury życia wspólnotowego w Zakonie, jego demokracji i sposobu przeżywania braterstwa (...) w konkretnych wspólnotach".

W miarę, jak czytałem ten klarowny i rzeczowy dokument, coraz wyraźniej jawiło mi się w głowie skojarzenie z tym, co wielu autorów opisuje w psychologii jako „psychopatyczne zaburzenia osobowości". Istnieje kilka przejawów owej przypadłości: powierzchowny urok, zawyżona, nieadekwatna samoocena, brak empatii i wyrzutów sumienia, manipulowanie i skłonność do oszustwa, zachowania antyspołeczne w dorosłości, impulsywność, słaba kontrola zachowania, brak odpowiedzialności. Oczywiście nie chcę tu diagnozować Pawła M., bo to zadanie dla profesjonalistów, ale trudno mi nie zauważyć, jaka postać wyłania się z raportu.

Równocześnie jawi mi się w głowie cytat z „Traktatu Moralnego" Czesława Miłosza: „Nie sądź poza tym zbyt pochopnie, / Bo różne są obłędu stopnie / I z chęcią czy też mimo chęci, / Wszyscy jesteśmy nim objęci. / Tak się ten przykry sens odsłania: / Obłęd dziś ceną jest działania / I chyba tylko eremita, / Co w wieży Augustyna czyta, / Sądzi, że umknąć mu się uda". Oczywiście „obłęd" to nieadekwatne dziś słowo i, na szczęście, nie wszyscy są „nim objęci" – ale czy nie nazbyt często, na mniej lub bardziej eksponowanych pozycjach władzy, zarówno formalnej, hierarchicznej, jak i tej nieformalnej, emocjonalnej, a także duchowej – trafiamy na pociągających swym urokiem manipulatorów, diabolicznie inteligentnych, narcystycznie bezwzględnych, wpisujących się w powyższą charakterystykę osobników? Oczywiście, „różne są obłędu stopnie"...

Komentowanie sytuacji dominikanów zostawiam innym. Mnie interesują rekomendacje Komisji. Jest ich sporo, są dość obszerne, szczegółowe i obejmują kilkanaście aspektów. Komisja wskazuje na braki wymagające zmiany: niekompetencja w sprawach prawnych, przedkładanie „chwalebnej legendy" [o dominikanach] nad „niewygodne fakty", brak konsekwentnego wdrażania dekretów oraz superwizji ukaranych, nieumiejętność identyfikacji nieprawidłowości, bagatelizowanie problemów, niewłaściwe podejście do poszkodowanych, wyjątkową pozycję w zakonie niektórych braci, „walkę z..." zamiast „troski o...", nieprawidłowe zasady działania grup duszpasterskich, jakość formacji (m.in. niemerytoryczne decyzje o dopuszczaniu do dalszej formacji), brak efektywnej superwizji po święceniach, niejasny podział władzy i unikanie odpowiedzialności, wreszcie spory wewnętrzne i walka o władzę.

Rekomendacje odnoszą się do konkretnej społeczności zakonnej, jednak można je czytać znacznie szerzej. Każą one spokojnie i rzeczowo z przedstawionego w raporcie dramatu wyciągnąć naukę, jak redukować „zasięg obłędu" – jak nie stwarzać takim ludziom przestrzeni do niszczycielskiego manipulowania innymi. Zwłaszcza w Kościele. ©℗

Licząc się ze skutkami, jakie może wywołać publikacja raportu komisji dominikańskiej, **Inicjatywa „Zranieni w Kościele"** zdecydowała o uruchomieniu programu wsparcia kryzysowego.

Od środy 15 września aż do niedzieli 26 września codziennie między godziną 19.00 a 22.00 pod numerem **800 280 900** dyżurować będą psychoterapeuci Inicjatywy „Zranieni w Kościele".

Zapraszamy do kontaktu.

ZRANIENI W KOŚCIELE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Zapłać i wygraj
KRZYSZTOF STORY
W klasyfikacji chorób pojawiły się „zaburzenia związane z grami". Na smartfonie systematycznie gra już ponad 2,5 mld ludzi.

32 Czy naprawdę jesteśmy bezsilni
CORDIAN SZWARC, FRANCISZKANIN, WICESZEF CARITASU:
Przez lata rozwoju cywilizacyjnego nie wykształciliśmy skutecznych metod pomocy potrzebującym.

45 Strach jest głównym prawodawcą
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z AFGANISTANU
Mieszkańcy Kabulu wciąż nie mają pewności, na co mogą sobie pozwolić pod rządami talibów.

58 Wszechświat to za mało
PROF. MICHAŁ HELLER, KOSMOLOG:
Nasze istnienie nakłada bardzo ścisłe ograniczenia na warunki początkowe wszechświata i na wartości stałych fizycznych.

68 Nie widzę siebie w czerni
MAŁGORZATA MIRGA-TAS:
Powstały nowe miejsca poświęcone romskiej kulturze. Przede wszystkim zmieniło się jednak nastawienie społeczeństwa. Stało się wrażliwsze na to, jak powinno się nas odbierać i jak o nas mówić.

78 Prędkość idealna
ŁUKASZ SUPERGAN, PODRÓŻNIK:
Dystans z Warszawy do Poznania, który przeszedłem w dziesięć dni, samochodem można pokonać w trzy godziny. Ale wtedy widzisz głównie ekrany.

ALESSANDRO BIASCIOLI / ADOBE STOCK // CARITAS POLSKA // JACEK TARAN // ALEKSANDRA WIERZBOWSKA // ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 AUKUS kontra Pekin
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Zapłać i wygraj
KRZYSZTOF STORY

26 Pracownik w ciemnym zaułku
PIOTR WÓJCIK: *Pomimo rekordowo niskiego bezrobocia polski rynek pracy przypomina bardziej Rosję niż Niemcy*

28 Dorośli i tak nie słuchają
ROZMOWA Z MARIĄ REIMANN, ANTROPOLOŻKĄ:
Główną emocją, którą dzieci odczuwały podczas lockdownu, była tęskota za innymi dziećmi

WIARA

32 Czy naprawdę jesteśmy bezsilni
ROZMOWA Z BRATEM CORDIANEM SZWARCEM

36 Kapelan niewierzących
MARTA ZDZIEBORSKA *o nowym koordynatorze zespołu kapelanów Uniwersytetu Harvarda*

38 Nikt mi życia nie odbiera
WACŁAW OSZAJCA:
Słowem, które najlepiej oddaje katolicką tożsamość, jest „ofiara”

ŚWIAT

42 Olaf silny błędami rywali
ŁUKASZ GRAJEWSKI
o zaskakującym finale wyborów do Bundestagu

45 Strach jest głównym prawodawcą
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z AFGANISTANU

TEMAT TYGODNIKA

ARTUR PAWŁOWSKI / REPORTER

12 Pustka po Bogu
SEBASTIAN DUDA
W sprawie dominikanina Pawła M. kluczowe pytanie brzmi: jak to możliwe, że bezkarnie krzywdził tak wiele osób przez tyle lat.

17 Pokrzywdzonych może być więcej
ROZMOWA Z TOMASZEM TERLIKOWSKIM, SZEFEM KOMISJI BADAJĄCEJ PRZYPADEK PAWŁA M.
Najgorsza jest bezsilność wobec cierpienia i bólu konkretnych osób.

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
FOTO: ROMAN JOCHER / AG // MONTAŻ TP-ONLINE

Redaktor prowadzący:
MAREK RABIJ

48 „Zrobiłby znów to samo”
MARTA ZDZIEBORSKA:
Postępowanie sądowe oskarżonych o zamachy z 11 września jest już jednym z najdłuższych w historii USA – a sam proces jeszcze się nawet nie zaczął

50 Ostatni bój majora Dewana
PATRYCJA BUKALSKA *o strajku Gurkhów służących w brytyjskiej armii*

HISTORIA

54 „Wilk” w klatce
KRZYSZTOF TARKA:
70 lat temu w mokotowskim więzieniu zmarł legendarny dowódca AK na Wileńszczyźnie

NAUKA

58 Wszechświat to za mało
ROZMOWA Z KS. PROF. MICHAŁEM HELLEREM, KOSMOLOGIEM

KULTURA

64 Wielki przegryw
ELIZA KĄCKA:
Na salonach Cyprian Kamil Norwid ciekawy jest głównie jako kochanek wielkiej damy. Celebryci kultury nazwyczajniej się nim bawią

68 Nie widzę siebie w czerni
ROZMOWA Z ARTYSTKĄ I AKTYWISTKĄ MAŁGORZATĄ MIRGĄ-TAS

72 Pokłon żurawiom
KRZYSZTOF CZYŻEWSKI *wspomina zmarłego w sierpniu Jaana Kaplinskiego*

74 Ciało pedagogiczne
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Niefortunny numerek lub szalone porno”*

76 Pamięć i więź
LEKTOR *o książce Henryka Wujca „Nadać sens temu światu. Felietony, wiersze, wspomnienia”*

ZMYSŁY

78 Prędkość idealna
ROZMOWA Z ŁUKASZEM SUPERGANEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
W zakończonych 19 września wyborach do rosyjskiej Dumy zwyciężył obóz rządzący. Trudno mówić o zaskoczeniu. Wątpliwości budzi za to ich przebieg – więcej w serwisie **ANNY ŁABUSZEWSKIEJ** tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]
Dlaczego elementem legendy Elżbiety Węgierskiej jest przedstawienie krucyfiksu w łóżku i kim był złowieszczy Konrad z Marburga biczujący Elżbietę?
Na podkast zaprasza **MAGDALENA ŁANUSZKA** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

AUKUS KONTRA PEKIN

To jedno z najważniejszych wydarzeń w sferze polityczno-militarnej ostatnich 30 lat. Nie tylko dla Azji, także dla świata.

WOJCIECH PIĘCIAK

Nowy pakt zaistniał na mapie globu: 15 września przywódcy USA, Australii i Wielkiej Brytanii ogłosili zawarcie sojuszu polityczno-obronnego, którego celem jest – jak deklarowali – zachowanie stabilności, pokoju i „porządku opartego na regułach" w rejonie Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Joe Biden, Scott Morrison i Boris Johnson nie kryją, że to odpowiedź na agresywne poczynania Chin. Poczynania, których skutki odczuwa również Australia, kraj do niedawna silnie związany gospodarczo z Chinami (40 proc. jej eksportu trafiało do Chin). W odpowiedzi na politykę rządu w Canberze – jak postulat do WHO, by szukać chińskich źródeł pandemii, wycofanie się z systemu 5G firmy Huawei i ograniczenie chińskiej infiltracji – Pekin nałożył na Australię bolesne sankcje, by zmusić ją do uległości.

Istota nowego paktu wykracza jednak poza napięcia chińsko-australijskie. Zapewniając bezpieczeństwo Australii (nienależącej do NATO), wpisuje się on w strategię prezydenta Bidena, którego priorytetem jest budowa szerokiej koalicji, by stawić czoło polityczno-technologiczno-militarnej ekspansji Pekinu. Nic dziwnego, że ten reaguje gwałtownie, choć na razie niezbornie – dla Chińczyków to jednak zaskoczenie. Zresztą nie tylko dla nich: media podają, że powstanie nowego paktu – będzie nosić nazwę AUKUS (to połączenie angielskich skrótów na określenie tych krajów: AU, UK i US) – negocjo-

Joe Biden ogłasza powstanie paktu AUKUS podczas telekonferencji z udziałem premierów Australii Scotta Morrisona (z lewej) i Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona, 15 września 2021 r.

wano od dawna w ścisłej tajemnicy. Nie wiedzieli i wrogowie, i partnerzy.

Niemal równocześnie z proklamowaniem nowego paktu ogłoszono też jego pierwsze konkretne posunięcie: Australia, która od lat planuje budowę flotylli nowoczesnych okrętów podwodnych – w jej przypadku to niezbędny typ broni, jeśli chce się zapewnić bezpieczeństwo w swoim otoczeniu i tej części świata – pozyska od Waszyngtonu i Londynu technologię, która pozwoli jej budować okręty podwodne o napędzie atomowym (mowa jest o ośmiu), a także uzbrojenie do nich (pociski samosterujące Tomahawk). Podkreślono, że okręty nie będą wyposażone w broń atomową (Canberra nie ma w ogóle takiej broni).

Australijczycy są zdeterminowani: aby postawić na ten sojusz z USA, musieli wypowiedzieć – co uczynili także w ubiegłym tygodniu – zawarty w 2016 r. „kontrakt stulecia" z Francją. Zakładał on, że za sumę 56 mld euro francuski przemysł stoczniowy zbuduje dla nich dwanaście okrętów podwodnych z napędem konwencjonalnym. Zrywając tę umowę, Canberra ryzykuje finansowo (Francja może żądać zadośćuczynienia) i politycznie: rząd w Paryżu zareagował szczerym oburzeniem (zważywszy, o jakie pieniądze chodzi, poniekąd zrozumiałym) i odwołał swoich ambasadorów w USA i Australii „na konsultacje".

Nowy pakt to punkt zwrotny dla architektury bezpieczeństwa w Azji i jedno z najważniejszych wydarzeń w obszarze polityczno-militarnym ostatnich 30 lat. Pakt AUKUS uświadamia, jak poważnie Stany traktują chińskie wyzwanie. Pytanie, jak wpłynie on na kondycję Zachodu jako całości, w tym na relacje między USA i Europą – np. jeśli Francja będzie eskalować spór o kontrakt.

Warto zauważyć, że Australia inwestuje w sojusz z USA w podobny sposób jak Polska: również poprzez postawienie na amerykańską technikę i związane z tym wydatki (być może porównywalne z tymi z kontraktu francuskiego). Podobnie jak Polska, rząd Australii wyraża też oczekiwanie, że Stany zwiększą obecność wojskową w tym kraju pod postacią stałych baz (obecnie kilkuset żołnierzy USA stacjonuje rotacyjnie w bazie w Darwin). Sekretarze stanu i obrony USA potwierdzili już, że Ameryka ma takie plany. ©℗

BRENDAN SMIALOWSKI / AFP / EAST NEWS

Stan słabości państwa

MARCIN ŻYŁA

Zakończyły się rosyjsko-białoruskie ćwiczenia wojskowe Zapad 2021, w dotychczasowych wypowiedziach premiera jeden z powodów wprowadzenia 2 września stanu wyjątkowego w pasie przygranicznym. Wiele wskazuje na to, że w tym tygodniu rząd przedłuży go o kolejny miesiąc. Co takiego dzieje się na granicy białoruskiej, z czym państwo nie umie sobie poradzić przy pomocy zwykłych środków?

Podczas poniedziałkowej konferencji prasowej premier i szef MSWiA usiłowali przekonać, że chodzi o coś innego niż uniemożliwienie pracy dziennikarzom relacjonującym kryzys migracyjny. W pierwszych dziewiętnastu dniach września służby zanotowały ponad 4 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy (liczba ta obejmuje także osoby, które cały czas znajdowały się po stronie białoruskiej); Mińsk uruchamia loty międzynarodowe do przygranicznego Grodna oraz znosi wizy m.in. dla obywateli Jordanii i Pakistanu, państw, które w topornym, odczłowieczającym języku używanym przez ministra Kamińskiego są „rezerwuarami uchodźców". To, zdaniem władz, wystarczające argumenty na rzecz stanu wyjątkowego. Nad granicę trafi więc teraz pięciuset dodatkowych żołnierzy – i ani jeden dziennikarz.

W 32-letniej historii demokratycznej Polski nie było innego momentu, gdy państwo, mocą swoich instytucji i służb, decydowało o wymazaniu ludzi. Bo w praktyce właśnie wymazywaniem ludzi i ich historii jest otoczenie pogranicza kordonem oraz urwanie relacji pokazujących rzeczywistość migrantów – tę nieco poznaną, jak w przypadku grupy Afgańczyków spod Usnarza Górnego, lub tę, której możemy nie poznać nigdy. Za kurtyną stanu wyjątkowego rozgrywają się tragedie, a obóz rządzący – który kiedyś graniem lękiem i nienawiścią wobec uchodźców i migrantów zdobywał popularność – ma mizerną legitymację do decydowania, co powinno, a co nie, być nam znad granicy pokazywane. Śmierć trzech osób, które prawdopodobnie z powodu hipotermii zmarły już na terytorium Polski, to smutny prognostyk na kolejne, zimne dni.

Władza zapewnia, że Straż Graniczna i inne służby udzielają potrzebującym wszelkiej pomocy. Chcielibyśmy to zobaczyć. ©℗

Ludzie poza systemem

CZWARTA FALA covidowa rozwija się zgodnie z prognozami: w połowie września liczba dziennych zachorowań przekroczyła 500 i rośnie. Ponieważ Polska jest w ogonie Europy, gdy idzie o liczbę testów (brak aktywności rządu na tym polu to jedno z głównych strategicznych zaniedbań), bardziej miarodajnym wskaźnikiem są hospitalizacje, a te wzrosły w ciągu dwóch tygodni dwukrotnie (20 września przekraczając 1000). Według immunologa dr. Pawła Grzesiowskiego realna liczba dziennych zakażeń jest 5-6 razy wyższa niż ta wykrywana.

Pandemia nie oszczędza Polski. „Dziennik Gazeta Prawna" podaje, że jesteśmy na drugim miejscu w Europie pod względem liczby nadmiarowych zgonów (tj. powyżej średniej dla poprzednich lat): w ciągu półtora roku zmarło 140 tys. osób więcej, niż „powinno" w świetle wcześniejszych statystyk. Przypomnijmy, że covid zabija także jako czynnik blokujący system ochrony zdrowia, przez co wielu pacjentów nie może uzyskać pomocy. W 2020 r. NFZ odnotował 20 proc. mniej świadczeń medycznych niż w 2019 r., co daje wyobrażenie o skali zjawiska, które jest też jednym z największych wyzwań politycznych. Tymczasem niewiele słychać o rządowych pracach nad strategią utrzymania ciągłości świadczeń podczas czwartej fali i sytuacja może się powtórzyć.

Główny doradca premiera ds. covidu prof. Andrzej Horban uważa, że nie mamy szans na osiągnięcie odporności populacyjnej (jej wskaźnik dla wariantu Delta jest wyznaczany nawet na 90-95 proc.; w Europie rekordzistą jest Portugalia z wynikiem 82 proc. obywateli w pełni zaszczepionych). W rozmowie z TVN24 Horban to nie działalności antyszczepionkowców przypisał słaby wynik Polski (51 proc.). Podkreślił, że socjologowie szacują na 20-30 proc. odsetek społeczeństwa, które nie uczestniczy w życiu publicznym: „nie głosują, nie czytają gazet, nie oglądają telewizji, to są ludzie poza systemem".

Ale znowu: problem zdefiniowano, lecz strategii nie ma. Jedyny pomysł, jaki ma rząd na dotarcie do tej grupy z zachętą do szczepienia, to zrzucenie tego zadania na lekarzy.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Normalny parlamentaryzm

PAWEŁ BRAVO

„Otwarty parlamentaryzm": tak nazwano pakiet zmian w regulaminie Sejmu, zaproponowany przez think tank Kazimierza Michała Ujazdowskiego (dziś senatora Koalicji Polskiej/PSL). Lektura dokumentu skłania do myśli, że powinien się raczej zwać: „normalny parlamentaryzm".

Autorom chodzi o cofnięcie kilku zmian na gorsze, utrwalonych przez ostatnie dwie kadencje, które czynią z Sejmu maszynkę do głosowania i fabrykę bubli legislacyjnych przepychanych nocą. Chodzi m.in. o znaczne ograniczenie możliwości stosowania ekspresowej ścieżki legislacji oraz większe możliwości zabierania głosu przez kluby i koła na każdym etapie prac ustawodawczych. Są też propozycje istotnych innowacji, m.in. przepis, by Sejm nie mógł odrzucić obywatelskich projektów przed ich pierwszym czytaniem, a także łatwiejszy sposób organizacji wysłuchań publicznych. Ważny byłby też obowiązek przedstawiania przez premiera informacji przed i po posiedzeniach Rady Europejskiej.

Projekt nabrał ciężaru politycznego dzięki temu, że skłonna jest go poprzeć większość klubów opozycji (spotkanie temu poświęcone odbyło się z inicjatywy PSL w zeszłym tygodniu). Część propozycji Ujazdowski promował już 11 lat temu (był wtedy w PiS), w ramach „pakietu demokratycznego", o którym obecna partia rządząca zapomniała zaraz po wygraniu wyborów. ©℗

Ostatni gwizdek

MAREK LASYK / REPORTER

REPREZENTACJA POLSKI obroniła brązowy medal na mistrzostwach Europy w amp futbolu. Po wielu okazjach, niewykorzystanym rzucie karnym i nerwach do ostatniej sekundy nasza drużyna pokonała Rosjan 1:0 w meczu o trzecie miejsce.

Droga do medalu nie była prosta. Przed Euro kontuzji uległo dwóch zawodników. Tylko dzięki fizjoterapeutce Zofii Kasińskiej (jedynej kobiecie w drużynie) byli gotowi na inauguracyjny mecz z Ukrainą. To właśnie jej Kamil Grygiel zadedykował pierwszą bramkę w turnieju.

Polska przegrała 1:2 półfinałowe starcie z Hiszpanią. Gdy po ostatnim gwizdku Krystian Kapłon płakał na murawie, Hiszpanie podeszli do niego, jeszcze zanim zaczęli świętować własny awans do finału. Później utworzyli szpaler dla Polaków schodzących do szatni. To jeden z tych obrazów, który zostanie w pamięci. Podobnie jak nadzieja, że zainteresowanie amp futbolem nie minie wraz z ostatnim gwizdkiem tych mistrzostw. ©℗ ANNA DZIURDZIKOWSKA

Pełna relacja: **powszech.net/ampfutbol**

KRAJ W SKRÓCIE

NIEZWYKŁE PIRUETY
„Morawiecki zapytany ostatnio o cenę chleba wykonał niezwykłe piruety, żeby ominąć odpowiedź" – powiedział Donald Tusk na konwencji PO w Płońsku i dodał, że „zawsze jak rządzą, to jedną z konsekwencji jest to, że chleb bardzo drożeje". Jego wystąpienie – oprócz bon motów – było jednak zapowiedzią korekty partyjnego kursu; były premier mówił sporo o patriotyzmie, chrześcijaństwie i powadze instytucji państwowych.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

SMACZNE KAJZERKI
O chlebie mówi się też na lewicy. „Moi wyborcy i wyborczynie, gdzie przewyższają młode osoby, raczej nie kupują chleba, kupują bardziej bułki, bo nie chcą marnować żywności" – powiedziała w rozmowie z Polsatem posłanka Anna Maria Żukowska, sama deklarując się jako miłośniczka kajzerek.

NIEŚWIEŻE ZDANIA
„Homoseksualizm jest w znacznym stopniu zjawiskiem zaraźliwym" – mówi ojciec prezydenta RP, Jan Duda, w wywiadzie dla „Newsweeka". „Jesteśmy szantażowani praworządnością" – głosi tytuł rozmowy z europosłanką Beatą Kempą w „Do Rzeczy". Antoni Macierewicz opowiada w PAP, że przyczyną katastrofy smoleńskiej była „eksplozja, a przynajmniej dwie eksplozje". A „Gazeta Polska" dwa razy w jednym numerze drukuje artykuł „Tuskowi kończy się czas".

Nie ma komu uczyć dzieci

SKALA NIEDOBORÓW jest nieporównywalna z jakimkolwiek innym okresem w Polsce po 1989 r. – mówi „Tygodnikowi" Magdalena Kaszulanis, rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego. – Braki na początku września były zawsze, ale zwykle dotyczyły anglistów czy informatyków. Dziś mamy drugą połowę września i brakuje nauczycieli praktycznie wszystkich specjalizacji, włącznie z edukacją wczesnoszkolną. Z pracy odchodzą dobrzy, doświadczeni nauczyciele, zwykle w okolicach czterdziestki. Nowi przychodzą niechętnie: dyrektorzy mówią, że zawsze mieli pełne szuflady CV, a dziś zatrudniają każdego, kto się zgłosi.

Oficjalna skala zjawiska, tj. kilka tysięcy wakatów w skali kraju, nie oddaje według ZNP powagi sytuacji. – Dane powstają na bazie ogłoszeń o poszukiwaniu pracowników, a wielu dyrektorów w akcie desperacji przydziela nadgodziny pracującym już pedagogom – dodaje Kaszulanis.

Powody tego eksodusu? Pierwszy, bynajmniej nie nowy, to niskie pensje. – Ważniejszym jednak, bo nowym czynnikiem jest atmosfera strachu i nieufności, jaką rozkręcił minister Przemysław Czarnek – uważa rzeczniczka ZNP. – Chodzi nie tylko o wypowiedzi, ale też zmiany, które weszły w życie albo są planowane. Sprowadzają się do przejęcia znacznie większej kontroli nad szkołami i nauczaniem przez kuratoria.

Ostatnio niedoborem nauczycieli zajęły się instytucje kontrolujące działania władz. Najwyższa Izba Kontroli alarmowała o tysiącach wakatów, opisując też kontekst problemu: w ostatnich dwóch latach 46 proc. dyrektorów zgłaszało problem z zatrudnieniem, najczęściej matematyków, fizyków, chemików i anglistów. Ponad jednej trzeciej dyrektorów zdarzyło się zatrudniać nauczycieli emerytowanych bądź bez odpowiednich kwalifikacji. „Dalsze umniejszanie skali problemu – alarmował w zeszłym tygodniu rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek – może doprowadzić do nieodwracalnych szkód w poziomie wykształcenia".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOBY MELVILLE / REUTERS / FORUM

200 MILIONÓW GODZIN każdego dnia spędzają ludzie – w 80 proc. kobiety i dziewczęta – w drodze do studni, rzek i źródeł w tych częściach świata, gdzie dostęp do wody jest utrudniony. To zajęcie ma priorytet przed edukacją i pracą; długi marsz oznacza w wielu miejscach narażanie się na atak ze strony grup zbrojnych czy bandytów. A to właśnie kobietom – m.in. za sprawą specjalnych potrzeb w czasie menstruacji, ciąży i okresu karmienia – woda bywa najbardziej potrzebna. Według Światowej Organizacji Zdrowia milion kobiet i noworodków umiera co roku z powodu niehigienicznych warunków porodu, wywołanych jej brakiem. Na zdjęciu: rzeźba z lodu przedstawiająca kobietę idącą po wodę, zaprezentowana w Londynie w ramach kampanii społecznej organizacji WaterAid, 15 września 2021 r. ©℗ ŻYM

Polski pomnik nabiera kształtów

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Prace nad upamiętnieniem w niemieckiej stolicy polskich ofiar II wojny światowej posuwają się do przodu. W ubiegłą środę 15 września ministerstwo spraw zagranicznych Niemiec zaprezentowało dokument zawierający wizję takiego miejsca. Grono polskich i niemieckich ekspertów (po stronie polskiej są to m.in. Piotr Cywiński, dyrektor Muzeum Auschwitz-Birkenau, oraz Jan Ołdakowski, dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego) pogodziło w niej dwa pomysły, które wcześniej ze sobą rywalizowały: powstać ma zarówno pomnik, jak też centrum pełniące rolę informacyjną i edukacyjną.

Preferowanym miejscem jest teren w centrum Berlina, gdzie kiedyś stała Opera Krolla. Tam właśnie 1 września 1939 r. Adolf Hitler ogłosił rozpoczęcie wojny przeciw Polsce. Obecnie to teren zielony, oddalony o parę kroków od Urzędu Kanclerskiego. Z berlińskiego Dworca Głównego można tu dojść piechotą w pięć minut. Jeśli lokalizacja się utrzyma, będzie można powiedzieć, że Republika Federalna upamiętniła polskie ofiary niemieckich zbrodni w samym centrum swej stolicy. Polska strona rządowa pozytywnie odniosła się do przedstawionej koncepcji.

Następnym krokiem będzie przyjęcie planów przez przyszły Bundestag (26 września są w Niemczech wybory; piszemy o tym w dziale Świat) i wybranie instytucji, która będzie nadzorować dalsze prace. A potem – ogłoszenie konkursu artystyczno-architektonicznego, sama budowa i stworzenie wystawy stałej. Wszystko potrwa zapewne lata, więc trzeba uzbroić się w cierpliwość.

77-letni Wolfgang Thierse, były przewodniczący Bundestagu i wielki zwolennik upamiętnienia polskich ofiar, podczas prezentacji koncepcji wyraził nadzieję, iż miejsce to zostanie otwarte jeszcze za jego życia. ©

Afganistan: długa droga do domu

CHOĆ WALKI USTAŁY, namioty wciąż stoją w kabulskim parku Szar-e Nau. Wielu ludzi zaczęło zjeżdżać do stolicy, gdy półtora miesiąca temu talibowie ruszyli z ofensywą na północne prowincje. W ten sposób w Afganistanie jeszcze bardziej zwiększyła się liczba uchodźców wewnętrznych.

45-letni Kasim Mohammadi wraz z rodziną postanowił opuścić rodzinny Kunduz na północy kraju, gdy wybuchły krótkie, lecz intensywne walki, a jego syn, który tylko co wkroczył w pełnoletniość, zginął. Odłamki raniły go w stopę, udo, brzuch i serce, zmarł na miejscu. Mohammadi nie chciał ryzykować życiem reszty rodziny.

Nie zwlekali z wyjazdem. Godzili się jechać w przeładowanych samochodach za horrendalne stawki. W drodze 16-letnia córka źle się poczuła, skarżyła się na problemy z oddychaniem. Po kilku dniach zmarła. Zamiast z ósemką, Mohammadi przebywa dziś w Kabulu z szóstką dzieci.

W stolicy nowi uchodźcy wewnętrzni nie mogli liczyć na pomoc państwa. To prywatne osoby przynosiły im wodę, jedzenie i najbardziej niezbędne rzeczy, dzięki którym mogli przetrwać w parku.

Po tym, jak talibowie zajęli Kabul, nikt już do nich nie przychodził. Ci, którzy pomagali, wyjechali, ukrywają się lub sami mają problemy finansowe. – Od tego czasu z trudem udaje nam się zjeść jeden posiłek dziennie – mówi Mohammadi. Jego rodzina żywi się głównie chlebem, nadziewanymi plackami, frytkami lub bananami, które można tanio dostać w okolicy parku. Woda pitna przywożona jest sporadycznie i w małych ilościach, w kolejce po nią wybuchają bójki. Wciąż okazjonalnie przychodzą lekarze, ale nie są w stanie pomóc tysiącu ludzi, którzy przebywają w ich obozowisku.

Mohammadi docenia to, że od przyjścia talibów w mieście jest bezpieczniej. Narzeka jednak na pogarszającą się sytuację gospodarczą. W kraju niemal ustały działania organizacji pomocowych, wiele środków zostało wstrzymanych, a instytucje państwowe są sparaliżowane. Dlatego kryzys humanitarny, który nękał Afganistan od lat, może przybrać jeszcze większe rozmiary.

Mohammadi chciałby wraz z rodziną wrócić do Kunduzu. Życie w kabulskim parku jest trudne, a temperatury nocą stają się coraz niższe. Nie mogą jednak wrócić, bo nie stać ich, żeby zapłacić za podróż do domu. © PAWEŁ PIENIĄŻEK z Kabulu

Współpraca SADAM ZADRAN

BARBARA SMOLIŃSKA, PSYCHOTERAPEUTKA, SZEFOWA PRACOWNI DIALOGU

Telefon od zranionych

PRACOWNIA DIALOGU

ANNA GOC: Tuż po publikacji raportu o zakonie dominikanów Inicjatywa „Zranieni w Kościele" uruchomiła codzienną linię kryzysową dla osób skrzywdzonych. Jakie były reakcje?

BARBARA SMOLIŃSKA: W środę wieczorem, czyli w dniu publikacji raportu, zadzwoniło sześć osób. W następnych dniach – kolejnych kilka. To jest bardzo dużo. Wśród kontaktujących się z nami nie było co prawda osób skrzywdzonych przez Pawła M., ale dzwoniących łączyło to, że zostali wykorzystani przez księży lub zakonników już jako dorośli.

O takich przypadkach jest mowa w raporcie.

Tak. Zdarzało się, że sprawcą był spowiednik, czyli ksiądz, który w życiu skrzywdzonych dotąd funkcjonował jako ważny duchowny. Ale mieliśmy też kilka telefonów z informacją o działalności egzorcystów – wielogodzinnych seansach z naruszeniem cielesności, które były odprawiane przez kilka lat. Wyraźnie zadziałał raport i opisane w nim długie modlitwy z elementami przemocy.

Co ważne, większość osób, które zadzwoniły do nas w ostatnim tygodniu, nie opowiedziała o tych wydarzeniach nikomu wcześniej. Osoby pełnoletnie często nie zgłaszają swoich spraw, gdyż obawiają się, że zostaną uznane za współwinne.

Co mogą zrobić?

Zwrócić się do biura delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży, bo ono także przyjmuje zgłoszenia dotyczące dorosłych skrzywdzonych. Zachęcamy również do kontaktu z Inicjatywą „Zranieni w Kościele", która oferuje pomoc w dopełnieniu procedur.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

BARBARA SMOLIŃSKA *jest psychoterapeutką i superwizorką Polskiego Towarzystwa Psychologicznego oraz Europejskiego Stowarzyszenia Psychoterapii, szefową Pracowni Dialogu, współtwórczynią Inicjatywy „Zranieni w Kościele".*

Pod numerem 800 280 900 codziennie w godzinach 19.00-22.00 do 26 września Inicjatywa odbiera telefony od zranionych dorosłych.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ŚWIADECTWA

Na przewlekłość kościelnych procesów dotyczących wykorzystywania seksualnego przez duchownych, brak informacji o ich przebiegu, a także na potrzebę przyznania im statusu strony, a nie jedynie świadka, zwrócili uwagę pokrzywdzeni. Ich świadectw wysłuchali uczestnicy zorganizowanej w Warszawie przez Watykan czterodniowej konferencji o ochronie małoletnich w Kościołach Europy Środkowo-Wschodniej.

ZACHĘTA

„Trzeba stworzyć odpowiednie okoliczności do spotkań z osobami, które być może jeszcze w Kościele swojego głosu nie ujawniały" – zachęcała s. Nathalie Becquart, podsekretarz Synodu Biskupów, podczas webinarium zorganizowanego przez Kongres Katoliczek i Katolików poświęconego synodalności Kościoła. S. Becquart będzie pierwszą kobietą z prawem głosu w historii synodów.

STAN SKUPIENIA

„Krew się skropliła" – powiedział arcybiskup Neapolu Domenico Battaglia, przechylając relikwiarz z krwią św. Januarego 19 września w liturgiczne wspomnienie biskupa-męczennika z III wieku. Jak wierzy wielu neapolitańczyków, gdy grudka substancji, poruszana trzykrotnie w ciągu roku, zmieni stan skupienia na płynny, przepowiada to pomyślność dla miasta.

KURIA ARCHIDIECEZJALNA W NEAPOLU

Co powie papież

PODCZAS SAMOLOTOWEJ KONFERENCJI prasowej (w drodze ze Słowacji) Franciszek był pytany m.in. o projekt legalizacji w krajach UE małżeństw homoseksualnych. „Małżeństwo sakramentalne jest związkiem kobiety i mężczyzny" – odpowiedział Franciszek, podkreślając, że Kościół nie ma prawa zmieniać sakramentów. Jednak nic nie stoi na przeszkodzie – uważa papież – legalizacji takich związków przez państwa. Mniej jednoznaczna odpowiedź padła po pytaniu, czy można odmówić komunii politykom popierającym aborcję. Papież przyznał, że są ku temu przesłanki prawne, ale prosił, by „skończyć z ekskomunikami" i upolitycznianiem sakramentów. Decyzję o udzieleniu pozostawił duszpasterzom.

Zdumiewająca (w świetle wcześniejszych wypowiedzi) była pochwała rządu Węgier – za projekty ekologiczne i politykę prorodzinną. A mało elegancka – wypowiedź o „kardynale negacjoniście, biedaczku, który, jak na ironię, złapał wirusa", zważywszy, że dotyczyła jego największego krytyka, kard. Raymonda Burke'a, który ledwo uszedł z życiem po trzytygodniowym pobycie na OIOM-ie. (Szersze omówienie na: **powszech.net/konferencja**.)

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Abp Ryś: głodnych trzeba nakarmić

„WIDZIAŁEM SETKI, a nawet tysiące (dokładnie 6,5 tysiąca) młodych ludzi, którzy z uwagą słuchali Bożego Słowa, i – nim poruszeni – poważyli się na decyzję nawrócenia i podejścia do sakramentu pojednania i pokuty, a następnie nie tylko z wielką radością, lecz także pobożnością, wręcz pietyzmem, przystąpili do komunii świętej. A wszystko to w czasie, w którym na co dzień epatowani jesteśmy wiadomościami o młodzieży odchodzącej od praktyk religijnych i katechezy (...). W tym świetle wszelkie zarzuty o rzekomą profanację czy brak szacunku wobec Eucharystii uważam za dalece niesprawiedliwe i bezpodstawne" – napisał metropolita łódzki, poproszony przez przewodniczącego Komisji Episkopatu ds. Kultu Bożego i dyscypliny sakramentów bp. Piotra Gregera o wyjaśnienie, dlaczego podczas Kongresu Nowej Ewangelizacji sprawował liturgię eucharystyczną z pominięciem obrzędów wstępnych mszy i liturgii słowa.

Abp Grzegorz Ryś przyznał, że nie dochował wszystkich norm liturgicznych, i szczerze przeprasza . Jednak „wydarzenie to miało charakter wyjątkowy i jednorazowy". ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

SIEDEM STATUETEK

Serial „The Crown" zdobył najwięcej, bo aż siedem Nagród Emmy (w tym za najlepszy serial dramatyczny) podczas gali nagrody nazywanej dotychczas „telewizyjnym Oscarem". Tym razem jednak to produkcje platform streamingowych zdobyły najważniejsze wyróżnienia. „Gambit królowej" (tak jak „The Crown" wyprodukowany przez Netfliksa) został uznany najlepszym miniserialem, a „Ted Lasso" (Apple TV+) dostał cztery statuetki (w tym za najlepszy serial komediowy).

SZÓSTKA WSPANIAŁYCH

Poznaliśmy finalistki tegorocznej Nagrody Bookera: „The Promise" Damona Galguta, „A Passage North" Anuka Arudpragasama, „No One Is Talking About This" Patricii Lockwood, „The Fortune Men" Nadify Mohamed, „Bewilderment" Richarda Powersa i „Great Circle" Maggie Shipstead powalczą o najważniejszą nagrodę dla literatury anglojęzycznej. Przed rokiem zdobył ją Douglas Stuart za powieść „Shuggie Bain".

SIÓDMY HAUPT

Najnowsza edycja gorlickiego festiwalu literackiego rozpocznie się 22 września i potrwa pięć dni. Wśród gości m.in. Justyna Bargielska, Wojciech Bonowicz, Dorota Kotas, Michał Milczarek, Anda Rottenberg, Joanna Rudniańska, Andrzej Stasiuk, a prozę patrona festiwalu, Zygmunta Haupta, będzie czytał Marek Kondrat.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MARTA ZDZIEBORSKA opowie Pawłowi Sulikowi o nowym kapelanie Harvardu, który jest ateistą (tekst na s. 36). Słuchaj Popołudnia Radia TOK FM w środę 22 września o godz. 15.40.
o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Wyspiański już spakowany

LONDYŃSKA William Morris Gallery zaprezentuje dorobek artystów Młodej Polski. Wystawa „Young Poland: An Arts and Crafts Movement" otwarta zostanie 9 października i potrwa do wiosny 2022. Jednym z najważniejszych jej eksponatów będzie witraż „Apollo. System Kopernika" autorstwa Stanisława Wyspiańskiego (na zdjęciu).

Oryginał stanowił część wystroju wnętrza Towarzystwa Lekarskiego w Krakowie. Uległ zniszczeniu w 1945 r. W Pracowni Muzeum Witrażu w Krakowie przechowywana jest replika. Składa się z kilkudziesięciu tysięcy elementów umieszczonych w dwunastu kwaterach.

Na wystawie eksponowane będzie około 150 obiektów autorstwa m.in. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Józefa Mehoffera czy Stanisława Witkiewicza. Pośród eksponatów znajdą się obrazy, rysunki, oraz sztuka użytkowa – meble, ceramika. To pierwsza tak duża ekspozycja dzieł Młodej Polski za granicą. Wystawa ma podkreślać analogię polskiej sztuki do twórczości artystów brytyjskich tamtego okresu. ©℗ JT

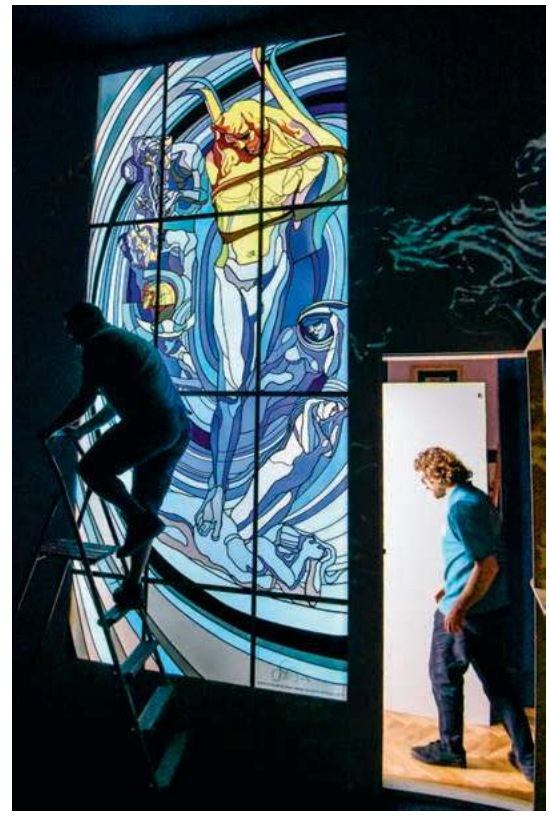

MAREK LASYK / REPORTER

Szczepionki: czy trzecia dawka ma sens?

U PROGU CZWARTEJ FALI pandemii w wielu państwach świata pojawia się pytanie o konieczność i zasadność podania kolejnej dawki szczepionki. Najnowsze badanie izraelskich naukowców pod kierownictwem Yinona Bar-Ona opublikowane w „NEJM" dowodzi, że w krótkiej perspektywie trzecia dawka zdecydowanie wzmacnia odporność. Pod uwagę wzięto dane ponad miliona osób powyżej 60. roku życia, które drugą dawkę szczepionki Pfizera otrzymały pięć miesięcy wcześniej. Trzecia iniekcja dwudziestokrotnie zmniejszyła ryzyko ciężkiego przebiegu COVID-19, a ogólne ryzyko infekcji spadło ponad 10 razy.

Czy zatem trzecia dawka może zatrzymać czwartą falę? Ze względu na krótki czas obserwacji badanie nie dowodzi trwałości tego efektu, a zanikanie odporności jest niestety faktem. Inna praca tego samego zespołu pokazuje, że osoba dwukrotnie zaszczepiona w styczniu ma 1,7 razy większe ryzyko ciężkiej infekcji niż zaszczepiona w marcu.

Zarówno amerykańska FDA, jak i Europejska Agencja Leków rozpatrują akceptację trzeciej dawki szczepionki Pfizera dla osób powyżej 16. roku życia. Komitet doradczy FDA zalecił odrzucenie wniosku ze względu na nieprzekonujące dane. Decyzja ma zapaść wkrótce. © BARTOSZ KABAŁA

Kop dla klimatu

W WIELKIEJ BRYTANII mieszka prawie 30 mln ogrodników i to z nich Królewskie Towarzystwo Ogrodnicze (RHS) chce stworzyć „największą ogrodniczą armię". Celem kampanii RHS jest zachowanie bioróżnorodności i walka ze zmianami klimatu. RHS chce pokazać, że każde działanie, nawet w przydomowym ogródku, ma znaczenie.

Co więc może każdy ogrodnik i ogrodniczka? Posadzić drzewo, gromadzić deszczówkę, zrezygnować z ziemi torfowej (naruszanie torfowisk niszczy ekosystem), kompostować, sadzić kwiaty przyjazne dla zapylaczy, nie kupować ciętych importowanych kwiatów: to indywidualne decyzje, które mają znaczenie dla środowiska.

W swoim apelu RHS odwołuje się do akcji z czasu II wojny światowej „Dig for Victory" („Kop dla zwycięstwa"), podczas której Brytyjczyków zachęcano – z powodzeniem – do uprawiania warzyw w każdym możliwym miejscu, nawet na trawniku przed londyńską Tower. Powodem były niedobory żywności wywołane wojną i niemiecką blokadą. Wtedy akcja przyczyniła się do olbrzymiego wzrostu liczby ogródków działkowych. Teraz zaś chodzi o to, aby te ogródki stały się przyjazne planecie. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

PUSTKA PO BOGU

Badając przypadek dominikanina Pawła M., próbowaliśmy zrozumieć, jak było to możliwe, że bezkarnie krzywdził wiele osób przez tyle lat.

SEBASTIAN DUDA

Wtegoroczny Wtorek Wielkanocny pojechałem do klasztoru dominikanów przy ul. Freta w Warszawie na pierwsze zebranie komisji do zbadania sprawy Pawła M.; powołał ją tydzień wcześniej o. Paweł Kozacki, prowincjał Polskiej Prowincji Zakonu Braci Kaznodziejów. Wiedziałem, że czeka nas niełatwe zadanie. Nie przypuszczałem jednak, że raport z prac komisji ukaże się dopiero 15 września. I że przeżyję jedne z najtrudniejszych miesięcy w moim życiu.

Przed zebraniem wszedłem do kościoła św. Jacka. Zwykle modli się tam w ciągu dnia co najmniej kilka osób, tym razem

ARTUR PAWŁOWSKI / REPORTER

Podwórko klasztoru dominikanów w Krakowie, listopad 2000 r.

nie było żywej duszy. Opustoszałe wnętrze przypomniało mi trudne rozmowy toczone podczas pandemii – z ludźmi, którzy odeszli od chrześcijaństwa lub właśnie od niego odchodzili (nazwałem ich na swój użytek „postwierzącymi"). „W Kościele odkryłem tylko pustkę po Bogu" – powiedział jeden ze znajomych. Jaką odpowiedź mogę dać tym ludziom podczas tak poważnego kryzysu chrześcijaństwa? Czy udział w komisji badającej sprawę Pawła M. będzie miał tu znaczenie?

Ujawnione w marcu 2021 r. informacje na temat działalności tego dominikanina wstrząsnęły opinią publiczną. Przed ponad 20 laty, gdy Paweł M. był duszpasterzem akademickim we Wrocławiu, dopuścił się w ramach prowadzonego przez siebie „kierownictwa duchowego" nadużyć seksualnych względem kilku kobiet. A niedawno pewna zakonnica zgłosiła do prokuratury zawiadomienie o naruszeniu intymności oraz innych krzywdach, których doznała od dominikanina w ostatnich latach.

Do marca nie wiedziałem dokładnie, co naprawdę się stało we wrocławskim duszpasterstwie akademickim. Czytając wypowiedzi pokrzywdzonych, bezsilnie waliłem pięścią w blat biurka. Znałem bowiem Pawła M. osobiście.

Zidentyfikować zło

Gdy byłem bardzo młodym człowiekiem, przez kilka lat traktowałem go jako duchowego mentora. Historię tej znajomości opisałem na portalu Więź.pl. Opowiedziałem tam też, jak zostałem pobity podczas charyzmatycznej modlitwy wstawienniczej nade mną, gdy odwiedziłem duszpasterstwo Pawła M. we Wrocławiu. Wspomnienie tego pozostaje dla mnie żywe i dziś, choć dotyczy zdarzenia sprzed ponad dwóch dekad. Po raz ostatni Pawła M. widziałem – z daleka – w 2008 r. Wydawało mi się, że związek z tym człowiekiem to już dla mnie rozdział zamknięty, że mam do niego wystarczający dystans.

Po publikacji tekstu odezwało się do mnie wiele osób – głównie ze słowami wsparcia, choć niektórzy wyrażali zdziwienie, jak mogłem kiedykolwiek dać się urzec komuś takiemu. Najwyraźniej nie rozumieli, jak młody, wierzący i właściwie dość wówczas bezbronny (tak siebie pamiętam z tamtych lat) chłopak poddał się psychomanipulacji w ramach czegoś, co wydawało mu się najwyższej jakości „przewodnictwem duchowym". Te reakcje dały mi wiele do myślenia.

Przed Niedzielą Palmową zadzwonił do mnie Tomasz Terlikowski, proponując udział w komisji badającej sprawę Pawła M. Prowincjał dominikanów, powierzając Tomaszowi jej kierownictwo, zapewnił mu wolność w doborze członków i niezależność działań. Nie chciałem podjąć się takiego zadania i głównym powodem nie była wcale moja dawna znajomość z tym zakonnikiem. Wiedziałem, że skutkiem badań komisji będzie również odsłonięcie aktualnej sytuacji zakonu dominikańskiego w Polsce, jego wewnętrznych problemów i konfliktów. A przecież co najmniej kilku braci z tej wspólnoty niezwykle cenię, dobro zaś, które wnosili i wnoszą dominikanie w życie polskiego społeczeństwa, jest bezsporne.

Terlikowski przyznał mi rację, zapytał jednak, czy nie byłoby dla mnie interesujące zbadanie związków Pawła M. z osławionymi braćmi Thomasem i Marie-Dominikiem Philippe, którzy w końcu też byli dominikanami. W ostatnich latach pojawiało się coraz więcej informacji, że obaj dopuszczali się nadużyć seksualnych wobec kobiet w ramach „kierownictwa duchowego", zręcznie manipulując ich pragnieniem niezwyczajnych doświadczeń religijnych. Sam opublikowałem w „Więzi" esej zatytułowany „Mistyczne wodzenie na pokuszenie", w którym zestawiałem postępki francuskich braci z tekstami dawnych mistyczek (m.in. bł. Anieli z Foligno i św. Teresy Wielkiej). Za erotycznym językiem doświadczeń mistycznych mogło stać wykorzystanie seksualne kobiet przez ich kierowników duchowych. W 2008 r. Paweł M. obronił rozprawę doktorską „Maryja w teologii mistycznej M.D. Philippe'a". Tomasz przekonał mnie, że warto temu wszystkiemu przyjrzeć się bliżej.

Gdy ujawniono skład komisji badającej sprawę Pawła M., spotkałem się z zarzutami, że jako ofiara zakonnika nie powinienem brać w niej udziału, bo nie mogę być bezstronny. Tak jakby prace komisji odpowiadały działalności sądu czy też organów śledczych w wymiarze sprawiedliwości. To nieporozumienie – wiedzieliśmy, że sens naszych działań jest inny. Nie tylko dlatego, że Paweł M. został tymczasowo aresztowany, zanim w komisyjnym gronie spotkaliśmy się po raz pierwszy, i do dziś nie mogliśmy go wysłuchać. To, czego się podjęliśmy, bardziej miało odpowiadać działaniom instytucji, które w innych krajach (m.in. w RPA) nazwano komisjami prawdy i pojednania.

Dlatego w raporcie napisaliśmy, że naszym celem było „poszukiwanie wiedzy o bolesnych zdarzeniach z przeszłości, mechanizmów im towarzyszących, by prawdę o tym zadać jako ↦

↦ odpowiedzialność za przyszłość. W tej relacji, między prawdą o przeszłości a przyszłością, która jest sprawą nam wszystkim powierzoną, chodzi o doświadczenie, które otwiera na prawdziwą odpowiedzialność za drugiego człowieka, budowanie odpowiedniej świadomości mechanizmów zła, umiejętność identyfikacji jego przejawów, nabywanie roztropności i właściwego osądu zdarzeń. Działania te nie zmierzają do postawienia zarzutów czy indywidualnego rozliczenia konkretnej osoby za jej nieprawidłowości. Mierzą się raczej z doświadczeniem zbiorowym, aczkolwiek nie pomijają indywidualnej atrybucji odpowiedzialności".

Pamięć skrzywdzonych

Tak też i ja pojmowałem od początku mój udział w komisji. Inaczej niż koledzy, widziałem działalność zakonnika z bliska, choć nigdy nie uczestniczyłem w prowadzonych przez niego duszpasterstwach. Pamiętam jego charyzmę, styl głoszenia kazań i sposób, w jaki się modlił. To doświadczenie na pewno pomogło mi zrozumieć zarówno wypaczenia teologiczne, jak i manipulacje duchowe, których się dopuścił. Nie byłoby to jednak możliwe bez współpracy z innymi członkami komisji, którzy posiadają wysokie kompetencje w zakresie prawa, psychologii i psychoterapii, a także wiedzę na temat form życia konsekrowanego w Kościele. Na początku nie mieliśmy jeszcze pojęcia, z jakim brzemieniem przyjdzie się nam zmierzyć. Byliśmy tylko pewni, że, jak napisał abp Mark Coleridge, przedstawiając sens nowej „rewolucji kopernikańskiej" w chrześcijaństwie, „osoby, które zostały [w Kościele] wykorzystane, nie kręcą się wokół Kościoła, lecz Kościół wokół nich. Odkrywając to, możemy zacząć widzieć ich oczami i słyszeć ich uszami, a kiedy to zrobimy, świat i Kościół zaczną wyglądać całkiem inaczej".

Wielomiesięczna praca w komisji była doświadczeniem obciążającym psychicznie i duchowo, jestem jednak pewien, że staraliśmy się uważnie, uczciwie, z roztropnością i empatią przyjmować relacje tych, którzy spotkali dominikanina na swojej życiowej drodze. Celem było od początku poznanie świadectw i perspektywy pokrzywdzonych, a nie – jak niektórzy sugerowali – ochrona dobrego imienia zakonu czy Kościoła (choć prawdą jest, że nie uznajemy tych instytucji za przestępcze, co coraz częściej proponują antykatolicko nastawieni uczestnicy debaty publicznej).

> Sekta szybko sie rozrastała. Niektórzy postanowili nawet oddać swoje oszczędności na rzecz wymarzonej przez Pawła M. „nowej wspólnoty".

Już przy pierwszej lekturze dokumentów, które zachowały się w tzw. tajnym archiwum prowincjała (chodzi o pokaźny segregator z mnóstwem pisemnych relacji pokrzywdzonych, opinii psychologów i psychiatrów oraz różnych innych materiałów na temat Pawła M.), doznaliśmy szoku. Z coraz większym przejęciem czytałem listy, jakie w 2000 r. ofiary zakonnika wysłały do o. Macieja Zięby, ówczesnego przełożonego generalnego polskich dominikanów.

Na przykład opis seansu tortur, który z inspiracji i pod całkowitą kontrolą Pawła M. odbył się podczas wspólnotowej modlitwy charyzmatycznej. Pewna dziewczyna dostała ok. 800 razów skórzanym dominikańskim pasem na nagie pośladki. Bolesne wybroczyny nie chciały zejść przez kilka tygodni.

Celem tego okropnego rytuału miała być „ekspiacja" za to, że nie chciała pójść za duchowym „rozpoznaniem" dominikanina i wstąpić do Karmelu. A życie konsekrowane było wedle zakonnika jedyną akceptowalną przez Boga formą zadośćuczynienia za kilkanaście aborcji, których dokonała matka bitej dziewczyny.

Pozostałe relacje też były bardzo drastyczne. Paweł M. nieustannie tropił w innych „korzeń nieczystości" – źródło i przyczynę grzechu, który najmocniej miał się wyrażać w seksualnych występkach i traumach. W „charyzmatycznym samorozpoznaniu" uznał, że jako „terapeuta" może pomóc ludziom pozbyć się tego „korzenia". Skutecznym lekarstwem miała być „modlitwa ciałem", która ostatecznie oznaczała współżycie intymne z członkiniami duszpasterstwa. One miały złożyć Bogu w „ofierze" własne ciało; zakonnik zaś – swoje kapłaństwo i celibat. Miało to być wejście na „wyższy" stopień życia duchowego.

Do aktów seksualnych dochodziło w ramach modlitwy charyzmatycznej. Dominikanin i krzywdzona przez niego kobieta wzywali Ducha Świętego (także za pomocą „daru języków", czyli nieartykułowanej glosolalii). Paweł M. twierdził, że dzięki erotycznemu rytuałowi odpokutowane zostaną różnorakie grzechy jego zakonnych współbraci i innych członków duszpasterstwa. Utrzymywał także, że bez takiej „modlitwy" nikt nie dostąpi łaski uleczenia choroby podczas odprawianych przez niego cyklicznie mszy z modlitwą o uzdrowienie.

Opisy powstały w 2000 r. Na niektórych kartach pismo jest ledwo czytelne – atrament wyblakł, ale pamięć skrzywdzonych nie wyblakła. Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać, bo zaczęliśmy wysłuchiwać świadków działalności Pawła M. Ostatecznie było to ponad 80 osób; pierwsi zeznania składali dominikanie.

Dominikańska bezwola

Szybko stało się dla nas jasne, na czym polegały zaniedbania zakonu. Paweł M. pozostawał w przyjacielskiej relacji z o. Maciejem Ziębą, który od 1998 r. przez osiem lat pełnił urząd prowincjała. Dominikanie cieszyli się sporym prestiżem, szczególnie w kręgach inteligencji. Doceniano ich poziom intelektualny, zaangażowanie w działalność publiczną, zasługi na polu duszpasterstwa. Zięba lubił powtarzać: „Jesteśmy najlepszą prowincją najlepszego zakonu w Kościele" i na takim przekonaniu opierał swoje rządy. Odzywały się w tym echa współczesnej neokalwińskiej teologii sukcesu, rozkwitającej od USA po Koreę Południową. Wedle niej sukces oparty na społecznym prestiżu, skutecznym oddziaływaniu tworzonych przez daną wspólnotę instytucji oraz związanym z tym odpowiednim statusie materialnym należy uznać za znak szczególnego Bożego wybrania.

A w latach 90. Paweł M. mocno przyczyniał się do duszpasterskich sukcesów polskich dominikanów. Na odprawiane przez niego msze i głoszone przez niego rekolekcje przychodziły tłumy.

Nagrywano kasety z jego kazaniami. Jego siła odsłaniała się zwłaszcza we wspólnotowych modlitwach charyzmatycznych. Sam o. Zięba nie miał do tej duchowości wielkiego przekonania (choć, gdy go wybrano na prowincjała, poprosił Pawła M. o „wyegzorcyzmowanie" biura w klasztorze przy Freta), ale wiedział, że przyciąga ona do Kościoła młodych. Pentekostalizm to obok neokalwinizmu jeden z najprężniej rozwijających się nurtów współczesnego chrześcijaństwa.

Nic więc dziwnego, że prowincjał długo nie przyjmował krytycznych uwag na temat działalności Pawła M. A od początku 1998 r. był sukcesywnie powiadamiany (robili to także zakonni współbracia) o ekscentrycznych, wielogodzinnych (trwających nawet do 4-5 rano) modlitwach we wrocławskim duszpasterstwie akademickim. Zaniepokojone rodziny oraz znajomi uczestników duszpasterstwa pisali o sekciarskiej mentalności grupy; niektórzy jej członkowie zrywali wszelkie kontakty z ludźmi z zewnątrz. Wielu zaniedbywało studia (aż do ich porzucenia). W klasztornych pomieszczeniach stale pomieszkiwało kilka kobiet, co gorszyło starszych dominikanów, ale co przełożony lekceważył. W głośnych nocnych modlitwach z wrzaskiem wyrzekano się diabła. Odprawiano dziwaczne rytuały, jak palenie na stosie na klasztornym dziedzińcu rzekomo udręczonych przez szatana mebli.

Sekta szybko się rozrastała. Niektórzy postanowili nawet oddać swoje oszczędności na rzecz wymarzonej przez Pawła M. „nowej wspólnoty" (podobnej do francuskiej Wspólnoty Błogosławieństw czy założonej przez M.D. Philippe'a Wspólnoty św. Jana – dziś wiemy, że w obu tych grupach przez lata dochodziło do nadużyć seksualnych w ramach „kierownictwa duchowego"). O. Zięba był informowany o aktach przemocy fizycznej podczas modlitw oraz o stosowanej przez Pawła M. presji psychicznej i duchowej (m.in. o przemocowym wykluczaniu członków wspólnoty jako „niewiernych Bogu Judaszy"). Wiedział także najpewniej o nadużyciach, jakich Paweł M. mógł dopuszczać się podczas spowiadania – spowiedzi trwały nawet po kilka godzin; od ludzi wyciągał opowieści o traumach związanych z życiem rodzinnym i seksualnym. Wyznane grzechy zakonnik ujawniał podczas wstawienniczych modlitw wspólnotowych.

Prowincjał nie chciał przyjąć tych faktów do wiadomości. Zezwolił nawet na absurdalny „ewangelizacyjny" wyjazd Pawła M. i kilku członków duszpasterstwa do Chin, bo Paweł M. „rozeznał", że został powołany do nawrócenia społeczeństwa Państwa Środka na chrześcijaństwo. Do początków roku 2000 Zięba nie ukrócił jego działalności. Być może głównym powodem było to, że był jego stałym spowiednikiem (czego jako przełożony wedle kościelnych zwyczajów i prawa nie powinien się podejmować). Współbraciom krytykującym Pawła M. powtarzał: „Jak mi przyprowadzisz trzy tysiące ludzi na mszę o uzdrowienie, to porozmawiamy). Zresztą pod koniec lat 90. Paweł M. dla wielu dominikanów był „gwiazdą" czy też, jak powiedział jeden z braci, „wzorem duszpasterza".

Gdy jednak w 1999 r. do klasztoru we Wrocławiu trafił o. Marcin Mogielski, sytuacja uległa zmianie. Zaczęli przychodzić do niego ludzie, którzy w duszpasterstwie Pawła M. doświadczyli psychomanipulacji oraz innych form przemocy. Młody duszpasterz postanowił nakłonić pokrzywdzonych do napisania świadectw, które przekazano o. Ziębie. Prowincjał musiał być mimo wszystko poruszony – w Wielkim Tygodniu 2000 r. odwołał Pawła M. z funkcji duszpasterza akademickiego.

W jednym z listów znalazły się informacje o zmuszaniu do współżycia i wielokrotnym zgwałceniu. Mimo to Zięba nie zdecydował się na zawiadomienie prokuratury ani na wszczęcie wobec Pawła M. postępowania kanonicznego, w którym zebrano by dowody i przesłuchano świadków. Postanowił go „ukarać" (choć, jak wiedzą już studenci prawa, nie można mówić o karach, jeśli nie było procesu) mocą własnego autorytetu. W lipcu 2000 r. wysłał Pawła M. na kilkutygodniową pokutę do klasztoru kamedułów w Krakowie, a następnie na prawie rok do pracy w hospicjum dziecięcym w Lublinie. ↦

Kultowy zakon

TO W KONTEKŚCIE dominikanów zaczęło się w Polsce mówić o zjawisku churchingu, czyli poszukiwania „własnego" kościoła. W latach 90. do dominikańskich kościołów trafiali wierni niezadowoleni z tego, jak wygląda duszpasterstwo w parafiach. Niektóre msze, jak krakowskie „Dwunastki" o. Jana A. Kłoczowskiego czy młodzieżowe „Dziewiętnastki", zyskiwały status kultowych, a kościoły pękały w szwach. U dominikanów była gwarancja pięknej liturgii i mądrego kazania. A także znalezienia swojego środowiska, np. w którymś z prężnie działających duszpasterstw.

W POLSCE działa 20 klasztorów dominikańskich, z których ostatni, katowicki, powstał 9 lat temu. Zakonnicy ewangelizują według dewizy „Głosić wszystkim, wszędzie i na wszelkie sposoby". Prowadzą liczne duszpasterstwa (m.in. 11 akademickich, 8 młodzieży, a także duszpasterstwa rodzin, dorosłych, charyzmatyczne itp.) z bogatą ofertą zajęć i spotkań, organizują wykłady otwarte w ramach Dominikańskiej Szkoły Wiary (na temat religii, kultury i problemów współczesnego świata), warsztaty śpiewu i liturgii. W lecie organizują zapoczątkowane przez o. Jana Górę spotkania w Lednicy.

STRONĘ DOMINIKANIE.PL, na której zakonnicy publikują profesjonalnie wyprodukowane filmy, nazywa się popularnie „katolickim Netfliksem". Dominikańską proweniencję (założycielem był o. Maciej Zięba) ma Instytut Tertio Millennio, popularyzujący katolicką naukę społeczną. Szerzeniu idei św. Tomasza z Akwinu służy z kolei Instytut Tomistyczny. Polska prowincja prowadzi też wydawnictwo książkowe W Drodze i wydaje miesięcznik, o którego nakładzie i sprzedaży katolicka konkurencja może tylko pomarzyć. Przy kilku klasztorach działają Centra Informacji o Sektach i Nowych Ruchach Religijnych.

WIELU BRACI zajmuje się „wędrownym kaznodziejstwem", głosząc w całym kraju rekolekcje. Niektórzy, jak o. Adam Szustak, stają się „katolickimi celebrytami" i zdobywają popularność wychodzącą daleko poza środowiska wierzących.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Zakonnik dostał też zakaz prowadzenia jakiejkolwiek działalności duszpasterskiej związanej z władzą święceń (m.in. nie mógł spowiadać i odprawiać mszy świętej). Wiemy, że zakaz ten łamał, odprawiając „prywatne" eucharystie i głosząc na nich kazania. I choć „kary" o. Zięby nie były karami, dominikanie aż do 2021 r. powtarzali, że nie można Pawła M. wydalić z kapłaństwa ani z zakonu, bo przecież „nie wolno po raz kolejny karać za to samo". Pod koniec czerwca 2001 r. nałożona przez Ziębę „kara" przestała zresztą obowiązywać, a Paweł M. dostał zgodę na studia doktoranckie i w następnych latach – aż do obrony rozprawy w 2008 r. – zajmował się mariologią M.D. Philippe'a. Mam wrażenie, że z pomocą myśli tego „seksualnego drapieżcy-mistyka" próbował wytłumaczyć *ex post* uczynione przez siebie krzywdy.

Pozostała trauma

Przez następne 20 lat przełożeni próbowali sprawować kontrolę nad Pawłem M., wysyłając go np. na badania psychologiczne i krótkotrwałe, raczej nieskuteczne terapie. Zdołał on zebrać w internecie grupę ludzi ślepo wierzących w jego charyzmę. Zakazywano mu spotkań i rozmów na tematy egzystencjalne i teologiczne, potrafił jednak to obejść, używając np. telefonu, komunikatorów internetowych czy CB-radia, co skutkowało następnymi dyscyplinującymi go, a coraz bardziej groteskowymi dekretami. Równocześnie wysyłano go jako kapelana do szpitala psychiatrycznego czy na rekolekcje do sióstr klauzurowych. Rezultatem tych rekolekcji było kolejne wykorzystanie seksualne kobiety w ramach „modlitwy ciałem".

W „tajnym archiwum" znaleźliśmy rozbieżne opinie psychologiczne i psychiatryczne. Przez dwadzieścia lat sporządzono ich kilka, o różnej jakości warsztatowej i o sprzecznych konkluzjach; o większości można wątpić, czy przygotowano je rzetelnie. Ponieważ Pawła M. nie można było wysłuchać, psychologom z komisji pozostała analiza jego wypowiedzi pisanych – m.in. listów do o. Zięby i następnego prowincjała, o. Krzysztofa Popławskiego.

Przez miesiące wysłuchaliśmy kilkudziesięciu świadków i pokrzywdzonych. Opowieści o dawnych krzywdach przeplatały się z wyznaniami o wciąż trwających traumach. Silne emocje często stawały się także naszym udziałem. Widzieliśmy i potwierdzili to psychologowie pracujący w komisji, że świadectwa należy uznać za wiarygodne. Słuchaliśmy ludzi, u których Paweł M. „rozeznał" niegdyś powołanie do życia kapłańskiego i zakonnego. Próbowali temu sprostać. Niektórym się udało, inni po długiej (czasami nawet kilkunastoletniej) męczarni porzucali stan duchowny czy występowali ze swoich zgromadzeń. Bywa, że stracili wiarę. Są też tacy, którzy próbują do tej wiary wrócić. Jedni i drudzy pytali mnie, jak mógłbym wytłumaczyć im to, czego duchowo doświadczyli w kontakcie z Pawłem M.

Teologia przemocy

Wiedziałem, że ich udziałem były bardzo intensywne przeżycia religijne. Trudno to pewnie zrozumieć postronnym, którzy nie są w stanie pojąć quasi-mistycznego amoku i tego, jak podczas modlitwy charyzmatycznej mogło dojść do okrutnych pobić i seksualnego zniewolenia. Paweł M. świetnie jednak umiał manipulować wiarą powierzonych sobie ludzi.

Należało przyjąć, że rzeczywistość jest skrajnie zdemonizowana i wszyscy (z nielicznymi wyjątkami, wśród których znajdował się oczywiście Paweł M.) podlegamy władzy diabła. Za to poddaństwo musimy Bogu nieustannie odpłacać. Taka „ekspiacja" może pomóc nie tylko nam, ale i innych obronić przed skutkami ich grzechów (a skutki te dotyczyły nie tylko planu indywidualnego czy lokalnego, skoro okrutne zadośćuczynienia nakładane przez Pawła M. miały np. uchronić Chiny przed wybuchem bomby atomowej).

Coraz bardziej przejęty i przybity wyznaniami ofiar nie mogłem znaleźć odpowiedzi, co powodowało Pawłem M. Aż w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, czego w istocie dotyczyła duchowa transgresja Pawła M.

Nie wiadomo, czy miał kiedykolwiek mistyczną wizję. Uwierzył jednak, że jest prawdziwym „głosem Ducha Świętego" i reprezentantem Boga. Uwierzył nawet, że powinien otrzymać stygmaty, gdyż jego powołaniem jest – jak w przypadku cierpiącego Chrystusa – zbawcze, skuteczne i całkowite cierpienie za innych. Stygmaty się nie pojawiły, ale wina leżała jego zdaniem po stronie tych, w których tkwił ciągle „korzeń nieczystości". Należało ich zatem odpowiednio ukarać czy „oczyścić", a przecież tylko on mógł być egzekutorem owej kary i „oczyszczenia". Takie było źródło przemocy psychicznej, duchowej, a także fizycznej, jaką stosował wobec innych.

Odpowiedź

Paweł M. dopuścił się ogromnych krzywd w imię wypaczonej wizji chrześcijaństwa. Mógł to robić, bo działał w niewydolnej i chorej strukturze macierzystego zakonu (struktura ta jest zresztą tylko egzemplifikacją perwersji, która dotknęła Kościół katolicki, co z każdym rokiem staje się coraz bardziej widoczne).

Raport w sprawie Pawła M. nie przyniósł mi ulgi, choć mam nadzieję, że oddaliśmy sprawiedliwość pokrzywdzonym. Jeszcze wyraźniej zobaczyłem „pustkę po Bogu" w moim Kościele. Jaką teraz mam dać odpowiedź „postwierzącym"? Nie wiem, choć wciąż uważam, że powinienem jej szukać.

© SEBASTIAN DUDA

Autor jest teologiem i publicystą, członkiem komisji badającej sprawę dominikanina Pawła M.

MAREK LAPIS / FORUM

O. Maciej Zięba, ówczesny prowincjał dominikanów, dokonuje uroczystych obłóczyn nowych zakonników. Poznań, sierpień 2005 r.

Pokrzywdzonych może być więcej

TOMASZ TERLIKOWSKI,
PRZEWODNICZĄCY KOMISJI BADAJĄCEJ PRZYPADEK PAWŁA M.:

Najgorsza jest bezsilność wobec cierpienia i bólu konkretnych osób, trwającego ponad 20 lat. Świadomość, że tych straconych lat, tej młodości potrzaskanej nikt nie jest w stanie im zwrócić.

ARTUR SPORNIAK: Raport jest miażdżący dla dominikanów. Tymczasem podczas konferencji prasowej 15 września można było odnieść wrażenie, że przyszliście ich bronić – np. wielokrotnie zastrzegając, iż jest to studium jednego przypadku, a nie krytyka całego zakonu. Skąd ten dysonans?

TOMASZ TERLIKOWSKI: Najważniejsze było podkreślenie prymatu skrzywdzonych. Oczywiście raport jest diagnozą jednego przypadku, ale ten przypadek był możliwy nie tylko dlatego, że z różnych powodów przez 20 lat instytucje zakonu dominikanów nie zadziałały tak, jak powinny. Również dlatego, że nie funkcjonują: wymóg jakości religijności, pobożności, kierownictwa duchowego czy po prostu kontrola działalności charyzmatycznych liderów. Nie tylko w zakonie dominikańskim, ale także gdzie indziej.

Ten raport jest na tyle miażdżący, że zależało nam bardzo, żeby dominikanie przyjęli go jako coś, co jest skierowane do nich, a nie przeciwko nim. Stąd być może wrażenie pewnej spolegliwości w wypowiedziach na konferencji.

A nie stąd ta spolegliwość, że prowincjał o. Paweł Kozacki początkowo nie chciał się zgodzić na opublikowanie raportu?

Hmm, nic mi na ten temat nie wiadomo.

Co było w pracy nad raportem najtrudniejsze?

Bezsilność wobec cierpienia, bólu konkretnych osób, trwającego ponad 20 lat. Niemożliwość skutecznej pomocy, aby to zostało szybko zmienione. Świadomość, że tych straconych lat, tej młodości potrzaskanej nikt nie jest w stanie im zwrócić.

Chwała tym z nich, którzy zdecydowali się mówić i przez lata walczyli o prawdę. Myślę, że pokrzywdzonych będzie więcej, bo zaczną się ujawniać, m.in. dzięki inicjatywie „Zranieni w Kościele", która uruchomiła specjalny telefon. Mam nadzieję, że obietnica złożona przez prowincjała o. Pawła Kozackiego o wypłacaniu odszkodowań zostanie spełniona. A raport, który mówi głosem skrzywdzonych, jakoś im pomoże.

Jaki obraz sprawcy wyłonił się z raportu? Kim jest Paweł M.?

Spróbuję opisać specyfikę jego działania. Jest to człowiek, który potrafi sprawnie wydobywać z ludzi wiedzę o nich, korzystając z takich narzędzi jak spowiedź czy kierownictwo duchowe, ale również przez „bombardowanie miłością". Bardzo sprawnie wychwytuje osoby mające jakiś deficyt, który może wykorzystać. Manipuluje nimi, uzależniając od siebie. Skutecznie też manipuluje swoimi przełożonymi i współbraćmi zakonnymi.

Kiedy udaje mu się już zmanipulować daną osobę, zaczyna swoją życzliwość uzależniać od absolutnego posłuszeństwa, dawaną miłość odbiera, kiedy tylko chce. Jednocześnie izoluje taką osobę od bliskich, od przyjaciół, znajomych. Wymusza zmiany w ich życiu – np. rezygnację ze studiów. Ostatecznie prowadzi to do odebrania im możliwości podejmowania decyzji. Dzięki izolacji, zależności emocjonalnej i wyczerpaniu fizycznemu, np. wymuszaniu wielogodzinnej modlitwy czy ograniczaniu snu. Jednocześnie wywołuje pewne przeżycia ↦

↦ religijne. Nie potrafię ocenić, jaki był fundament tych przeżyć, ale wiele osób o nich mówiło. To wszystko prowadzi do całkowitego uzależnienia i wtedy przekraczane są granice np. seksualności.

Sam Paweł M. jest – co precyzyjnie opisuje część teologiczna raportu – człowiekiem przekonanym, że został wybrany przez Boga. On się utożsamia z głosem Boga. Wierzy, że jego działanie ma charakter soteriologiczny, tzn. ratuje przed rozmaitymi kataklizmami. I jednocześnie jest człowiekiem, który uważa, że szczególne wybranie przez Boga zdejmuje z niego obowiązek respektowania podstawowych norm moralnych, takich jak niestosowanie przemocy czy wierność złożonym przez siebie ślubom.

Raport pokazuje też, jak podatna na manipulowanie ludźmi jest duchowość charyzmatyczna, wsparta czarno-białym obrazem nieustannej walki z szatanem.

To prawda. Ten problem wymaga przemyślenia przez wspólnoty charyzmatyczne, ale też przez biskupów i przełożonych zakonnych. Pewne elementy duchowości charyzmatycznej i myślenia o egzorcyzmach w stylu popularnego w latach 90. rzymskiego egzorcysty Gabrielego Amortha zostały precyzyjnie użyte do stworzenia mechanizmu budowania sekty. Nie zakładam, że w Polsce są obecnie takie miejsca, jak Wspólnota św. Dominika założona przez Pawła M., ale można przypuszczać, że duszpasterzy, którzy uprawiają przemocowe kierownictwo duchowe, prowadzą przemocową spowiedź albo sterują ludźmi podlegającymi ich opiece duchowej, jest więcej.

Bardzo trudno jest kontrolować w duchowości charyzmatycznej – sam jestem członkiem takiej wspólnoty – co rzeczywiście pochodzi od Ducha Świętego, co jest efektem naturalnych przeżyć emocjonalnych, a czego źródłem jest psychiczna patologia, nie wykluczając także wymiaru demonicznego, o którym mówią wszyscy klasycy duchowości. Ale ostatecznie właśnie przełożeni kościelni są od oceniania takiej rzeczywistości. I z tym musimy się zmierzyć jako Kościół, w całości. To jest też pytanie o właściwy model egzorcyzmów. Oraz o poziom formacji samego Pawła M., który okazał się dramatycznie niski, podobnie jak poziom jego doktoratu. Ale również o to, dlaczego osobom, które skrzywdził, nigdy nie wyjaśniono, że to, czego nauczał, z perspektywy teologii katolickiej jest hucpą.

> Można przypuszczać, że duszpasterzy, którzy uprawiają przemocowe kierownictwo duchowe, prowadzą przemocową spowiedź albo sterują ludźmi podlegającymi ich opiece duchowej, jest więcej.

Zaskakuje, że pytania te powstają w kontekście zakonu, który szczyci się wysokim poziomem intelektualnym. Np. dlaczego wybitny dominikański teolog o. Jacek Salij dopuścił jako promotor do doktoratu Pawła M., mimo miażdżącej recenzji innego dominikanina, o. Bogusława Kochaniewicza, wybitnego mariologa?

Nie potrafię zrozumieć niejasnych tłumaczeń dominikanów. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przypuszczenie, że funkcjonuje tu pewien mało wymagający model zdobywania stopni naukowych.

Rozumiem, że rozmowy z zakonnikami nie były łatwe. Na jaw wychodziły różne przykre sprawy, jak np. problem alkoholowy wrocławskiego przeora z czasów działalności Pawła M., doskonale przez tego ostatniego wykorzystywany do krycia własnych postępków.

Niektórzy z zeznających zasłaniali się niepamięcią, nieznajomością itd. Nie byliśmy w stanie rozstrzygnąć, na ile było to prawdą. Wśród nas byli prawnicy, więc rozmowy były dociekliwe, ale pamiętajmy, że nie byliśmy prokuraturą.

Z raportu wyłonił się obraz zakonu funkcjonującego na nieformalnych zasadach, nieprofesjonalnie kierowanego. Można odnieść wrażenie, że u dominikanów nie obowiązuje np. prawo kanoniczne.

To mnie bardzo zaskoczyło. Oczywiście głównie dotyczy to pierwszych dyscyplinujących Pawła M. decyzji podejmowanych przez o. Macieja Ziębę, ale także podejścia jego następców. Wygląda na to, że doradztwo prawne w zakonie dominikanów było na poziomie minimalnym – nie analizowano dokumentów, nie próbowano rozeznać sytuacji. Chociaż w zakonie są bardzo dobrzy kanoniści, z ich porad z jakiegoś powodu nie korzystano.

W efekcie podejmowane decyzje sprawiały wrażenie kar, choć formalnie nimi nie były, albo były próbą podejmowania jakiegoś ograniczenia działalności Pawła M., lecz zupełnie nieskuteczną. A dość oczywisty dla kanonisty model działania skutecznego – np. nałożenie ograniczeń z klauzulą, że jeśli nie będą respektowane, pojawią się kary aż do wydalenia z zakonu – nie został zastosowany.

Jest dla mnie zagadką, jak to możliwe, że zakon o takiej tradycji intelektualnej nie wypracował – przynajmniej na poziomie zarządu – większego szacunku do aktów prawnych, które notabene nie tylko służą poszkodowanym, ale chronią też oskarżonego przed arbitralnymi decyzjami. Prawo nie jest po to, aby nam przeszkadzać, tylko po to, żeby pewne sprawy móc rzetelnie zbadać.

Czy wierzy Pan, że dominikanie będą potrafili się sami zreformować?

Nadzieję mam. Jak będzie, czas pokaże.

Podczas pracy nad raportem czuliśmy niekiedy bezsilność wobec bezładu i inercji instytucjonalnej zakonu. Mówię „niekiedy", bo spotkaliśmy też niesamowitych dominikanów.

Nie był Pan pierwszym kandydatem na szefa komisji. Dwie osoby odmówiły, gdyż było to zbyt trudne zadanie. Dlaczego Pan się zgodził?

Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że uznałem, iż bardzo długo jako publicysta komentowałem, krytykowałem – często ostro oceniając. To jest oczywiście zadanie interesujące intelektualnie, ale prostsze. Pomyślałem, a nie była to szybka decyzja, że jeżeli ktoś mówi „sprawdzam" – taki jesteś chojrak w komentowaniu, to sprawdź się – to wypada odpowiedzieć „tak". Po drugie, nie wiedziałem, na co się decyduję. Ale tego nikt do końca nie wiedział, godząc się na pracę w komisji. To przerosło nasze przewidywania.

Wiem o jednej osobie, która się nie zgodziła, bo zadzwoniła do mnie i wyjaśniła

mi swoje powody. Komisja działała trochę na ślepo, na zasadzie eksperymentu czy prototypu. Raczej chyba prawnik, psycholog, psychiatra, a nie publicysta powinien najpierw przyjść do głowy tym, którzy chcieli ją powołać.

Jak powstawał raport?

Pierwsze wersje poszczególnych części pisali fachowcy. Ja pisałem część faktograficzną, część teologiczną pisał Sebastian Duda, część psychologiczną – nasz „podstolik" psychologiczny. Ale każdy z tych fragmentów był później szeroko dyskutowany, były sugestie, uwagi, poprawki. Każdy z fragmentów czytał prawnik. Także po to, by uniknąć złamania prawa, bo istnieje takie niebezpieczeństwo w przypadku opracowywania tego typu dokumentu.

Wymienialiśmy się uwagami, a później – gdy te teksty były dopracowane – raport w wersji wstępnej dostali dominikanie, którzy nanieśli swoje uwagi i sugestie. Częściowo je zaakceptowaliśmy, częściowo nie – śladem tego jest część prawna i aneks będący protokołem rozbieżności między komisją a prawnikiem zakonu. W raporcie dostrzec można kompetencje osób, które go tworzyły, ale jest to jednak dzieło wspólne. Wspólnie dyskutowaliśmy, jak opisywać pewne sprawy, np. na ile szczegółowy powinien być opis wydarzeń. Bo on jest – jak można zauważyć – dość szczegółowy. Przy czym trzeba mieć świadomość, że pewne elementy, które mogłyby np. ośmieszyć czy wtórnie wiktymizować pokrzywdzonych, pomijaliśmy albo jedynie omawialiśmy. Ale dotyczy to również osób winnych.

TOMASZ URBANIEK / EAST NEWS

TOMASZ TERLIKOWSKI (ur. 1974) jest dziennikarzem, publicystą i działaczem katolickim. Doktor filozofii. Od 2017 r. dyrektor programowy Telewizji Republika.

Jeśli dominikanie mieli wpływ na raport, na czym polega jego niezależność?

To, że mogli zaproponować swoje sugestie, nie znaczy, że mogli cokolwiek zmienić. Mieli możliwość złożenia dodatkowych wyjaśnień. Jeśli uznaliśmy, że jest to uwaga istotna czy też pomagająca zrozumieć pewną kwestię, uwzględnialiśmy ją. Ale za kształt raportu odpowiada wyłącznie komisja. Nie było momentu, w którym dominikanie kazaliby nam coś zmienić.

Na przykład jaką uwagę uwzględniliście?

Że zgodnie z Konstytucjami Zakonnymi jedyną odpowiedzialność za to, co dzieje się w zakonie, ponosi prowincjał.

Podjął się Pan zadania, które choć powinno być normą, w polskich warunkach jest wciąż wyjątkowe – warto było?

Oczywiście. Po pierwsze dlatego, że mogłem spotkać się i poznać osoby skrzywdzone. To jest spotkanie, które mnie dużo nauczyło. Po drugie dlatego, że mogłem skonfrontować się z czymś, co określamy jako instytucjonalne zło – zaniedbaniem, nieczułością, brakiem empatii. Czym innym jest o tym wiedzieć, a czym innym doświadczyć przez historię konkretnych osób.

Nie wiem, jaka będzie percepcja tego raportu – czy zostanie zignorowany, czy przemyślany. Nie wiem też, czy naszym wzorem pójdą inni, powołując podobne albo inne komisje (prawdę mówiąc, akurat w to wątpię), ale pewną ważną wiedzę udało się zdobyć i można ją teraz przekazywać dalej.

Komisja przestała istnieć, wykonała swoje zadanie. Teraz będziemy odsypiać zarwane noce. Jeśli będzie trwać debata na temat raportu i zdiagnozowanych wyzwań, będziemy w niej uważnie uczestniczyć. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Gdy Bóg nie patrzy

Ukryję przed nimi Moje oblicze; zostanie pochłonięty i spotka go wiele nieszczęść i kłopotów. Rzeknie w owym dniu: »Czyż to nie dlatego, że nie ma mojego Boga pośród mnie, spotkały mnie te nieszczęścia?« Ja zaś starannie ukryję Moje oblicze w owym dniu z powodu całego zła, którego się dopuścił, gdyż zwrócił się ku obcym bogom" (Pwt 31, 17-18; przekład własny).

Mojżesz dociera już do kresu swojej ziemskiej wędrówki. Kiedy ciebie zabraknie – nie oszczędza mu smutnej prawdy Najwyższy – Dzieci Izraela odwrócą się ode Mnie i poniosą tego konsekwencje: „starannie ukryję Moje oblicze". Twarz odzwierciedla uczucia, jakie żywimy wobec innych. Pod wpływem emocji nasza cera zmienia nieco swój koloryt. Czasem tak bardzo gniewamy się na kogoś, że aż nie jesteśmy w stanie na niego patrzeć. Albo przepełnieni poczuciem winy wstydzimy się spojrzeć komuś w oczy. Dopóki nie staniemy z nim twarzą w twarz.

Baal Szem Tow, twórca chasydyzmu, opowiedział taką historię: zdarzyło się kiedyś, że król rozkazał, by wychłostać jego syna, który źle postępował. Póki król patrzył, sługa nie śmiał uderzyć królewskiego potomka, mimo że taki otrzymał rozkaz. Co zrobił król? Zakrył swoje oblicze, żeby nie widzieć, co się dzieje. Dopiero wówczas sługa był w stanie tak długo chłostać królewicza, póki ten nie okazał skruchy. Baal Szem Tow wyjaśnił swoją przypowieść następująco: póki Najwyższy strzeże swojego ludu, póty nic złego nie może mu się przydarzyć. Zostaliśmy nazwani „dziećmi" Boga. Stąd też jest napisane: „Ukryję Moje oblicze i zostanie pochłonięty".

Król Dawid namawia, byśmy zawsze szukali Bożego oblicza (Ps 105, 4). Wnuczek jednego z przywódców chasydzkich, Barucha z Międzyboża, który z kolei sam był wnukiem Baal Szem Towa, przybiegł raz do dziadka, roniąc krokodyle łzy. Rebe Baruch spytał chłopca, dlaczego płacze. Wnuczek wyjaśnił dziadkowi, że bawił się z dziećmi w chowanego. Kiedy przyszła jego kolej i ukrył się, dzieci sobie poszły i nikt go nie szukał. Rebe Baruch powiedział, że w odniesieniu do naszych wersetów Boża skarga mogłaby zabrzmieć podobnie.

Gdyby Najwyższy całkowicie zakrył twarz, nikt by się nie ostał. Wiemy jednak, że „oto nie śpi ani nie drzemie Strażnik Izraela" (Ps 121, 4) i przez usta kapłanów zsyła nam swoje błogosławieństwo: „Oby Pan cię błogosławił i strzegł. Oby Pan rozjaśnił dla ciebie swoje oblicze i okazał ci łaskę. Oby Pan zwrócił ku tobie swoje oblicze i zesłał ci pokój" (Lb 6, 24-26). Boża twarz zwrócona ku człowiekowi i świecąca nad nim – to wylewająca się nań Boża miłość. „Panie, Boże Zastępów, spraw, byśmy powrócili [do Ciebie]; rozjaśnij swoje oblicze, a będziemy wybawieni" (Ps 80, 20). ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Anonimowi grzesznicy

W Psalmie 19. czytamy: „Choć sługa Twój przestrzega [przykazań] gorliwie i bardzo sumiennie stara się je zachować – któż jednak zdoła spostrzec bezwiedne uchybienia? Zechciej mnie uwolnić od błędów popełnionych nieświadomie! Ustrzeż także sługę swego od grzechów pychy, by mną nie owładnęły! Wówczas bez skazy będę i wolny od ciężkich przewinień". Jak widać, gorliwość w służbie Bożej wcale nie daje gwarancji, że naprawdę służy się Bogu. Kiedy „przyjdzie Pan", ciekawe, co powiemy tym, których skrzywdziliśmy sądząc, że ich kochamy i działamy dla ich dobra? Pewnie powiemy, że nie wiedzieliśmy, chcieliśmy dobrze, to nie ze złej woli, hormony, wszyscy tak robili, zawsze tak było.

Lepiej będzie już dzisiaj sobie powiedzieć: tak, krzywdzę ludzi bezwiednie, z dobrej woli, ale to mnie nie usprawiedliwia. Odpowiadam zarówno za to, co wiem, jak też za to, czego nie wiem, bo nie chcę wiedzieć, gdyż uważam, że wszystko, co nie mieści się w mojej głowie, co zasiewa wątpliwości, budzi strach, jest z całą pewnością diabelską pokusą, przejawem braku mocnej wiary. I tak popadam w pychę. Wiedząc, że wiem wszystko, nikogo, a to znaczy, że i Boga, nie dopuszczam do głosu. Zagaduję Go, zakrzykuję, zaśpiewuję, byleby tylko nie zacząć milczeć i słuchać. Jakbym podskórnie czuł, że kiedy zacznę milczeć, czytać Biblię, medytować, żeby pełniej poznać jej Głównego Bohatera, wtedy będę musiał w swojej głowie wiele zmienić.

W polskim Kościele prawosławnym i w parafii unickiej bizantyjsko-słowiańskiej w Kostomłotach tak modlą się przed komunią: „Błagam zatem Ciebie, [Panie] zlituj się nade mną i odpuść mi moje grzechy dobrowolne i mimowolne, które popełniłem słowem lub uczynkiem, świadomie i nieświadomie, oraz uczyń mnie godnym, abym wolny od osądzenia stał się uczestnikiem przeczystych Twych tajemnic, na odpuszczenie grzechów i życie wieczne".

Papież Franciszek powiedział w Budapeszcie: „Nie zadowalajmy się byle czym; nie gódźmy się na wiarę, która żyje obrzędami i powtórzeniami, otwórzmy się na gorszącą nowość Boga ukrzyżowanego i zmartwychwstałego". W Słowacji dodał: „Nawet w Kościele może nam zagrażać następująca myśl: lepiej jest mieć wszystko z góry określone, prawa, których należy przestrzegać, bezpieczeństwo i jednolitość, niż być odpowiedzialnymi i dojrzałymi chrześcijanami, którzy myślą, badają swoje sumienie, pozwalają na wątpliwości". To „lepiej jest mieć" „to początek kazuistyki, w której wszystko jest uregulowane" – mówi Franciszek. Nic to nowego, Paweł Apostoł mówił: „Pozwólcie się odnawiać Duchowi w waszym myśleniu i przyobleczcie się w nowego człowieka, stworzonego zamysłem Boga w sprawiedliwości i prawdziwej świętości". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Synodalność

Zło rodzi się z braku poznania.

PRZYPISYWANE ANTONIEMU WIELKIEMU

Trudne rozpoczynaj od łatwego. Wielkie zaczynaj od małego.

LAOZI

„Jezus wędrował przez miasta i wsie, nauczając i głosząc Ewangelię o królestwie Bożym. A było z Nim Dwunastu oraz kilka kobiet, które zostały uwolnione od złych duchów i od chorób, Maria, zwana Magdaleną, którą opuściło siedem złych duchów; Joanna, żona Chuzy, rządcy Heroda; Zuzanna i wiele innych, które im usługiwały, udzielając ze swego mienia" (Łk 8, 1-3). Krótki tekst – przyniesiony przez Liturgię jakiś czas temu – i bardzo prosty; ktoś powie: „zwykła, sucha narracja". Czy rzeczywiście?

A może jest to tekst wręcz programowy w aktualnym „dziś" Kościoła? Oto widzimy Kościół w drodze. Jezus jest w drodze, a z Nim idą Apostołowie i kilka (kilkanaście?) kobiet, które doświadczyły przy Nim uzdrawiającej mocy wiary. Wspólna droga – grec. *synhodos* – synod.

Wędrują razem. Wzajemnie sobie usługując – każdy i każda w zgodzie ze swoim charyzmatem, w harmonii sprawianej przez Ducha Świętego.

Najważniejszy jednak jest cel tej wspólnej drogi (synodu) – celem jest ewangelizacja: „wędrował (...) głosząc Ewangelię".

To nie wycieczka. To misja.

To także nie własny (grupowy) styl bycia. To nie grupa wagabundów. To misja. Celem jest przekaz Ewangelii.

Dobrze jest, jak myślę, zatrzymać ten obraz synodalności w oczach, w umyśle, w sercu. Dużo mówimy dziś o synodalności. Zachęcamy się do niej, chcemy się jej uczyć. Bardzo często jednak jest ona rozumiana i przedstawiana jakby wsobnie – jedynie do wnętrza Kościoła. Wtedy pytamy przede wszystkim o to, w jaki sposób Kościół jest zarządzany. Czy jest otwarty na jakąś formę demokratyzacji? Czy duchowni okażą się skłonni i w jakim stopniu, by się podzielić odpowiedzialnością i władzą w Kościele? Czy i kiedy zostanie w Kościele ostatecznie przełamana pokusa klerykalizmu? Itd., itp.

Tymczasem w Kościele nie chodzi o Kościół. Kościół nie jest celem sam dla siebie. On potrzebuje zmian i reform, ale takich, które ukierunkowane są na misję: na ewangelizację. Każda rozeznawana w nim zmiana ma służyć przekazowi Dobrej Nowiny.

Tam, gdzie tracimy misję z oczu, zaczynają się jałowe spory. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (26 IX – 3 X)

26. niedziela zwykła: Lb 11, 25-29; Ps 19; Jk 5, 1-6; Mk 9, 38-43. 45. 47-48;
Poniedziałek: Za 8, 1-8; Ps 102; Łk 9, 46-50;
Wtorek: Za 8, 20-23; Ps 87; Łk 9, 51-56;
Środa: Dn 7, 9-10. 13-14 albo Ap 12, 7-12a; Ps 138; J 1, 47-51;
Czwartek: Ne 8, 1-4a. 5-6. 7b-12; Ps 19; Łk 10, 1-12;
Piątek: Ba 1, 15-22; Ps 79; Łk 10, 13-16;
Sobota: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;
27. niedziela zwykła: Rdz 2, 18-24; Ps 128; Hbr 2, 9-11; Mk 10, 2-16.

Wybrał PIOTR SIKORA

ZAPŁAĆ I WYGRAJ

W klasyfikacjach chorób pojawiają się już „zaburzenia związane z grami". A te są projektowane tak, byśmy grali jak najdłużej i wydali jak najwięcej. Zwłaszcza na smartfonie.

KRZYSZTOF STORY

Dane pokazują jasno: sformułowanie „gry komputerowe" powinno zniknąć z naszego słownika. Obraz gracza siedzącego przed ekranem peceta lub konsoli jako jedyny obowiązujący jest nieaktualny. Tym bardziej zniknąć powinno bagatelizujące ten biznes słowo „gierki". Odpowiednia nazwa to „gry cyfrowe" – rynek warty dziś więcej od branży filmowej i muzycznej. Jego wartość w 2020 r. szacuje się na 175 mld dolarów (ok. 1,5 raza więcej niż roczny budżet Polski). Gry mobilne są warte 86,3 mld dolarów – więcej niż komputerowe i konsolowe razem wzięte.

Eldorado powstało bardzo szybko. W 2020 r., ledwie 13 lat od pierwszego iPhone'a i 11 lat po premierze „Angry Birds", pierwszej naprawdę kasowej gry smartfonowej, fundacja Dbam o Mój Zasięg opublikowała wyniki badania „Granie na ekranie. Młodzież w świecie gier cyfrowych". Przepytano ponad 35 tys. uczniów, głównie szkół podstawowych. Najczęściej wykorzystywanym do grania urządzeniem okazał się smartfon. „Teraz większość graczy w skali świata to gracze mobilni, jest ok. 3,5 mld smartfonów, ok. 2,5 mld na świecie gra – ma ciągle przy sobie urządzenie do gry" – mówi cytowany w badaniu dyrektor studia gier.

Złów rybę

Polska branża gier nie przeszła jeszcze mobilnej rewolucji w takim stopniu. 84 proc. firm tworzy gry na komputery

ALESSANDRO BIASCIOLI / ADOBE STOCK

stacjonarne. To prosty model biznesowy – klient kupuje grę w wersji pudełkowej lub cyfrowej (do ściągnięcia z platform takich jak Steam), instaluje i cieszy się rozgrywką. Największe i najbardziej znane superprodukcje mają budżety po kilkaset milionów dolarów. „Cyberpunk 2077" kosztował ponad 320 mln dolarów, a „Wiedźmin 3" ok. 80 mln. Ich twórca, CD Projekt, to jedna z największych polskich firm. Jej wartość na warszawskiej giełdzie to obecnie ok. 18 mld zł, a w szczytowym momencie przebiła PKO i Orlen.

Warto jednak zwrócić uwagę na drugie miejsce wśród polskiego gamedevu na giełdzie. To wrocławska firma Ten Square Games, założona w 2011 r. przez twórców Naszej Klasy, obecnie warta 4 mld zł. TSG zarabia wyłącznie na grach mobilnych. Ich najbardziej dochodowa produkcja to smartfonowy symulator łowienia ryb. W ciągu kilku sekund mogę go za darmo ściągnąć na telefon, podobnie jak znakomitą większość gier mobilnych.

Dojdź do ściany

Jak zarobić miliony na darmowych grach? Tu obowiązuje zupełnie inny model biznesowy, a u jego podstaw leży utrzymanie uwagi użytkownika, inaczej mówiąc: uzależnienie go.

O tym, jak złożony jest to system, opowiada mi Tomasz. Pracuje jako *game designer*, jego zadaniem jest stworzenie mechaniki gry atrakcyjnej dla użytkowników i przynoszącej zyski.

Tomasz: – Jednym z najważniejszych parametrów gry jest retencja: jaki procent użytkowników wraca po określonym czasie. Retencja d1 – ile osób, które grały wczoraj, zagra dziś, d7 – ile mamy powrotów po tygodniu, d28 – po miesiącu. Oczywiście mierzymy też jakość każdej sesji: kiedy użytkownik gra, co robi w grze, jak długo w niej jest.

Z tej perspektywy gry mobilne funkcjonują w zupełnie innym świecie niż stacjonarne superprodukcje. Ich bezpośrednią konkurencją są raczej aplikacje społecznościowe, walczące o ekrany naszych telefonów. Funkcjonuje już nawet określenie *attention business* – biznes, który zarabia na poświęcaniu mu uwagi. Firmy takie jak Facebook w zamian np. pokazują nam reklamy lub handlują naszymi danymi. Gry też to robią. Po kilku minutach zabawy wyświetla mi się 15-sekundowa reklama. Muszę ją obejrzeć, jeśli chcę grać dalej. Ale w przeciwieństwie do portali społecznościowych, tu reklamy wcale nie są najważniejsze.

– Części użytkowników zupełnie wyłączamy reklamy – mówi Tomek. – To często zwiększa retencję, użytkownicy chętniej grają, jeśli nic ich nie rozprasza, a to z kolei przekłada się na pieniądze. To oczywiście zależy od konkretnego tytułu, ale reklamy to nie więcej niż dziesięć procent dochodu takiej gry.

Pozostała część gigantycznych przychodów pochodzi z zakupów w samej grze.

– Podstawowy termin to IAP, czyli *in-app purchase*, zakupy wewnątrz aplikacji – tłumaczy Tomek. – W skrócie: gracze za prawdziwe pieniądze kupują pieniądze wirtualne, które rozwiną ich postać, pomogą wbić następny poziom, pozwolą zdobyć lepszą broń.

W ten sposób w symulatorze wędkarstwa, by złowić większą rybę, trzeba mieć odpowiedni spławik, linkę, wędkę, przynętę – system jest rozbudowany.

– Topowe tytuły działają na zasadzie „zapłać, by grać" – mówi Tomek. – Tutaj mamy zasadę „zapłać, by wygrać" (ang. *pay-to-win*). Owszem, gra jest darmowa, ale projektuje się ją tak, by po pewnym czasie użytkownik doszedł do ściany, tzw. paywalla [moment, w którym progres bez płacenia staje się niemożliwy – red.]. Ten czas jest oczywiście obliczony, to może być pół roku, rok regularnej gry. Twój postęp zwalnia do tego stopnia, że nic już nie ugrasz. Chyba że zapłacisz. ↦

↦ Oczywiście w tym momencie większość graczy się zniechęca i odinstalowuje aplikację. Projektanci gier dobrze o tym wiedzą. Swoich odbiorców dzielą na cztery grupy.

Ci, którzy nigdy nie zapłacą ani złotówki, to freeloaderzy (ang. darmozjady). Każdy projektant wie, że to ok. 95 proc. odbiorców. Grę projektuje dla pozostałych 5 procent.

– Tutaj dzielimy w zależności od wydanej kwoty, slangowo przypisujemy im gatunki wodnych stworzeń – opowiada Tomek. – *Minnows* (ang. strzebla, mała rybka z rodziny karpiowatych) wydają najmniej, jak mogą. Drugim progiem są delfiny – regularne, ale małe zakupy, i wreszcie *whales*, czyli wieloryby – ci, którzy grają i wydają najwięcej.

Na blogach dla game designerów powtarza się informacja, że wieloryby to ok. 10 proc. wszystkich płacących użytkowników, czyli 0,5 proc. wszystkich graczy. Ale najbardziej uzależnieni potrafią wydać na grę kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Ile zarabia dany tytuł? Szacunkowo można to sprawdzić na stronie sensortower.com. Wpisuję przywołany już symulator wędkarstwa. Miesięcznie – 6 mln dolarów (2 na androidzie i 4 na iPhone'ach).

– Nic dziwnego, że producenci gier coraz częściej inwestują w ten rynek – mówi Marek Szymaniak, dziennikarz portalu Spider's Web. – Stworzenie superprodukcji to olbrzymia inwestycja, trwa kilka lat i jest obarczone ogromnym ryzykiem. Wystarczy spojrzeć na losy „Cyberpunka 2077". Smartfonowy *pay-to-win* może zrobić kilkuosobowy zespół, a zysk w porównaniu do wkładu jest ogromny.

Ognisko w Minecrafcie

Pieniądze przeliczyć dużo łatwiej, niż oszacować konsekwencje. Stajemy się coraz bardziej uzależnieni – według badań firmy DScout przeciętny użytkownik dotyka ekranu smartfona 2617 razy i poświęca mu 2,5 godziny każdego dnia. Najnowsza wersja klasyfikacji chorób ICD po raz pierwszy uznaje „zaburzenia związane z grami" (*gaming disorder*) za mające związek z uzależnieniami. W wydawanej przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne klasyfikacji DSM podobna pozycja występuje od kilku lat.

– Kluczowym objawem jest utrata kontroli – mówi Marta Wojtas z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, koordynatorka poradni Dziecko w Sieci. – Osoba przestaje panować nad tym czasem, zaczyna gorzej funkcjonować w realnym świecie, rezygnuje z relacji, z dotychczasowych hobby i pasji. Często zatraca różne umiejętności społeczne, a to wtórnie przyciąga przed ekran. Skala problemu nie jest ogromna, z badań wynika, że 12 proc. dzieci ma różne objawy nadużywania ekranów, ale cały zestaw to tylko 1 proc. [te liczby dość dobrze odpowiadają podziałowi płacących w grach mobilnych – red.].

Trzy objawy problemu: utrata kontroli, przedkładanie gier nad inne zainteresowania i obowiązki, granie dalej mimo negatywnych konsekwencji.

Klasyfikacja ICD-11 podaje trzy objawy *gaming disorder*: utrata kontroli, przedkładanie gier nad inne zainteresowania i codzienne obowiązki, a także granie dalej pomimo negatywnych konsekwencji. Gry są tak uzależniające, bo wypełniają długą listę naszych potrzeb: rozrywki, rywalizacji, przynależności do grupy, informacji zwrotnej. Dają silne emocje, poczucie kontroli, często obsypują nagrodami za wykonanie tej czy innej misji. O tym, co zabierają (poza pieniędzmi), ich producenci raczej nie mówią.

Według Marty Wojtas na negatywne konsekwencje narażone są szczególnie dzieci: – Oczywiście straty są też finansowe, znam przypadek, w którym dziecko wydało 1500 zł na grę z podpiętej do telefonu karty rodzica, ale gorsze są skutki psychologiczne. Dzieci mają jeszcze niedojrzały układ nerwowy, są podatne na silne bodźce w grach. Rodzice często myślą, że skoro ich dwunastoletni syn dobrze funkcjonuje w realnym świecie, to online będzie w stanie się kontrolować. Oczekiwanie, że będzie odkładał telefon, bo tak jest dobrze, jest niespójne z tym, jak wygląda rzeczywistość. Wiele badań potwierdza, że nawet telefon bezczynnie leżący obok może przyciągnąć 30 proc. uwagi młodego człowieka.

Potwierdzają to badania fundacji Dbam o Mój Zasięg: „Jeden na pięciu badanych uczniów nie potrafi skoncentrować się na jednej czynności z powodu rozproszenia uwagi telefonem komórkowym, odczuwa również niepokój, kiedy nie ma przy sobie smartfona. Prawie co czwarty badany nastolatek stwierdził, że towarzyszy mu poczucie niezadowolenia wówczas, kiedy nie może korzystać ze smartfona tak długo, jak chce".

Problem nasilił się w trakcie pandemii. – Większość przypadków nadużywania ekranów dotyczy grania – mówi Wojtas. – W 2020 r. mieliśmy ok. trzystu konsultacji z rodzicami i czterystu z dziećmi. To dwu-, a nawet trzykrotny wzrost. Dzieci często zaczynały grać pozostawione bez opieki podczas zdalnej edukacji albo dlatego, że gry były jedyną szansą na spotkanie z rówieśnikami.

W badaniu „Granie na ekranie" jeden z uczniów odpowiedział: „Podczas korony gram więcej, bo to jeden z niewielu sposobów na spotkanie się ze znajomymi, żeby zrobić ognisko w Minecrafcie".

Faktem jest, że najpopularniejsze są wcale nie superprodukcje, tylko gry z silnym komponentem społecznościowym i mechaniką, która umożliwia tworzenie, budowanie świata. Choćby „Minecraft" czy „Fortnite".

– Na tę społeczną funkcję można patrzeć pozytywnie – mówi Wojtas. – Pamiętajmy tylko, że relacje online są dużo płytsze. Oczywiście gramy razem, ale raczej nikt nie zapyta, jak się czujemy, nie wesprze w trudnej sytuacji.

Wybierz skrzynkę

Gry są projektowane tak, by użytkownik grał jak najdłużej i wydał jak najwięcej. To drugie jest ważniejsze. Priorytet, jak mówi dyrektor studia gier cytowany w badaniu fundacji Dbam o Mój Zasięg, „to niekoniecznie ilość czasu, tylko stopień zaangażowania emocjonalnego – na ile to podstawowa rzecz, wokół której kręci się życie". By to osiągnąć, często wykorzystuje się luki w prawie.

Tomek, projektant gier: – Oczywiście obowiązuje nas ustawa o grach hazardowych, ale wiele sposobów na monetyzację bierzemy wprost z kasyna.

Najbardziej popularnym są lootboksy – występują w prawie każdej dochodowej grze. To skrzynki, które gracz może kupić i dopiero wtedy dowie się, co jest w środku. Zjawisko przebadała grupa naukowców z KUL: „Spośród graczy deklarujących otwieranie lootboksa w minionym roku aż 27,1 proc. zrobiło to po

raz pierwszy w okresie największych restrykcji". Ale dużo ważniejszy wniosek jest inny. – Korzystanie z lootboksów może współwystępować z aktywnością hazardową online i offline – mówi dr Bernadeta Lelonek-Kuleta, współautorka badania. – Mechanizmy parahazardowe w grach mogą być bramą do prawdziwego hazardu.

Dodatkowym problemem z lootboksami jest brak skutecznej kontroli wiekowej, co oznacza, że z mechanizmów hazardowych w grach swobodnie korzystają dzieci (a to one najczęściej wybierają smartfon jako urządzenie do gier). Prawo tego nie reguluje.

– To nie jest hazard w myśl ustawy, bo lootboksy mają określoną zawartość – mówi Tomek. – Wiadomo np., że w środku będzie przedmiot z poziomu piętnastego, dwa z poziomu dziesiątego i 50 sztuk jakiegoś surowca. Ale co konkretnie, dowiemy się po otwarciu skrzynki.

Jest jeszcze jedna luka: prawie wszystkie transakcje związane z lootboksami odbywają się za pomocą wirtualnej waluty w grze. Ze względu na brak realnych pieniędzy nie może być to uznane za hazard. Ale wirtualną walutę kupujemy za prawdziwe pieniądze.

Przygody maga

– Każda gra ma co najmniej dwie waluty – wyjaśnia Tomek. – Pierwszą nazywamy miękką. To najczęściej takie podstawowe, plebejskie złoto, monety. Kupujesz za nie atrybuty, ulepszasz postać. Zróbmy przykładową grę RPG, „Wizard Adventures". Wcielasz się w postać maga, chodzisz po świecie i coś tam czarujesz. Za miękką walutę mógłbyś ulepszyć czary ognia o jeden procent obrażeń. Albo o jeden procent długości trwania. I tak w nieskończoność. Miękkiej waluty masz po jakimś czasie tyle, że przestajesz na nią patrzeć.

Inną rolę ma druga, twarda waluta: – W naszej grze to będą np. magiczne runy. Dostajesz ją w wyjątkowych okazjach: awans na nowy poziom, pokonanie bossa. Oczywiście możesz ją też kupić za monety z gry. Do wielu gier są poradniki, jak zebrać jej jak najwięcej bez płacenia, to pozwala przesuwać paywalla. Nasz mag mógłby się nauczyć zupełnie nowego zaklęcia albo zamiast dwunastu godzin czekać na nową misję, czekać tylko dwie.

> Gry dają silne emocje, poczucie przynależności, rozrywki, rywalizacji, obsypują nagrodami. O tym, co zabierają, **producenci nie mówią.**

Ale większość popularnych gier ma jeszcze trzecią walutę: – To waluta premium. Magiczne talizmany. W grze praktycznie nie do zdobycia, chyba że podczas specjalnych eventów. Za nią kupujesz rzeczy, które nie mają żadnego wpływu na rozgrywkę. Nową, inaczej wyglądającą różdżkę albo świecący kapelusz. Wszystko, co pozwala ci pokazać w grze swój własny styl. Najpopularniejsze gry polegają właśnie na niej. W „Fortnite" zasady są równe dla wszystkich, nie ma tak, że jak zapłacisz, to jesteś silniejszy. Ludzie chętniej w to grają, bo czują, że gra jest sprawiedliwa i wydają kasę, by być w niej „sobą".

Rozwój wielu gier jest podporządkowany monetyzacji. Nowe zaklęcia, różdżki i szaty dla naszego maga są dodawane głównie po to, by je sprzedać.

– Świetnym sposobem jest zmuszenie użytkownika, żeby płacił za to, że nie musi tak dużo grać – mówi Tomek. – Wprowadzam do gry jakąś upierdliwą funkcję: magowi przepadają wszystkie punkty many [słowo pochodzące z religii polinezyjskich na określenie energii używanej do rzucania zaklęć – red.], jeśli nie zalogujesz się raz na cztery godziny. Chyba że kupisz kondensator many, który zatrzymuje ten efekt. Albo pokazujemy graczowi więcej reklam, chyba że zapłaci, by ich nie oglądać.

Największe gry mają miliony pobrań. Tomek mówi, że „duża gra" zaczyna się dla niego od 20 tysięcy użytkowników aktywnych każdego dnia. – Gra co jakiś czas przypomina ci o możliwości dokupienia magicznych run – tłumaczy. – Wyświetla ramki, pokazuje nowe przedmioty. Jeśli coś kupisz, znalazłeś się w pięciu procentach użytkowników, którzy mnie najbardziej interesują. Wtedy moim zadaniem jest pokazać ci najdroższą możliwą ofertę, którą łykniesz. Do tego systemu jest podpięta cała analityka. To, czy gra zaproponuje ci lootboksa za pięć czy pięćdziesiąt dolarów, zależy od kraju twojego pochodzenia, poziomu w grze, historii zakupów, a nawet modelu telefonu. Inną ofertę pokażę na tanim, inną na najnowszym. Mierzymy każde zachowanie gracza. Jeśli często wchodzisz i patrzysz na tablicę najwyższych wyników, to pewnie ci zależy – czyli wydasz więcej. Z drugiej strony, jeśli masz dziesięć procent baterii, gra nie będzie cię irytować reklamami, bo i tak na padającym telefonie nie wykonasz płatności.

Niektóre gry organizują wieczny festiwal promocji. – To toporny mechanizm, ale działa – mówi Tomek. – Specjalna oferta wyświetla się co kilka dni. Black Friday, Halloween, Boże Narodzenie, pełnia Księżyca, trzecia środa miesiąca. Projektujemy grafikę z dynią i przygotowujemy specjalną paczkę z monetami, a dochód rośnie.

Równowaga ekranowa

Największe grupy ryzyka to kobiety (63 proc. graczy mobilnych na świecie) oraz dzieci. Martę Wojtas pytam o rady, jak grać bezpiecznie.

– Najważniejsze: potrzeba regulacji dotyczących hazardu w grach dla dzieci – mówi psycholożka. – Po drugie: zakaz ekranów jako kara nie jest dobrym pomysłem. Jeśli wprowadzi się to w system kar i nagród, napięcie tylko wzrasta, często staje się zarzewiem konfliktów międzypokoleniowych. Po trzecie: jeśli rodzic oczekuje od dziecka równowagi online/offline, sam musi ją zachowywać. Chyba ta równowaga, która dotyczy całej rodziny, jest podstawą. Niekorzystanie z ekranów przed snem, wydzielenie przestrzeni bez urządzeń elektronicznych w domu, skupienie się na zajęciach offline.

Zdaniem Wojtas limity czasowe są potrzebne głównie młodszym dzieciom: – To uczy ich nawyku odkładania urządzenia. Dla dzieci do szóstego roku życia zalecanym limitem jest godzina dziennie przed ekranem. Od 6 do 12 lat – dwie godziny. Telewizor też musimy w to wliczyć.

Spojrzenie smoka

Po co w ogóle powstają gry mobilne dla dzieci? – Pozornie to bez sensu – przyznaje Tomek. – Dzieci to tani ruch najgorszego sortu z perspektywy monetyzacji. Ale są firmy, które robią kilka gier dla ↦

↦ kolejnych grup wiekowych i przerzucają graczy z jednej do drugiej przez reklamy. Na pierwszej nie zarobią prawie nic, ale na trzeciej – miliony. To skomplikowany system. Są firmy, które zajmują się tylko monetyzacją w grze. To nie jest tak, że podpinasz reklamę i samo się kręci.

– Twoim zdaniem cały ten mechanizm jest uczciwy?

– Tak, oferta jest jasna, nikogo się nie zmusza. Zresztą to odpowiedź na potrzeby rynku. Tego wcale nie wymyślili twórcy gier. Gdy pojawiły się pierwsze masowe gry online, ludzie w internecie zaczęli masowo handlować postaciami, można było zapłacić, żeby ktoś wbił ci wyższy poziom, albo dokupić złota. Dopiero później przejęły to same gry.

– Lubisz to, co robisz? – pytam Tomka.

– Widzisz, że mechanizmy są ciekawe. Ale tak naprawdę wolę tworzyć same gry. Wymyślać zadania, fabułę, tworzyć opowieść, a nie kolejne systemy monetyzacyjne.

– Jak kończą się gry oparte na mikropłatnościach? O co w nich tak naprawdę chodzi?

– Różnie. W części możesz osiągnąć maksymalny poziom i wtedy dopiero zaczyna się zabawa. To głównie gry oparte na społecznościach. Możesz wtedy wspólnie chodzić na misje, nie boisz się, że twoja postać umrze, jak smok tylko na nią popatrzy.

– A w innych?

– O to, żebyś nie miał życia. Żebyś siedział i grał i bardzo chciał wyprzedzić kolesia, który jest pierwszy w rankingu i pewnie wydał na tę grę kilkanaście tysięcy dolarów.

– Wydałeś kiedyś pieniądze w grze?

– Nigdy bym za to nie zapłacił. Wybacz, ale naprawdę czasami mam poczucie, że moi użytkownicy to debile.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Reportaż powstał we współpracy z Fundacją Inspiratornia w ramach projektu dofinansowanego z Funduszu Rozwiązywania Problemów Hazardowych.

Telefon zaufania dla osób zmagających się z uzależnieniem od gier: 801 889 880

Pracownik w ciemnym zaułku

PIOTR WÓJCIK

Pomimo rekordowo niskiego bezrobocia i rosnących pensji polski rynek pracy dalej przypomina bardziej Rosję niż Niemcy.

W czerwcu stopa bezrobocia spadła do 3,6 proc., co było trzecim najlepszym wynikiem w UE. Polski świat pracy wyszedł z pandemii w zaskakująco dobrej formie, co potwierdza jeszcze szybki, sięgający nawet 10 proc. rocznie, wzrost płac. Ale spod świetnych statystyk wyłania się mniej przyjemny obraz. Rynek pracy przypomina atrakcyjne turystycznie miasto, w którym pięknie odnowione centrum otoczone jest brudnymi ulicami.

Bierni znad Wisły

Niski poziom bezrobocia nie informuje, jak wiele osób w danym kraju ma pracę. O tym mówi wskaźnik zatrudnienia, w którym tak dobrze już nie wypadamy. Według OECD na koniec pierwszego kwartału 2021 r. zatrudnienie miało 69,5 proc. Polek i Polaków w wieku produkcyjnym, a więc 2 pkt. proc. mniej niż w Austrii, w której stopa bezrobocia jest niemal dwukrotnie wyższa. W Szwecji wskaźnik zatrudnienia wynosi aż 74 proc., tymczasem oficjalne bezrobocie jest tam niemal trzykrotnie wyższe niż w Polsce. Wynika to z tego, że nad Wisłą mamy ogromną liczbę biernych zawodowo w wieku produkcyjnym, którzy pracy nie szukają lub nie zamierzają jej podjąć, więc w wykazach statystycznych nie są uznawani za bezrobotnych. Wśród nich jedynie mniej niż co dziesiąty jest na wcześniejszej emeryturze – pozostali wypadli z rynku z powodów, które w większości państw Europy nie eliminują z życia zawodowego. Np. z powodu niepełnosprawności (ponad jedna czwarta) lub obowiązków domowych (prawie jedna trzecia).

Specyficzną grupą, o kluczowym znaczeniu w kontekście przyszłości, są tzw. NEET-si – czyli osoby w wieku 15-29 lat, które nie uczą się ani nie pracują. Według opublikowanego niedługo przed pandemią raportu Instytutu Badań Strukturalnych, w Polsce takich osób jest 750 tys.; to dziesiąty najwyższy wynik w UE. Stanowią oni 12 proc. swojej grupy wiekowej i jeśli nie zostaną szybko zaktywizowani, prawdopodobnie wypadną z rynku pracy już na dobre.

Aktywizacją biernych zawodowo powinny zajmować się urzędy pracy, niestety ich skuteczność na tym polu jest mizerna. Obecnie zajmują się głównie rejestracją bezrobotnych, a osoby bierne zawodowo są poza ich radarem. Polska właściwie nie prowadzi też tzw. aktywnej polityki rynku pracy, która jest znakiem rozpoznawczym nie tylko Skandynawii, ale też Beneluksu czy Niemiec. Na całą politykę rynku pracy wydajemy 0,5 proc. PKB, aż sześć razy mniej niż Dania, przy czym i tak zdecydowana większość tych środków przeznaczana jest na zasiłki dla bezrobotnych. Na same programy szkoleniowe wydajemy proporcjonalnie 40 razy mniej niż Dania, Austria czy Finlandia.

Młode matki na aucie

Bierność zawodową wśród młodych najczęściej powodują obowiązki opiekuńcze – aż 58 proc. Polek należących do grupy NEET-sów nie szuka pracy właśnie z tego powodu. A instytucjonalne wsparcie państwa w opiece nad najmłodszymi jest w powijakach. Znalezienie miejsca w publicznym żłobku w większości gmin jest niemożliwe: zwyczajnie gminy ich nie prowadzą. Dla przykładu, 130-tysięczne Tychy mają jeden miejski żłobek. A żłobki prywatne pobierają czasem nawet kilkukrotnie wyższe opłaty niż publiczne, więc mniej wykwalifikowanym kobietom nie opłaca się iść do pracy, gdyż większość pensji może pochłonąć koszt żłobka.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Absolvent Talent Days – targi pracy i praktyk w hali Expo w Łodzi, kwiecień 2019 r.

Wbrew pozorom polityka rodzinna to element polityki rynku pracy. Dostęp do instytucji opiekuńczych wpływa na aktywność zawodową kobiet. O ile poziom zatrudnienia mężczyzn jest wysoki, nawet wyższy niż w Szwecji czy Norwegii, to poziom zatrudnienia Polek jest jednym z najniższych w Europie, znacznie niższym niż we Francji i Portugalii, choć na pierwszy rzut oka sytuacja na tamtejszych rynkach pracy jest dużo gorsza.

W ostatnich latach pod tym względem zanotowaliśmy regres. Wskaźnik zatrudnienia kobiet z dzieckiem w wieku do lat pięciu od 2015 r. spadł z 64 do 63 proc.: nieznacznie, ale ostatnie lata upływały pod znakiem wzrostu ogólnego zatrudnienia i spadku bezrobocia. W rezultacie luka w zatrudnieniu kobiet i mężczyzn wzrosła z 11 do 13 pkt. proc. – w Niemczech i Francji jest dwukrotnie niższa, a w Szwecji trzykrotnie. Często przytacza się stosunkowo niezłe dla Polski dane dotyczące luki płacowej między płciami (*gender pay gap)* – luka w zatrudnieniu, nad Wisłą jedna z najwyższych w Europie, pojawia się znacznie rzadziej.

Jedna czwarta poza parasolem

W kontekście sytuacji pracowników często wskazuje się na zjawisko tzw. dualizmu rynku pracy w Polsce. Znacznej grupy pracujących dotyczą inne zasady niż większości. Według GUS w 2019 r. na podstawie stosunku pracy zatrudnionych było 74 proc. pracowników, co od dekady właściwie się nie zmieniło, pomimo nieustannych dyskusji o konieczności ograniczenia „śmieciowego zatrudnienia". Tak więc jakaś jedna czwarta zatrudnionych – ok. 2 mln ludzi – pozostaje poza parasolem kodeksu pracy.

Najgorsza jest sytuacja zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych. Według GUS wyłącznie na tego typu umowach pracuje 1,2 mln osób, pozbawionych podstawowych praw pracowniczych, w naszym kręgu cywilizacyjnym uznawanych za oczywistość.

Temat umów cywilnoprawnych często jest bagatelizowany, gdyż rzekomo mają one być wstępem do zatrudnienia etatowego. Niestety w rzeczywistości stają się pułapką. Według publikacji Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE) „Dualizm polskiego rynku pracy w dobie pandemii COVID-19", tylko jedna piąta zatrudnionych w pierwszej pracy na umowie zleceniu lub umowie o dzieło po trzech latach od zakończenia edukacji otrzymuje etat na czas nieokreślony. Bardziej prawdopodobne jest, że zatrudnienie na umowach cywilnoprawnych skończy się tymczasowym bezrobociem niż stałym etatem.

Elementem dualizmu rynku pracy jest też niezwykle popularne samozatrudnienie – mowa o kolejnych 1,3 mln osób. Jednoosobowi przedsiębiorcy (JDG) bywają przedstawiani jako grupa generalnie dobrze sytuowana, co ma pewne uzasadnienie – według danych Ministerstwa Finansów stanowią połowę wśród 10 proc. najlepiej zarabiających podatników. Równocześnie jednak wśród 10 proc. najmniej zarabiających podatników samozatrudnieni stanowią aż jedną piątą.

Samozatrudnienie często dotyczy nisko wykwalifikowanych pracowników, których pracodawcy wypchnęli na działalność gospodarczą, by ograniczyć koszty. A także wielu pracujących dorywczo, skaczących od zlecenia do zlecenia, którzy otworzyli „firmę", by mieć ubezpieczenie. Ich sytuacja nie jest lepsza niż zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych. Co gorsza, według PIE w czasie pandemii część pracowników zachowała pracę za cenę przesunięcia na działalność gospodarczą – dowodzi tego wzrost liczby samozatrudnionych (o 35 tys.) połączony ze spadkiem liczby pracujących na etatach.

Bezzębna inspekcja

Co roku międzynarodowa konfederacja związków zawodowych ITUC publikuje ranking Global Rights Index, w którym opisuje skalę łamania praw pracowniczych na świecie. W tegorocznej edycji Polska trafiła znów do grupy trzeciej – tj. „regularne łamanie praw" – m.in. z Meksykiem, Argentyną, Rosją i RPA, ale też z Wielką Brytanią czy Kanadą, która spadła z grupy drugiej. Zdecydowana większość krajów członkowskich UE jest w grupie drugiej lub pierwszej.

Niestety, nie bardzo ma kto tych praw bronić. W krajach rozwiniętych zajmują się tym zwykle związki zawodowe, które w Polsce dominują w największych przedsiębiorstwach, gdzie skala łamania prawa pracy i tak jest najniższa. W takiej sytuacji niezbędne jest istnienie sprawnej inspekcji pracy, ale ta w ostatnim czasie właściwie się zwija.

W 2019 r. PIP przeprowadziła 73 tys. kontroli, czyli o jedną czwartą mniej niż dekadę wcześniej. Skontrolowano 58 tys. firm, tymczasem samych mikroprzedsiębiorstw zatrudniających więcej niż jedną osobę (ale mniej niż 10) jest w Polsce ok. 600 tys. To właśnie w takich mikroprzedsiębiorstwach, w których pracuje 4 mln osób, skala łamania praw pracowniczych jest największa – a oko PIP zwykle tam nie sięga. I nic dziwnego, skoro liczba inspektorów pracy spada, a planowany przez jej szefa budżet jest niższy o kilkadziesiąt milionów niż np. budżet IPN. ©

Dorośli i tak nie słuchają

MARIA REIMANN, ANTROPOLOŻKA:

Główną emocją, jaką dzieci odczuwały podczas lockdownu, nie była nuda, lecz tęsknota za innymi dziećmi.

ANNA GOLUS: To dobrze, że dzieci wróciły do szkół?

MARIA REIMANN: Myślę, że tak. Z prowadzonych przez nas badań wynika, że podczas nauczania zdalnego tęsknota za rówieśnikami była jednym z najczęstszych uczuć.

„Pytamy, próbujemy zrozumieć, gromadzimy wiedzę. Co dzieci myślą o COVID-19? Co oznacza lockdown dla nastolatków? Jak to jest być osobą niedorosłą w czasie pandemii?" – piszecie na stronie projektu „Młodzi i pandemia".

To właściwie trzy powiązane ze sobą projekty. W marcu 2020 r., tuż po zamknięciu szkół, uruchomiłyśmy „Dziecięce archiwum pandemii", w którym zbierałyśmy przesyłane przez rodziców prace dzieci – rysunki, kolaże, fotografie i teksty – na temat pandemii. Kilka miesięcy później ruszył projekt „Młodzi o pandemii", w ramach którego rozmawiałyśmy z nastolatkami. Obecnie prowadzimy, razem z kilkoma przedszkolami z Pruszkowa, projekt „Zmiana. Dziecięce doświadczenie pandemii".

Czego się dowiedziałyście?

Przede wszystkim tego, że dzieci chcą być włączone, odpowiedzialne i poważnie traktowane. Chcą mieć wpływ, pomagać innym. Nawet małe dzieci widzą siebie jako podmioty sprawcze. W naszym archiwum są np. rysunki przedstawiające dzieci, które walczą z koronawirusem, czy szczegółowe instrukcje mycia rąk, przygotowane przez dzieci dla całej rodziny.

Nastolatkowie natomiast mówili, że przez zakaz wychodzenia z domu nie mogli pomagać rodzicom, dziadkom i innym osobom zagrożonym. Zarówno w pracach dzieci, jak i wypowiedziach młodzieży bardzo dużo jest frustracji i poczucia bezradności. Oczywiście jest to częściowo doświadczenie nas wszystkich, bo dorośli też przeżyli taki moment, że nie mieli na nic wpływu. Natomiast w przypadku osób niedorosłych było to dodatkowo wzmocnione przez sposób, w jaki zostały one potraktowane przez państwo.

Narzucono im więcej restrykcji.

Najpierw zakazano wychodzenia z domu bez opieki dorosłych wszystkim osobom niepełnoletnim, a następnie wszystkim poniżej 14. roku życia. Planowano nawet zamknięcie dzieci i młodzieży w domach podczas ferii zimowych! Nastolatkowie, z którymi rozmawiałyśmy, mieli o to żal i czuli złość na dorosłych. Zwracali uwagę, że często widzą dorosłe osoby bez masek albo z maskami pod brodą, ale to oni – choć noszą maski poprawnie – są uważani za zagrożenie i to ich zamyka się w domach. Pomysł, by odpowiedzialność dystrybuować w zależności od wieku, jest niedobry: dzieci i nastolatki bywają odpowiedzialne i nieodpowiedzialne tak samo jak dorośli. Wydaje się zresztą, że szkodę nam wszystkim wyrządzają raczej dorośli – to oni przecież angażują się w ruchy antyszczepionkowe, głoszą teorie spiskowe i to raczej ich należałoby się bać. Ale to dzieci i młodzież zamykano w domach.

I nikt im nie wyjaśniał, co i dlaczego.

To jest też specyfika Polski, bo w innych krajach władze zwracały się bezpośrednio do najmłodszych obywateli, a na stronach rządowych były informacje przygotowane specjalnie dla dzieci. U nas nikt niczego takiego nie zrobił ani nie przeprosił dzieci za zamknięcie ich w domach. Natomiast w Hiszpanii, gdzie również przez jakiś czas obowiązywały bardziej restrykcyjne zakazy dla osób niedorosłych niż dorosłych, premier przeprosił dzieci! Obejrzałam jego wystąpienie kilka razy, było piękne i poruszające. Dorośli rzadko przepraszają dzieci, a politycy rzadko przepraszają kogokolwiek.

W „Dziecięcym archiwum pandemii" znajduje się fragment pamiętnika 9-letniej Łucji, która pisze o tęsknocie za koleżankami, ale też próbuje sama siebie rozbawić: „Jakiś prezydent powiedział żeby dzieciom włączać Netflix a w ostateczności książki! Hyba na odwrut" [pisownia oryginalna].

Wśród dorosłych panuje przekonanie, że dzieci podczas lockdownu czuły głównie nudę – że nie wiedzą, co ze sobą zrobić, i przeszkadzają pracującym zdalnie rodzicom. Wystarczy jednak porozmawiać z dziećmi albo przyjrzeć się temu, co robią, by odnieść wrażenie, że główną emocją, jaką one odczuwają, nie jest nuda, lecz tęsknota za innymi dziećmi. Widać też, że próbują same poradzić sobie w tej sytuacji – pocieszyć się i znaleźć twórcze zajęcie. W naszym archiwum jest też piosenka hiphopowa, którą bardzo lubię. Autorka, 6-letnia Klara rapuje: „przesada, przesada, nie pozwalają wyjść z domu", i wyraża również moje emocje. Pamiętam, że ja też wtedy czułam, że to „przesada, przesada", kiedy przez pewien czas nie pozwalali wyjść do lasu.

Mówiąc o tym archiwum, musimy jednak pamiętać, że to nie jest opis doświadczeń wszystkich dzieci w Polsce. Nie ma tu opowieści o przemocy, zaniedbaniu, odcięciu od wszystkich osób, które mogą zobaczyć, że dziecku dzieje się krzywda. Wiadomo, że dla części dzieci lockdown – zamknięcie w takim domu, który jest najbardziej niebezpiecznym miejscem, bez możliwości wyjścia i szukania pomocy – to było piekło, ale takich historii tutaj nie ma. „Dziecięce archiwum pandemii" obejmuje szczególną, uprzywilejowaną grupę dzieci – tych, których rodzice interesują się nimi, troszczą się o nie, a poza tym znaleźli nasze ogłoszenie, mieli ochotę przyjrzeć się temu, co ich potomstwo robi, i podzielić się tym z nami.

A czy dzieci wyraziły zgodę na wysłanie swoich prac? Czytając pamiętnik Łucji, czułam dyskomfort.

MAURYCY GOMULICKI

Maria Reimann, wrzesień 2019 r.

Autorzy wszystkich prac wyrazili zgodę. Uzyskanie jej jest zresztą jednym z najważniejszych elementów badań z dziećmi i tym, co różni „badania z dziećmi" (*childhood studies*) od „badań nad dziećmi". W badaniach z dziećmi podkreśla się ich podmiotowość i współudział w gromadzeniu wiedzy, natomiast badania nad dziećmi są prowadzone z góry: badacz znajduje się „nad" badanym, nie musi pytać go o zgodę. A poproszenie dziecka o akceptację to nie tylko zadanie pytania: „Czy mogę pokazać komuś twój pamiętnik?" i uzyskanie odpowiedzi twierdzącej. Trzeba jeszcze wyjaśnić dziecku, na co się zgadza. Zwykle tłumaczymy to dzieciom osobiście, korzystając też z przygotowanych dla nich ulotek z opisem przebiegu i celu badania, ale akurat w „Dziecięcym archiwum pandemii" ze względu na lockdown to zadanie przeszło na rodziców.

Oni też muszą wyrazić zgodę? Dziecko nie może samo się do Was zgłosić?

Polskie prawo wymaga zgody opiekuna na udział dziecka w badaniu i wszelkiej innej aktywności. W świetle przepisów to rodzic jest podmiotem, który decyduje za pozbawione podmiotowości dziecko. Teoretycznie rodzice mogą wymusić na dziecku, żeby opublikowało swój pamiętnik w internecie albo w jakiś inny sposób wzięło udział w badaniach. Dla nas jednak jest szalenie ważne, by to właśnie dziecko wyraziło zgodę. Gdy prowadzimy badania, prosimy dzieci, żeby podpisały formularz o treści: „Ja, imię i nazwisko, wyrażam zgodę na udział w badaniu...".

A jeśli nie potrafią pisać?

Wtedy mogą np. coś narysować albo odcisnąć kciuk. Uważamy – po wielu latach badań z dziećmi – że moment wyrażenia zgody ma dla nich duże znaczenie. Doceniają to, że są traktowane poważnie i że chcemy jakoś zmniejszyć tę nierównowagę sił, która jest między dorosłym a dzieckiem. Trzeba się naprawdę postarać, by dowiedzieć się czegoś od dzieci: dzieci mogą być onieśmielone obecnością dorosłej osoby albo próbować udzielić „właściwej odpowiedzi", jak w szkole, bo nie są przyzwyczajone do tego, że ktoś ich słucha. Czasem trzeba włożyć dużo pracy, by przebić się przez tę nieśmiałość albo „grzeczność" i móc usłyszeć to, co dziecko ma do powiedzenia.

Zdarzyło się, że ktoś odmówił?

Jasne. Żebyśmy w ogóle mogły spotkać się z dzieckiem, musi ono wyrazić na to zgodę po przeczytaniu ulotki, w której informujemy o celu badania i o tym, na czym ono polega. Małym dzieciom ulotkę czytają rodzice. I na tym etapie na pewno sporo dzieci mówi, że nie ma na to ochoty. Z tymi po prostu nigdy się nie spotykamy. Natomiast raczej się nie zdarza, żeby dziecko, które wyraziło chęć spotkania i rozmowy z nami, zmieniło zdanie i np. nie chciało podpisać formularza zgody. Zdarza się za to, że dzieci odmawiają nie wprost i dlatego uzyskanie świadomej zgody wymaga pewnej uważności. Bo chociaż żadne dziecko nie powiedziało nam „jednak nie, zmieniłam zdanie", to zdarzyło się, że dwóch chłopców zamiast rozmawiać z nami wyraźnie wolało iść grać w piłkę. To były badania z dziećmi, które urodziły się dzięki *in vitro*. Przyjechałyśmy na spotkanie moderatorek forum internetowego dla rodziców – aktywistek, którym bardzo zależało, by ich dzieci wzięły udział ↦

↦ w badaniu. Nam też na tym zależało, m.in. dlatego, że pokonałyśmy kawał drogi. Na miejscu okazało się jednak, że chłopcy, którzy wcześniej byli wstępnie zainteresowani rozmową z nami, już zainteresowani nie są. Wprawdzie było widać, że dałoby się ich przekonać, ale nie chciałyśmy ich przymuszać i mimo pewnej frustracji związanej z podróżą, zrezygnowałyśmy. To był jedyny raz, kiedy nie uzyskałyśmy świadomej zgody.

Innym razem – w trakcie badań o tym, co dzieci myślą o zdrowiu – zdarzyło się, że chłopiec wprawdzie podpisał formularz, ale podczas wykonywania zadań robił wszystko oprócz tego, o co prosiłyśmy. Np. gdy prosiłyśmy o narysowanie mapy domu, rysował żaglowiec. Gdy prosiłyśmy, żeby narysował zdrową i niezdrową osobę, robił szpagat albo stawał na głowie. W końcu zapytałam, czy na pewno chce tam być, a on popatrzył na mnie i pokręcił głową, że nie. Przypomniałam mu, że przecież może po prostu wyjść, i on z wyraźną ulgą to zrobił. Bo to nie jest tak, że gdy dziecko zgodzi się na badania, to musi grzecznie wysiedzieć do końca – w każdej chwili może wycofać zgodę.

Jak wyglądają takie badania?

Najczęściej dzieci rysują i tworzą prace plastyczne, np. kolaże, które bardzo lubią. Nie analizujemy jednak tych rysunków, jak w psychologii, lecz traktujemy je jako pretekst do rozmowy. W naszych badaniach wspólne rysowanie, tworzenie i wykonywanie razem zadań służy byciu ze sobą, pytaniu i przysłuchiwaniu się, co dzieci mówią zarówno do nas, jak i do siebie nawzajem. Gdy badania odbywają się w grupie fokusowej, duże znaczenie ma też to, co się dzieje między dziećmi. Zdarzają się jednak zadania, które są bardzo atrakcyjne dla dzieci, ale okazują się niezbyt przydatne w badaniach. Np. podczas badań o zdrowiu poprosiłyśmy dzieci, by wspólnie, kolejno po jednym zdaniu, wymyśliły historię o Maćku, który obudził się chory, przyszła mama i... No właśnie, wydawało się nam, że dzięki temu zadaniu dowiemy się, co dzieci myślą o chorobie, wizycie u lekarza itp. A tymczasem one były podekscytowane zadaniem, sprawiało im ono tak wielką frajdę, że aż się trzęsły, by móc dołożyć swoje trzy grosze. Tyle tylko, że to było zupełnie nie na temat!

> Pomysł, by odpowiedzialność dystrybuować w zależności od wieku, jest niedobry: **dzieci i nastolatki bywają odpowiedzialne i nieodpowiedzialne** tak samo jak dorośli.

Zadanie nie pokazało, co dzieci myślą o zdrowiu, tylko jak bardzo bujną mają wyobraźnię?

I jak bardzo lubią się bawić i żartować! Ale o ile historia o Maćku raczej celu badania nie przybliżyła, to niekiedy takie wzajemne nakręcanie się dzieci przynosi świetne rezultaty. W trakcie badań o zdrowiu prosiłyśmy, by narysowały zdrową i niezdrową osobę. Zdrowa na rysunkach i w towarzyszących im opowieściach dzieci była zwykle ładna, szczupła, grzeczna i elegancka, w sumie raczej nudna. A kiedy dzieci rysowały niezdrową osobę, widać było, że świetnie się bawią: zaczynały od tego, że ten niezdrowy palił papierosy i jadł słodycze, a później któreś dziecko dodawało: „I wyrzucał śmieci na ulicę!", a kolejne – „I się nie czesał!". W naszych badaniach stosujemy różne „metody", ale zawsze chodzi o to, by dotrzeć do dzieci, dowiedzieć się, jak to jest być dzieckiem np. urodzonym dzięki *in vitro*, z diagnozą ADHD, zespołu Turnera, adoptowanym albo wychowującym się w opiece naprzemiennej.

Szkoda, że ten sposób traktowania dzieci nie jest normą.

Ostatnio byłam na wakacjach we Włoszech, gdzie – podobnie jak w Polsce – dorośli twierdzą, że uważają dzieci za najważniejsze i bardzo je kochają, ale te deklaracje nie mają odzwierciedlenia w ich stosunku do dzieci. Byłam np. świadkiem takiej sceny: cała rodzina siedzi w kawiarni przy stoliku, a dziecko leży na podłodze i strasznie płacze, ale nikt nie zwraca na nie uwagi. A ja siedzę obok, zastanawiam się, czemu ktoś tak strasznie płacze, i myślę, że gdyby to dorosła osoba płakała, nikt by jej nie ignorował. Podobne sceny można obserwować na co dzień również w naszym kraju. Albo takie: z jednej strony dorośli, którzy cały czas strofują: „Nie dotykaj! Nie ruszaj! Nie biegaj! Zjedz to!", a z drugiej dzieci, które muszą walczyć o uwagę dorosłych, więc non stop – jak mówią dorośli – marudzą: „ja chcę loda, ja chcę to, ja chcę tamto". Co ciekawe, dorośli nie „marudzą" – rzadko używa się tego słowa w stosunku do nich. Moim zdaniem „marudzenie" jest bronią tych, którzy nie mają na nic wpływu. To jest broń słabych.

I niesłuchanych. Dorosłych nikt nie ignoruje, więc nie muszą „marudzić".

Poza tym dorosłym wydaje się, że dzieci należy nie tylko inaczej traktować, ale też inaczej kochać. Thích Nhất Hạnh w książce „True love" wymienia cztery elementy niezbędne do tego, by móc mówić o miłości. Pierwszy to dobroć – jeśli kogoś kochasz, jesteś dla niego dobry. Drugi to uważność – aby móc być dla kogoś dobrym, trzeba mu się przyglądać, rozumieć jego potrzeby i odpowiadać na nie. Trzeci to radość – jeśli kogoś kochasz, sprawiasz, że się cieszy. Wreszcie czwarty, wolność. „Musisz kochać w taki sposób, żeby osoba kochana czuła się wolna", pisze Thích Nhất Hạnh. Myślę, że warto się zastanowić, czy w naszej miłości do dzieci nie brakuje któregoś z tych elementów. Dorośli często mają problem szczególnie z ostatnim z nich – z wolnością, która może polegać po prostu na tym, że dziecko chce czegoś innego niż dorosły. I to też sprawia, że dzieci „marudzą". Ale tylko do pewnego momentu, bo gdy sobie uświadomią, że to nie ma sensu, przestają w ogóle rozmawiać z rodzicami. Przestają zwracać się do nich nie tylko z prośbą o loda, ale też z innymi, poważnymi problemami. Bo dorośli i tak nie słuchają.

© Rozmawiała ANNA GOLUS

MARIA REIMANN *jest doktorem antropologii, członkinią Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem Uniwersytetu Warszawskiego.*

RDC POLSKIE RADIO

KRZYSZTOF STORY opowie Piotrowi Zubkowi o uzależniających grach na smartfony (tekst na s. 22). Słuchaj w środę 22 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

DOROTA

Masłowska:
Ludzie dobrzy

Zbiórka ubrań i środków czystości dla ośrodka dla uchodźców. Otwieram szafę i kontempluję kotłowaninę rękawów, nogawek i pasków. Wygląda jak wielka bójka, ja zaś wyciągam ręce, zaczynam rozdzielać walczących, apelować o spokój. Przyglądam się, waham. Żenującą myśl „tego już nie noszę" staram się myśleć gdzieś na boku, niezbyt głośno. Przy całej serdeczności serca nie do uniknięcia są wątki pragmatyczne. Rozważania o stylu i modzie. „Tego nigdy nie włożyłam", „to takie jakieś nie moje", „takiego czarnego już raczej nie lubię". Staram się to wszystko myśleć możliwie najciszej. Do ludzi, którzy musieli opuścić swoje życie z jedną reklamówką w ręce, może to nie dojdzie, ale jest w tych myślach coś metafizycznie wręcz niestosownego. Oni nie powinni tego słyszeć nawet podświadomie, astralnie. Zdejmuję rzeczy z wieszaków. Prasuję. Pryskam płynem elektrostatycznym. Z rytualną starannością zdejmuję rolką pyłki, wydłubuję ze splotów tkanin molekuły, drobinki, sierść. Florę i faunę. Próbuję to wszystko możliwie odpersonaliować. Ale oko jest w tej kwestii takie mylne, palce takie grubo ciosane i naiwne. Mikrobiota naszego życia, aura, niedająca się tak po prostu usunąć manualnie.

Pieczołowicie składam. Składam i składam; dla siebie tak nie składam. W języku tego składania, tego origami piszę chyba list do osoby, do której trafią te rzeczy: „Nie wiem, kim jesteś, ale troszczę się o ciebie". List ten może nigdy nigdzie nie dojdzie. Może piszę go dla siebie. W dodatku ciągle migają gdzieś w oczach niechlubne, niezbalansowane metki. Concepted in France, made in Bangladesh. Made in India. Made in Cambodja. Czy to nie przewrotne, że próbuję naprawić nimi zawalony świat? Tak jakby nic nie było już wolne od krzywdy. Jedną krzywdę można łatać i sztukować tylko inną krzywdą. Jedną niesprawiedliwość osładzać owocami innej. Gasić pożary ogniami. Przekładam do torby. Niezbalansowane bluzki, spodnie i marynarki będą w niej buforować. Przedzierzgać się w niczyje. Dopiero potem powędrują do czyjegoś skasowanego życia.

Torby Ikea to torby nowych czasów. To torby stylistek na sesjach zdjęciowych i przeprowadzających się. Niebieskie domy bezdomnych. Wehikuły zagubionych wędrowców. Przypinamy je do roweru. „Ale jesteśmy dobrzy" – myślę sobie, ale przekąs wynika tu z bezradności. Smutek tej mikropomocy, jej symboliczność i fakt, że pomagamy raczej sami sobie nie czuć się tak potwornie. A z drugiej strony ciuchy to taki konkret, sprawa dojmująco fizyczna, nie symboliczna. Jest wielka różnica między „nie mieć się w co ubrać" a „mieć się w co ubrać". Ruszamy.

Taka piękna sobota z wielkim niebem, świetlistym powietrzem. Pędzimy w rzece rowerów, hulajnóg i futurystycznych segwayów, oczy pełne słońca, usta pełne spalin. Lubię Warszawę z tej perspektywy pędu: wieżowce, biurowce, bloki, ruiny kamienic, putta z utrąconymi nosami i granice getta; zęby dzwoniące na starym, popękanym jak skóra słonia, poprzerastanym korzeniami drzew asfalcie. Czuję się wtedy jak w grze komputerowej, którą napędzam siłą swoich nóg. Wszystko pędzi. Ludzie! Rowery! Ubery! Dzwonki tramwajów i porykiwania SUV-ów, kierowcy zapatrzeni w ekrany telefonów. Nagle wyraja się z nich zawodzenie syreny. Jak zamek błyskawiczny rozpinający miasto sunie przez sam jego środek rząd rządowych limuzyn. Histeryzują koguty. Policje z lizakami wystawionymi za okno w dostojnym geście, wreszcie antyterroryści z karabinami. Miasto zatrzymuje się zatrwożone. Wszyscy gapią się z pierwotnie rozdziawionymi gębami. „Politycy" – mówi jakiś głos w tłumie. Fascynuje mnie nieodkrywczość tej uwagi. Myśl jak z polskiego serialu, jak z podręcznika „Życie dla klas pierwszych liceów i techników". „Hej, to była Angela Merkel!" – mówi nagle mój chłopak ze zdziwieniem, jakby dopiero po chwili w myślach zdążył przyjrzeć się dobrze temu wszystkiemu i zajrzeć w okna wielkiej limuzyny. „Miała niebieską sukienkę, widziałem ją!".

Z powidokiem Angeli Merkel w oczach ruszamy dalej. Zostawiamy ubrania w miejscu zbiórki i jedziemy nad rzekę. Czupryny drzew i chaszczy są jeszcze tak gęste, witalne, wymyte w szamponach koloryzujących. Z ambientu Trasy Łazienkowskiej wyłania się coraz wyraźniejsze dudnienie. Na początku myślę, że to młoty pneumatyczne z jakiejś budowy. Ale to muzyka. Pod mostem trwa ciągle, mimo pory obiadowej, technoparty. Dreszcze basów wstrząsają starym betonem. W jego osypujących się płatkach ostatni tancerze staczają się z parkietu niepewnym, pytającym jakby krokiem. Część jeszcze siedzi na schodach. Rozmawiają bardzo szybko i bardzo wolno jednocześnie. Podnoszą na nas ciężkie oczy, pełne czegoś i bardzo puste jednocześnie. Te pozbawione przyczepności, naćpane oczy są dla mnie jakąś puentą tej wyprawy, w czasie której wielkie sprawy rzucały małe cienie. Widzę je jako wieńczący ją dziwny, długi wielokropek. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich, I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 325/20 toczy się postępowanie z wniosku Marty Mogilan o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Mrozik, zm. 14 kwietnia 1974 r. w Brzeźnicy, ostatnio zamieszkałej w Brzeźnicy.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Zofii Mrozik, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

CZY NAPRAWDĘ JESTEŚMY BEZSILNI

BRAT CORDIAN SZWARC, FRANCISZKANIN, ZASTĘPCA DYREKTORA CARITAS POLSKA:

Często decydujemy się nie działać tylko dlatego, że ograniczają nas przepisy. Ale pamiętajmy o tym, że przede wszystkim jesteśmy ludźmi.

MARIUSZ SEPIOŁO: Na Facebooku napisał Brat ostatnio, że jedzie do obozu dla uchodźców, do „naszych Afgańczyków". Co znaczy „naszych"?

BRAT CORDIAN SZWARC: Do ludzi w podróży. Do ludzi, którzy zmuszeni wojną, zniszczeniem, cierpieniem wyruszyli w podróż i w drodze spotkali nas. Stali się naszymi gośćmi.

Mój tata mawiał: „Ty już tak nie filozofuj", więc powiem prościej: „nasi Afgańczycy" to po prostu nasi bracia, nasze siostry, którzy podczas wędrówki potrzebują wsparcia.

„Nasi", a więc ci, których przyjmujemy pod dach. Tak to rozumiem.

Gdyby moja siostra znalazła się gdzieś daleko w świecie i nagle podczas swojej podróży potrzebowała dachu nad głową albo czegoś do jedzenia, to byłbym wdzięczny każdemu, kto by jej pomógł.

JULIA ANDRUSZKO DLA CARITAS POLSKA

Ośrodek dla Cudzoziemców w Lininie, wrzesień 2021 r.

Z drugiej strony wiem że ludziom znajdującym się w „zawieszeniu", w tułaczce, daleko od ojczyzny – potrzebne jest coś jeszcze. To poczucie bezpieczeństwa, bycia kochanym.

Jesteśmy w stanie im je dać?

Niestety nie zawsze. Pomoc ma swoje ograniczenia. Nigdy nie jest pełna, wystarczająca. Nie łudźmy się. Migranci przemierzają wiele kilometrów w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, przepływają morza, przechodzą długą drogę lądem, a kiedy docierają do tego – zdaje się – bezpiecznego miejsca, często spotykają się z niechęcią. Jeśli mają szczęście, dostają się do ośrodka dla uchodźców i stają się numerkiem, nazwiskiem na liście obecności. Nie powinniśmy się też łudzić, że ośrodek dla uchodźców jest celem samym w sobie. Jest przez nich traktowany przejściowo, jako coś tymczasowego, przystanek w drodze. Z drugiej strony wiem, że trafienie do ośrodka w Polsce to dla tych ludzi namiastka szczęścia. Bo życie w obozach na południu Europy to dramat.

Razem z grupą wolontariuszy pracował Brat w takim obozie – jednym z największych, na greckiej wyspie Lesbos. Czego Brat tam doświadczył?

Wolę mówić o tym, czego doświadczyli jego mieszkańcy. Bo jest to doświadczenie mojego brata i siostry jaskrawo pokazujące naszą bezsilność.

Naszą?

Bezsilność systemu, cywilizacji, obowiązujących praw, które w zderzeniu z pojedynczym dramatem często okazują się nieskuteczne, bezużyteczne. To doświadczenia życia w ogromnej grupie skupionej na niewielkim terenie, doświadczenie bezradności, lęku, strachu przed tym, co będzie. Poza tym: jest to obóz ze szczelnym ogrodzeniem i drutem kolczastym, namiotami ustawionymi w równych rzędach, ponumerowanymi niczym baraki.

Obraz kojarzący się jednoznacznie.

Tak. I to jest doświadczenie tych ludzi w XXI wieku. Mówiąc o bezradności, miałem na myśli bezsilność uchodźców wobec sytuacji, w którą zostali wrzuceni. Ale też naszą bezsilność: wolontariuszy, duchownych, Europejczyków. Okazuje się, że przez lata rozwoju cywilizacyjnego nie wykształciliśmy skutecznych metod i narzędzi, by pomagać potrzebującym bez przeszkód. Ciągle je napotykamy. Zderzamy się z niemocą, biurokracją, z niechęcią polityków.

Nawet jeśli bardzo chcemy pomóc, ogranicza nas jakiś szklany sufit?

I schematy, do których przywykliśmy. Na świecie jest wielu obrzydliwie bogatych ludzi, którzy swoje bogactwo pomnażają tylko po to, by realizować własne zachcianki. Dla reszty społeczeństwa stanowią punkt odniesienia. W takim świecie trudno o wrażliwość na los innych. Niestety, w takim schemacie funkcjonowania zapomnieliśmy, że nie jesteśmy na świecie sami, że nasze decyzje, postawy i wybory mają wpływ na tych, którzy żyją po drugiej stronie globu. Świadomość tej zależności to podstawa idei zawartych i we „Fratelli tutti", i w „Laudato si", i całym nauczaniu Franciszka. Ekologia integralna to świadomość, że mamy funkcjonować nie w próżni, ale w relacji – do innych ludzi, do przyrody, do Boga.

Problem w tym, że nie chcemy się tym bogactwem podzielić, ustąpić biedniejszym miejsca.

Nie chcę generalizować. Mimo wszystko ciągle jest we mnie wiara, że nawet jednostkowe postawy i decyzje mogą zmieniać świat. W naszym wolontariacie mamy silne przekonanie, że to, co robimy – np. na Lesbos – przekłada się na los konkretnej kobiety, dziecka, starca, rodziny. Taką mamy misję. Nawet jeśli jesteśmy kroplą w morzu potrzeb, to działamy tak, jakbyśmy mieli wywołać falę. To jest właściwie pytanie o całe zło na świecie.

To znaczy?

Rozmawiamy o tym, czy pomaganie ma sens w sytuacji, kiedy większość ludzi żyje z dnia na dzień i nie przejmuje się losem mieszkańców odległych miejsc na ziemi. Ja odpowiadam: tak, ma. Bo czy jesteśmy w stanie zapobiec całej przemocy, zabójstwom, kradzieżom, gwałtom, pedofilii? Nie. A mimo to powołujemy do życia służby i instytucje, które ciągle z nimi walczą. Przenosząc to na aktualny grunt: tak, możemy czuć się bezsilni wobec tragedii ludzi z Bliskiego Wschodu, ↦

CARITAS POLSKA

JULIA ANDRUSZKO DLA CARITAS POLSKA

Ośrodek dla Cudzoziemców w Lininie, wrzesień 2021 r.
Powyżej: brat Cordian Szwarc w obozie Moria, Lesbos, sierpień 2021 r.

↦ ale mimo wszystko musimy próbować im pomóc.

A jeśli bezsilność wobec zła czuje zwykły parafianin, to co może zrobić, żeby mu się przeciwstawić?

Szukać najbliżej siebie. Skąd pan jest?

Z Torunia.

To mogę panu podać konkretne adresy w tym mieście. Najprostsza droga to zebrać znajomych, kumpli, bliskich, znaleźć odpowiednią wspólnotę w parafii i się zaangażować. Pójść do najbliższej Caritas, zapytać, czego potrzeba. Pójść do proboszcza, przegadać problem. Zadać sobie pytanie: co mnie boli i czego tak naprawdę oczekuję? Gdyby się pan dowiedział, że pana siostra jest prześladowana w dalekim kraju, zacząłby pan działać. W obliczu tragedii naszych braci i sióstr – np. Afgańczyków – też trzeba działać.

A co zrobić, jeśli na pytania o możliwość działania proboszcz odpowie po prostu: „Daj mi, człowieku, spokój”?

Wtedy trzeba sobie powiedzieć: trudno, facet jest, jaki jest. Ale ja działam. My działamy. Chcemy pomóc. Od znajomej rodziny katolików usłyszałem, że los uchodźców na polsko-białoruskiej granicy ich właściwie nie obchodzi, nie dotyczy, więc dlaczego mieliby się przejmować? To ludzie, którzy co niedzielę chodzą do kościoła. Myślę sobie: skąd się to bierze? Czego zabrakło?

Nie jestem psychologiem. Nie chcę generalizować, bo wiem, że postawy są różne i po drugiej stronie też różnie bywa. Są ludzie, którzy oglądając wiadomości powzruszają się nad losem Afgańczyków, pomartwią się, ponarzekają – i nie zrobią nic. Która postawa jest gorsza?

Pytam raczej o to, czy mogliśmy jako wspólnota zrobić więcej, żeby znieczulicy było mniej.

Jako społeczeństwo zmarnowaliśmy wiele okazji, by pewne rzeczy lepiej przepracować, przegadać, przemyśleć. Sprawdzonym sposobem jest wykonywanie rachunku sumienia: czy ja, Cordian, Mariusz, zrobiłem wystarczająco dużo, czy odpowiednio zareagowałem.

Jak Brat ocenia postawę polskiego Kościoła wobec tego, co dzieje się w Usnarzu Górnym?

To trudne pytanie. Czy nasze wspólnoty – jak np. Caritas – działają dobrze? Tak, działają. Caritas Archidiecezji Białostockiej angażuje się w pomoc każdej osobie, która zostanie do niej skierowana.

A czy robimy wystarczająco dużo... Opowiem historię. Niedawno u wybrzeży Grecji, na oczach gapiów utonęło kilkanaście osób płynących z Afryki nienadającą się do tego łajbą. Wie pan dlaczego? Bo prawo obowiązujące ludzi, którzy na to patrzyli, nie obligowało ich do udzielenia pomocy. Niestety, zbyt często decydujemy się nie działać tylko dlatego, że ograniczają nas przepisy. Ale pamiętajmy o tym, że przede wszystkim jesteśmy ludźmi.

Stan wyjątkowy w miejscowościach przy granicy powoduje, że nikt nie może pomóc koczującym tam uchodźcom, bo grozi to konsekwencjami.

No właśnie. Z jednej strony wiemy, jak skomplikowana jest to sytuacja. A z drugiej strony co? Nie pomożemy, bo prawo? Pozwolimy im tam umrzeć, „bo przepisy”? Sam modlę się o wskazanie, jak się w takich sytuacjach zachować.

Zakaz nie zwalnia nas z odpowiedzialności?

Nie zwalnia.

Dlaczego politycy nie słuchają takich wezwań?

Nie oglądam telewizji. Nie umiem wsłuchiwać się w tę narrację. Myślę, że trzeba byłoby zapytać ich bezpośrednio o wyzwania, z jakimi się mierzą.

Może więc postawą chrześcijańską byłoby wyłączenie telewizora, żeby nie być publicznością dla politycznego przedstawienia? Może wtedy uchodźcy otrzymaliby pomoc?

Wyłączenie telewizora i realna pomoc to na pewno lepszy pomysł.

Pracuje Brat nie tylko z uchodźcami w Caritas, ale też w projekcie „Siedem Aniołów” czy „Poznani nieznani”. We wszystkich tych projektach uczestniczą zaangażowani, wrażliwi, mądrzy młodzi ludzie. Świat nie zdążył z nich zrobić cyników.

Tak. A jak się zakochają, to są w stanie zrobić wszystko. W tym amoku, w tym szaleństwie miłości. Bóg w takim szaleństwie zrobił dla nas rzeczy wielkie i oni też są w stanie robić rzeczy wielkie. Ja tak naprawdę nie wszedłbym w niektóre rejony, gdyby oni tam nie wchodzili. To nie ja ciągnę ich za sobą, ale oni mnie.

Ci ludzie to nie jest Kościół przyszłości. To jest Kościół dzisiaj. Tworzą go ci, dla których ważne jest poszukiwanie odpowiedzi na współczesne pytania. Młodzież mierzy się z konkretnymi wyzwaniami, stawia konkretne pytania. Jeśli nie dostaje odpowiedzi w Kościele, buduje własną teologię. Po to, by się w jakiś sposób zmierzyć z tym, co się dzieje.

CARITAS POLSKA

O. CORDIAN SZWARC jest franciszkaninem. Założyciel wspólnoty Siedem Aniołów (inicjatywy społeczno-kulturalno-ekologicznej). Funkcję zastępcy dyrektora Caritas Polska łączy z kierowaniem projektem Caritas Laudato si i przewodniczeniem Radzie Wolontariatu.

Czy Brat ze swoją wrażliwością nie czuje się w polskim Kościele osamotniony?

Kategorycznie nie. Być może ktoś uważa, że otaczają nas cynicy i nihiliści. Ale ja patrzę na Polskę i widzę, że tych dobrych jest dużo więcej, niż mogłoby się nam wydawać.

Chyba dobrze się ukrywają.

Zgodzę się, żyjemy w kryzysie. Ale jest to kryzys podziałów. Dzisiaj każdy musi się określić: jesteś za albo przeciw. Jesteś z nami albo przeciw nam. Stawiamy każdego pod ścianą i żądamy: określ się. Tymczasem rzeczywistość nie jest czarno-biała. Tak naprawdę rzeczywistości jest wiele. Ale zaczynam filozofować, więc może już kończmy?

Czego nas nauczy kryzys na granicy?

Jakkolwiek ta sytuacja się zakończy, to wiem, że konkretne zło wymaga konkretnego, natychmiastowego działania. Że nie mogę się usprawiedliwiać, zasłaniać, uciekać.

Nawet jeśli czuję się wobec tego zła bezsilny?

Jezus w spotkaniu z faryzeuszami też mógłby poczuć się bezsilny. A wszyscy wiemy, jak skończyła się ta historia.

© Rozmawiał MARIUSZ SEPIOŁO

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CODY O'LAUGHLIN / NEW YORK TIMES / EAST NEWS

Greg Epstein na dziedzińcu Harvardu, Cambridge. USA, sierpień 2021 r.

Kapelan niewierzących

MARTA ZDZIEBORSKA

Koncepcja Boga nadprzyrodzonego jest wymysłem człowieka – uważa nowy koordynator kapelanów na Harvardzie.

Greg Epstein wyłysiał w wieku 21 lat, potrafi z tego żartować i jak na ateistę dobrze dogaduje się z przedstawicielami różnych wyznań. To ostatnie idzie mu na tyle sprawnie, że pod koniec sierpnia jednomyślnie wybrano go na koordynatora zespołu ponad 40 kapelanów Uniwersytetu Harvarda, reprezentujących 25 religii i wyznań.

Można powiedzieć, że 44-letni Epstein jest do tej funkcji solidnie przygotowany. Dorastał w końcu we Flushing, zróżnicowanej religijnie dzielnicy w nowojorskim Queens, gdzie miał do czynienia z buddystami, hinduistami, katolikami i ewangelikami. Wychowany w tradycji żydowskiej, poszukiwał własnej tożsamości. W liceum poznawał tajniki buddyzmu i taoizmu, a po śmierci ojca (stracił go w wieku 18 lat) poleciał na Tajwan, gdzie przez pół roku zgłębiał buddyzm zen.

Ostatecznie Epstein doszedł do wniosku, że nie musi wyznawać konkretnej religii, by być dobrym człowiekiem i prowadzić etyczne życie. Został zwolennikiem świeckiego humanizmu, napisał bestseller „Dobro bez Boga" i zatrudnił się jako duchowy opiekun niewierzących studentów na Uniwersytecie Harvarda. Gdy po 16 latach pracy stanął na czele zespołu kapelanów, trafił na nagłówki gazet. Swoje pięć minut miał też w 2014 r., gdy został doradcą duchowym w amerykańskim *reality show* „Married at First Sight" („Małżeństwo od pierwszego wejrzenia").

Ale wtedy nikomu nie przeszkadzało, że nie wierzy w Boga.

Dwie prawdy

„Nowy kapelan Harvardu jest ateistą. Czy to jest sprzeczność sama w sobie?" – to tytuł artykułu opublikowanego 27 sierpnia w amerykańskim wydaniu tygodnika „The Week". Jego autor i zarazem szef organizacji Loeb Institute for Religious Freedom Samuel Goldman pisze, że z jednej strony objęcie przez ateistę funkcji koordynatora nie jest niczym „niestosownym". Z drugiej strony harvardzcy kapelani przeczą sami sobie – wybrali na swego reprezentanta osobę niewierzącą, niejako sabotując założenia religii teistycznych.

Goldman przypomina o pierwotnej misji Harvardu, jaką było kształcenie purytańskich duchownych dla zasiedlanych w XVII w. terenów Nowej Anglii. Stąd też motto uczelni „Prawda dla Chrystusa i Kościoła", które wraz z postępującą sekularyzacją skrócono w XIX w. do słowa „Prawda".

„Dla założycieli Harvardu dążenie do »prawdy« było podstawą budowania właściwej więzi z Bogiem. Dla obecnego kierownictwa dewiza uniwersytetu przypomina raczej pusty frazes" – uważa Samuel Goldman.

Żałosna kapitulacja

O niedawnej głośnej decyzji harvardzkich kapelanów pisał też biskup pomocniczy archidiecezji Los Angeles Robert Barron. Na łamach dziennika „New York Post" zaznaczył, że nie ma nic przeciwko samej funkcji duchowego opiekuna niewierzących studentów. Biskup Barron krytykuje jednak „żałosną kapitulację" ze strony kapelanów, którzy wybrali Epsteina na swego przedstawiciela.

„Jeśli zadeklarowany ateista zalicza się do grona kapelanów, czyli osób prowadzących nabożeństwo w kaplicy, to »religia« wyraźnie przestała mieć znaczenie

(...). Najwyraźniej można być teraz »religijnym« bez wiary" – ironizował biskup.

Oliwy do ognia dolały media prawicowe. Serwis „Christian Post" napisał, że wybór Epsteina na przedstawiciela kapelanów można porównać do „postawienia muzułmanina na czele uniwersyteckiego stowarzyszenia żydowskiego". Serwis telewizji Newsmax grzmiał, że założyciel prestiżowej uczelni John Harvard „zapewne przewraca się teraz w grobie".

Gorąca dyskusja na temat Epsteina rozgorzała również pod tweetem prominentnego pastora ewangelickiego Tima Kellera, który publicznie pogratulował ateiście nowej funkcji. „Greg jest moim przyjacielem, z którym nieraz dyskutowałem. Choć nie zgadzamy się w wielu kwestiach, to życzę mu jak najlepiej" – napisał Keller, drażniąc tym niektórych internautów uważających, że składanie gratulacji osobie niereligijnej w takich okolicznościach jest „nieetyczne".

To tylko koordynator

Na Harvardzie, gdzie dwa lata temu prawie 40 proc. studentów pierwszego roku identyfikowało się jako ateiści lub agnostycy, kapelani patrzą na tę sytuację inaczej. „Być może na bardziej konserwatywnych uczelniach pomyślano: »Co, do cholery, wyprawiają na Harvardzie, wyznaczając humanistycznego kapelana na funkcję koordynatora?«. Ale w tym środowisku to działa. Greg znany jest z tego, że chce podtrzymywać dialog między różnymi religiami" – mówiła w wywiadzie dla „New York Timesa" Margit Hammerstrom, harvardzka kapelanka Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki. Jej wspólnota zaznaczyła jednak zapobiegawczo w specjalnym oświadczeniu, że zajmowana przez Epsteina funkcja ma charakter czysto administracyjny – sprowadza się do organizowania spotkań kapelanów i bycia swego rodzaju łącznikiem między nimi a władzami Harvardu. Stanowisko koordynatora obejmowane jest maksymalnie na dwa lata. Wcześniej taką funkcję pełnili m.in. żyd, luteranin i muzułmanin.

Z kolei, jak zaznaczył na łamach „Christianity Today" ewangelik Pete Williamson, Greg Epstein nie został „głównym kapelanem" odpowiedzialnym za organizację wydarzeń religijnych na uczelni, jak niekiedy sugerowały to media. Williamson podkreślił, że harvardzcy kapelani stanowią zdecentralizowaną społeczność, gdzie nikt nie wchodzi sobie w drogę pod kątem wyznawanej doktryny.

„Zagłosowałem na Grega Epsteina, bo chcę budować oparty na zaufaniu dialog z osobami, które mają zupełnie przeciwstawne poglądy i nie boją się o tym mówić" – przekonywał Williamson.

Humanistyczny rabin

Greg Epstein bynajmniej nie kryje się ze swoimi przekonaniami. Już po objęciu nowej funkcji podkreślił w wywiadzie dla radia NPR, że jego zdaniem „koncepcja nadprzyrodzonego Boga jest wymysłem człowieka". Jednocześnie chce współpracować z „osobami wierzącymi, które działają na rzecz nauki (...), demokracji, sprawiedliwości i równości".

Jako świecki humanista Epstein lubi też podkreślać, że najważniejsza dla niego jest dbałość o wartościowe relacje z innymi ludźmi. Na Harvardzie znany jest z organizowania międzywyznaniowych debat i sesji z wykorzystaniem medytacji, laickich kazań i śpiewów. Spotkania przyciągają nie tylko ateistów i agnostyków, ale także osoby pochodzące ze środowisk konserwatywnych, które poszukują innych form duchowości. „The New York Times" opisuje historię Adelle Goldenberg, 22-letniej chasydki z Brooklynu, która wbrew woli rodziców dostała się na Harvard. Dziś, wykluczona z ortodoksyjnej społeczności, Adelle dzieli się swoimi rozterkami z Epsteinem, którego traktuje niemal jak „humanistycznego rabina". On sam może zresztą poszczycić się tytułem rabina – zdobył go w 2005 r. po pięciu latach studiów w Międzynarodowym Instytucie Judaizmu Humanistycznego w Jerozolimie i Michigan.

Kryzys wiary

Greg Epstein jest drugim w historii Uniwersytetu Harvarda kapelanem dla niewierzących. Jego poprzednik – były ksiądz katolicki Thomas M. Ferrick – zaczynał pracę w latach 70. XX w. i był wówczas pierwszym tego rodzaju uniwersyteckim opiekunem duchowym w USA. Pół wieku później kapelani humanistyczni obecni są na najbardziej prestiżowych uczelniach, jak Uniwersytet Stanforda, Yale czy Columbia.

Praca tego rodzaju duchowych opiekunów może być coraz bardziej potrzebna, bo już ponad 20 proc. Amerykanów uważa się za ateistów, agnostyków lub osoby niereligijne. Wśród millenialsów niewierzących jest aż 40 proc. W kraju, którego motto brzmi „*In God We Trust*" („Bogu ufamy"), świątynie pustoszeją: podczas gdy jeszcze 20 lat temu niemal trzy czwarte Amerykanów chodziło do kościoła, synagogi albo meczetu, dziś jest ich mniej niż połowa. Jak wskazują zgodnie eksperci, obecny trend jest wynikiem m.in. kryzysu zaufania do instytucji i niechęci do chrześcijańskiej prawicy, która w sojuszu z Partią Republikańską próbuje ograniczać m.in. prawa reprodukcyjne i przepisy chroniące osoby LGBT przed dyskryminacją.

Wolę geja

Jednocześnie w spolaryzowanej Ameryce ateiści pozostają na marginesie życia politycznego. W ponad 530-osobowym Kongresie USA tylko senatorka Kyrsten Sinema z Arizony identyfikuje się otwarcie jako osoba niereligijna. Takie deklaracje są dla większości polityków niewygodne, bo w Ameryce bycie ateistą jest wciąż tabu. Do tego stopnia, że tamtejsi wyborcy prędzej widzieliby w Białym Domu latynosa, geja lub ewangelika niż ateistę. Niżej w rankingu plasują się jedynie socjaliści, których większość zapatrzonych w kapitalizm Amerykanów szczerze nie znosi. Z kolei w badaniach dotyczących zaufania wobec poszczególnych grup religijnych ateiści lądują na szarym końcu, tuż przed muzułmanami.

Z tego punktu widzenia wybór Grega Epsteina na przedstawiciela harvardzkich kapelanów jest ważnym krokiem. Nie tylko dla dyskusji o duchowości, ale także dla Amerykanów, którzy nie wierzą w Boga lub z jakichś powodów przestali w Niego wierzyć.

A jak przekonuje ateista Epstein, w coś wierzyć trzeba. W jego przypadku to wiara w etyczne życie, które powinno rządzić się złotą zasadą: „traktuj innych tak, jak chciałbyś być traktowany". Kapelan humanistyczny z Harvardu stroni przy tym od ataków na osoby religijne, w przeciwieństwie np. do brytyjskiego ateisty Richarda Dawkinsa. Epstein nazwał go w 2007 r. „fundamentalistą" i wygarnął mu, że bardziej skupia się na polemice niż na robieniu czegoś konstruktywnego. Abstrahując od doktryny religii teistycznych, niewojujący Epstein lubi nawet powtarzać, że religie jako takie są dobre: wymagają od innych, by byli lepszymi ludźmi. A przecież o to właśnie chodzi. ©

Nikt mi życia nie odbiera

WACŁAW OSZAJCA SJ

Słowem, które ujawnia naszą katolicką tożsamość, choćby przez częstotliwość posługiwania się nim, jest „ofiara”.

Podczas gdy Kajfasz przesłuchiwał Jezusa, „Piotr siedział na zewnątrz, na dziedzińcu. Podeszła do niego jakaś służąca i powiedziała: »Ty też byłeś z Jezusem Galilejczykiem«. On jednak zaprzeczył temu wobec wszystkich: »Nie wiem, o czym mówisz«. A gdy poszedł ku bramie, zobaczyła go inna służąca i powiedziała do obecnych: »On był z Jezusem Nazarejczykiem«. I znowu zaprzeczył pod przysięgą: »Nie znam tego człowieka«. Po chwili także ci, którzy tam stali, podeszli i powiedzieli Piotrowi: »Na pewno jesteś jednym z nich, bo twoja wymowa cię zdradza!«. Wtedy zaczął się zaklinać i przysięgać: »Nie znam tego człowieka«. I zaraz kogut zapiał. Piotr przypomniał sobie słowa Jezusa, który powiedział: »Zanim kogut zapieje, ty trzy razy się Mnie wyprzesz«. Wyszedł stamtąd i gorzko zapłakał” (Mt 26, 69-75).

Słowem, które nas, katolików zdradza, czyli ujawnia naszą tożsamość, choćby przez częstotliwość posługiwania się nim, jest „ofiara”. Tymczasem papież Franciszek w liście „Patris corde”, poświęconym Józefowi, mężowi Marii, oznajmia: „Szczęście Józefa nie polega na logice ofiary z siebie, ale daru z siebie”. Dzięki temu „nigdy w tym człowieku nie dostrzegamy frustracji, a jedynie zaufanie. Jego uporczywe milczenie nie rozważa narzekań, ale zawsze konkretne gesty zaufania”. Stąd: „Każde prawdziwe powołanie rodzi się z daru z siebie, który jest dojrzewaniem zwyczajnej ofiarności. Także w kapłaństwie i w życiu konsekrowanym wymagana jest tego rodzaju dojrzałość. Tam, gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu, czy też dziewicze, nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację”.

Mamy więc dwie życiowe filozofie, dwie logiki, logikę ofiary i logikę daru.

Nieszczęsny dar wolności

Autora tego powiedzenia znamy. Zacznijmy jednak od początku, czyli od Adama i Ewy. Zwykło się mówić, że popełnili oni grzech nieposłuszeństwa, za co słusznie zostali ukarani. Bóg wyrzucił ich z Edenu. Jeśli jednak tzw. opis stworzenia świata potraktować nie jako relację o historycznym wydarzeniu, ale jako odpowiedź na odwieczne pytanie „skąd zło?”, czyli dlaczego świat jest taki, jaki jest, sprawa zaczyna dotyczyć bezpośrednio nas.

W pewnym momencie Ewa i Adam, powiedzmy, zapomnieli, że mają wszystko, co potrzebne do szczęścia, i to za darmo. Wszystko, co mają, otrzymali od Boga jako bezinteresowny dar. Mimo to zaczynają rozglądać się za czymś nowym, za jakąś nową propozycją – i ją znajdują. Idą za nią i powoli odrywają się od rzeczywistości, w której zaistnieli. Przestają cieszyć się darem, gdyż swoje szczęście chcą zawdzięczać wyłącznie sobie. Być może czują się upokorzeni przez Boga sądząc, że nie jest On względem nich szczery. Po prostu chcą iść na swoje, być panami świata i „czynić sobie ziemię poddaną”, czyli ją eksploatować, a nie pielęgnować. To, do czego takie egoistyczne podejście w rzeczywistości prowadzi, odczuwamy na własnej skórze.

Wygląda więc na to, że szczęście, które było udziałem Ewy i Adama, przekraczało możliwości ich serca i rozumu. Świat podarowany im przez Boga też okazał się dla nich za ciasny.

W „Patris corde” Franciszek pisze: „Akceptacja jest sposobem, w jaki przejawia się w naszym życiu dar męstwa, który otrzymujemy od Ducha Świętego. Jedynie Pan może dać nam moc, aby przyjąć życie takim, jakie jest, aby uczynić miejsce także dla tej przeciwstawnej, nieoczekiwanej, rozczarowującej części naszego istnienia (...). Przyjście Jezusa między nas jest darem Ojca, aby każdy mógł się pojednać z rzeczywistością swojej historii, nawet jeśli jej do końca nie rozumie”.

A sporo czasu przed Franciszkiem Faustyna Kowalska pisała: „O życie szare i monotonne, ile w tobie skarbów. Żadna godzina nie jest podobna do siebie, a więc szarzyzna i monotonia znikają, kiedy patrzę na wszystko okiem wiary. Łaska, która jest dla mnie w tej godzinie, nie powtórzy się w godzinie drugiej. Będzie mi dana w godzinie drugiej, ale już nie ta sama. Czas przechodzi, a nigdy nie wraca. Co w sobie zawiera, nie zmieni się nigdy; pieczętuje pieczęcią na wieki” (Dzienniczek 77-78).

Może więc pierworodny grzech odradza się w nas wtedy, gdy człowiek przestaje być bezinteresowny i wielkoduszny. Nie bez powodu Ignacy z Loyoli modlił się: „Zabierz, Panie, i przyjmij całą wolność moją, pamięć moją i rozum, i wolę moją całą, cokolwiek mam i posiadam. Ty mi to wszystko dałeś – Tobie to, Panie, oddaję. Twoje jest wszystko. Rozporządzaj tym w pełni wedle swojej woli. Daj mi jedynie miłość Twoją i łaskę, albowiem to mi wystarcza. Amen”.

Ofiara bez miłości

Zwykle niedoszłe morderstwo na Izaaku przedstawia się jako wyraz niezłomnej wiary Abrahama i heroicznego zaufania Bogu. Takie postawienie sprawy psują jednak dwa zdania: Anioł Pana „zawołał na [Abrahama] z nieba: »Abrahamie, Abrahamie!«. A on na to: »Oto jestem«. Anioł mówił dalej: »Nie podnoś ręki na tego chłopca i nie czyń mu nic złego. Teraz wiem, że boisz się Boga, gdyż nie odmówiłeś mi swojego jedynego syna«” (por. Rdz 22, 1-14). Wiemy z historii religii, że „banie się Boga” i składanie ludzi w ofierze bogom nie było, i niestety nie jest, czymś nadzwyczajnym. A odejście od tej bezbożnej praktyki wcale nie jest łatwe.

„Bóg wystawił Abrahama na próbę” – już samo to budzi sprzeciw. Cokolwiek by powiedzieć o takim sposobie traktowania człowieka przez człowieka, a tym bardziej przez Boga, z którym spotkał się Izaak, taka „próba”, w świetle logiki daru, jawi się jako

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

Caravaggio, Ofiarowanie Izaaka, ok. 1603 r., Galeria Uffizi, Florencja

działanie okrutne. Abraham, owszem, poddaje się woli Boga, w końcu Bóg, jak już wspomniano, nie żąda niczego nadzwyczajnego. Jednocześnie z rozmowy Abrahama ze sługami i Izaakiem można wnosić, że zmaga się, toczy wewnętrzną walkę o to, komu wierzyć – swojemu sercu i temu nowemu Bogu, którego wciąż poznaje, czy też starym bogom, żądającym pogwałcenia rodzinnych relacji?

Dramat, w jakim bierze udział patriarcha, nie był jednak wydarzeniem jednostkowym, ale powtarzającym się i jest jak scenariusz każdego ludzkiego życia. T.S. Eliot w zakończeniu poematu „Podróż Trzech Króli" (przekład Stanisława Barańczaka) pisze:

Wróciliśmy w nasze strony, każdy
do swego Królestwa,
Ale nie ma już dla nas spokoju tu, gdzie
rządzą prawa dawnej wiary
I lud, dzisiaj nam obcy, trzyma się
kurczowo swoich bożków.
Rad bym, gdyby przyszła jeszcze jedna
śmierć.

Nie będzie błędem, jeśli się powie, że na górze Moria Abraham ostatecznie umarł dla „dawnej wiary" i „swoich bożków". Zrozumiał, że nowy Bóg uważa za złe to, co ludzie uważają za akt najpobożniejszy, czyli składanie ofiar z ludzi: „Nie podnoś ręki na tego chłopca i nie czyń mu nic złego". Bóg, odrzucając krwawą ofiarę z Izaaka, tym samym zamyka czas składania ofiar z ludzi w dosłownym i przenośnym znaczeniu. Choć pozostają jeszcze ofiary ze zwierząt, ale też tylko na razie.

Sukces za cenę życia

Mamy jednak w Biblii opowiadanie, w którym Bóg ofiary z ludzi zdaje się akceptować. Podczas wojny z Ammonitami głównodowodzący wojsk izraelskich, najemnik Jefte, „złożył ślub Panu mówiąc do Boga: »Jeżeli naprawdę wydasz Ammonitów w moje ręce, wtedy ten, kto pierwszy wyjdzie z mojego domu, gdy zwycięsko powrócę po walce z Ammonitami, będzie należał do Pana; złożę go w ofierze całopalnej«". Po zwycięskiej walce „Jefte przybył do Mispy, do swojego domu, wybiegła mu na spotkanie jego córka, tańcząc i uderzając w bębenki. A miał tylko ją, jedyną (...). Gdy tylko ją zobaczył, rozdarł swoje szaty, wołając: »Ach, córko moja, zadajesz mi śmiertelny ból i stajesz się przyczyną mojego cierpienia! Bo złożyłem ślub Panu i nie mogę go odwołać«.

Córka odpowiedziała mu: »Ojcze mój! Skoro zobowiązałeś się wobec Pana, uczyń ze mną według twoich słów«". Potem poprosiła ojca, aby jej pozwolił „oddalić się na dwa miesiące i udać się wraz z innymi dziewczętami w góry, aby tam opłakiwać moje panieństwo. (...) Po dwóch miesiącach powróciła do ojca, który dopełnił złożonego ślubu. Tak więc nie współżyła ona z żadnym mężczyzną. Stąd bierze początek zwyczaj w Izraelu, że każdego roku dziewczęta izraelskie schodzą się, aby przez cztery dni wspominać wśród łez córkę Jeftego z Gileadu" (por. Sdz 11, 30-40).

Bóg nie zażądał od Jeftego krwawej ofiary. Jefte sam wyszedł z taką propozycją. Widocznie, jak podpowiadają biblisci, uległ pokusie powrotu do „dawnych bogów" i praktyk właściwych religii kananejskiej, które z większym lub mniejszym skutkiem zwalczali prorocy. O ile Abraham usiłował zrzucić z siebie odziedziczony po przodkach krwawy kult, o tyle Jefte do tego kultu wraca.

Zauważmy jednak, że córka Jeftego godzi się na spełnienie woli ojca, ale bez zastrzeżeń jej nie akceptuje. Prosi ojca o trochę czasu, aby nacieszyć się życiem, i aby „opłakać dziewictwo". Podporządkowuje się woli ojca i Boga, ale pod przymusem. Trudno więc powiedzieć, że oddaje swoje życie – ona je ofiarowuje, gdyż je traci. Z bólem godzi się na unicestwienie marzeń właściwych ludziom w jej wieku.

Opowiadanie o ofierze Jeftego można potraktować jako przestrogę, a milczenie Boga jako niemą odpowiedź, która w pełni wybrzmi w późniejszym czasie. Ofiara z Izaaka, którą ojciec składa, wypełniając ślub, i ofiara z córki, z bólem rozstającej się z życiem, pozostaje tylko ofiarą, żeby nie powiedzieć: transakcją. Coś za coś. Nie przekracza granicy, za którą stałaby się darem. Czyli czynem, nawet jeśli wymuszonym, to jednak nie spowodowanym przezeń, ale wynikającym z czegoś uprzedniego, najbardziej fundamentalnego, źródłowego. Chodzi o miłość.

Prorok Ozeasz mówi: „Chodźcie, nawróćmy się do Pana! (...) Starajmy się poznać Pana, który mówi: »Cóż mam począć z tobą, Efraimie? Co mam uczynić z tobą, Judo? Wasza miłość jest jak poranny obłok, jak rosa, która wcześnie znika. Dlatego ciosałem ich przez proroków i raniłem słowami ust moich. Przeprowadzałem mój sąd o świcie. Gdyż pragnę miłości, a nie ofiary, ↦

↦ poznania Boga bardziej niż całopaleń«" (por. Oz 6, 1-6). Poznać w Biblii znaczy pokochać. Adam poznał Ewę i poczęła Kaina, czytamy w Biblii. Inny prorok, chrześcijanin, Anioł Ślązak dodaje:

Czego chce Syn Boży, że w taką nędzę wpada
I krzyż taki ciężki na ramiona wkłada?
I aż do śmierci się trwoży bez ratunku?
On pragnie tego właśnie, twego pocałunku.

Logika daru

Słuchając, jak Piotr na dziedzińcu pałacu Kajfasza żarliwie wypiera się jakiejkolwiek znajomości z Jezusem, niejeden powie: „zaprzaniec", „zdrajca". Spróbujmy jednak to ewangeliczne opowiadanie osadzić w niedawnej przeszłości. W jaki sposób np. w stanie wojennym bronili się w sądach kolporterzy nielegalnej prasy? Kłamali jak z nut. Ale czy w ten sposób przekraczali przykazanie: „Nie będziesz mówił fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu"?

Czy więc można zarzucić Piotrowi, że zaparł się Jezusa? Owszem, znajdą się tacy, którzy mu taki zarzut postawią. Jak apostoł mógł postąpić tak haniebnie, przecież powinien z podniesionym czołem pójść drogą, którą idzie jego Mistrz, sam Syn Boży! Czyż jako apostoł, żeby dać świadectwo niezłomnej wiary, nie powinien był ochotnie pójść za Jezusem na śmierć? Złożyć siebie w ofierze? Wolno jednak zadać inne pytanie: kto o zdrowych zmysłach będzie sam pakował się w ręce tych, którzy czyhają na jego życie?

Pierworodny grzech odradza się w nas wtedy, **gdy przestajemy być bezinteresowni.** Nie bez powodu Ignacy z Loyoli modlił się: „Zabierz, Panie, i przyjmij całą wolność moją".

Zauważmy: po trzecim „przesłuchaniu" Piotr „gorzko zapłakał". Nie sądzę, że z powodu własnego zaprzaństwa, ale z bezsilności wobec przemocy ze strony tych, którzy pod pozorem służby Bogu i ludziom, a w rzeczywistości dla własnego ocalenia i egoistycznej korzyści, chętnie składali na ołtarzu najświętszych wartości innych, ale nigdy siebie. Piotr nie chce jeszcze umierać. Można to zrozumieć tak, że apostoł jeszcze nie dojrzał, by pójść za radą Jezusa: „Ja wam mówię: Nie zwalczajcie zła złem (...). Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził. A Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. (...) Bądźcie więc tak doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski" (por. Mt 5, 39-48). Dlatego po wiekach Faustyna Kowalska, nawiązując do Hioba, powie: „Chociażbyś mnie zabił, ja Ci ufać będę. (...) Czyń ze mną, co Ci się podoba. Ja Ciebie wszędzie uwielbiać będę" (Dzienniczek 79).

Po niedługim czasie Jezus trzy razy zapyta Piotra, czy Go kocha. Ten się zasmuci i odpowie: „Panie, Ty wiesz o wszystkim. Ty wiesz, że Cię kocham" (por. J, 21, 15-17). I tak dochodzimy do granic logiki ofiary. Piotr, kiedy przyjdzie jego godzina, odda siebie Jezusowi z całym zaufaniem, gdyż przekonał się, że Jezusowi zależy na nim nieskończenie bardziej niż na sobie. Piotr naśladuje Jezusa, który mówi: „Ojciec miłuje Mnie dlatego, że oddaję swoje życie, aby je znowu odzyskać. Nikt mi go nie zabiera, lecz oddaję je z własnej woli" (J 18, 17-18). Piotr postępuje jak Bóg. Anioł Ślązak:

Nie daje Bóg niczego, otworem wszystko stoi;
Gdy tylko Go zapragniesz, cały będzie twoim.

Bogu zatem, a więc i człowiekowi – jako że ani Bóg, ani człowiek nigdy nie występują oddzielnie, nawet gdy popadną w konflikt – nie chodzi o ofiarowywanie siebie czy też przyjmowanie ofiary, nie o poświęcanie się, a nawet umieranie za siebie, ale o bycie ze sobą, w sobie i przez siebie. To pewnie oznacza logika daru.

© WACŁAW OSZAJCA

Cytaty biblijne pochodzą z Biblii Paulistów, cytowane wiersze Anioła Ślązaka w przekładzie Andrzeja Lama – z tomu „Cherubinowy wędrowiec".

OGŁOSZENIE X2

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 218/21 toczy się postępowanie z wniosku Doroty Tobiasz o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności nieruchomości położonych w Wielopolu gm. Zagórz, składających się z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi 288, 211, 289, 359, 621 – o powierzchni 1,13 ha, dla których to nieruchomości prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00010504/6, a na które wydany został akt własności ziemi RG-ON-4511-4/41/76 przez Naczelnika Miasta Sanok; oraz działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 358 o powierzchni 0,1300 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00010543/1.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Piotra Hajnusa, s. Bazylego i Marii, bądź jego spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygn. akt I Ns 349/21 toczy się postępowanie z wniosku Stanisława Solarskiego z udziałem Adolfiny Solarskiej, Jana Solarskiego, Mariusza Solarskiego o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w Baranowie Sandomierskim, gm. Baranów Sandomierski, oznaczonej jako działki ew. o nr. 978, o pow. 0,1871 ha.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia stawili się w Sądzie. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

ZUZANNA

Radzik: *Na pomniki!*

Całe sylwetki z brązu na cokołach, popiersia eksponowane na środku placu lub otoczone klombem, same głowy w wojskowych czapkach lub wyłysiałe – za to z dumnym wąsem. Ciągle na nich gdzieś trafiam. Czasem, gdy ochlapani są czerwoną farbą, wiadomo z daleka, że służyli w Kongu. Niemniej wciąż stoi ta głowa na skwerze i gdyby nie farba, byłaby przezroczysta. Wiadomo, należy się. Świat pełen jest oznak, że historia należała do mężczyzn.

Tymczasem kobiety na pomniku ze świecą szukać. Kobiety pod własnym nazwiskiem, rzecz jasna. Jeśli już, to kobiece ciało przybierające postać Wiktorii, męstwa na polu bitwy, z rozdartą na piersi szatą, chorągwią w ręku lub mieczem. Albo jakieś powykręcane w smutku lub namiętności, by przedstawić inne ludzkie cnoty lub uczucia. Przeszły do historii jędrne biusty i zgrabne biodra anonimowych modelek, które do tych pomników pozowały.

Staję na kolejnym skwerze, gdzie zgrabne dziewczęce ciało wygina się niczym w asanie. Zwyczajna dekoracja. Wiadomo, kobiece ciało dekoruje, sprzedaje. Przeszłam tego dnia pół miasta i łapię oddech na ławce myśląc, jak bardzo to nie jest w porządku.

Temat pomników zaczyna mnie dręczyć. Zwłaszcza po tym, gdy strona turystyczna Helsinek polecała na wakacje spacer trasą pomników przedstawiających kobiety. Tylko... okazało się, że większość z nich kobiet nie przedstawia. Pomnik zrobiony przez Alpa Saila jako jedyny pokazuje realną kobietę: Larin Paraske. Ludowa poetka, centralna dla kultury Karelii autorka wierszy i pieśni ludowych, przedstawiona została realistycznie. Wspaniała jest, rozsiadła się w ludowym stroju, starsza, w czepku, o ostrych rysach. Nic zalotnego, samo przeżyte dumnie życie i powaga.

Ale już Miina Sillanpää, która była jedną z najbardziej wpływowych politycznie postaci dwudziestowiecznej Finlandii, miała mniej szczęścia. Choć w parlamencie zasiadała przez 40 lat i była pierwszą kobietą-członkiem rządu oraz jako minister do spraw społecznych zwracała uwagę na warunki życia robotnic i samotnych matek, to doczekała się tylko pięciometrowej abstrakcyjnej rzeźby z brązu. Szkoda, bo dobrze by wyglądała na pomniku, czy w tej czarnej zapiętej guziczkami pod szyję sukni i binoklach, czy już starsza, z piękną siateczką zmarszczek jak u Judi Dench.

Pisarka Maila Talvio też doczekała się niby-pomnika dla siebie, ale tak naprawdę „Córka Bałtyku" to symboliczne przedstawienie jej powieści poświęconej Helsinkom, które stanęło w miejscu jej domu. Dziwne, Talvio nie oszpeciłaby tego skweru własną postacią, czy to młodą – gdy emanowała świetlistą pewnością siebie – czy to gdy zmieniła się w drobniutką staruszkę.

Nawet kariera sceniczna nie gwarantuje figuratywnego przedstawienia. Ida Aalberg, dziewiętnastowieczna aktorka teatralna, gwiazda swoich czasów, doczekała się pomnika w postaci... dziewięciometrowej rzeźby przedstawiającej teatralną kurtynę. W sumie był to pierwszy abstrakcyjny pomnik w Finlandii, więc może to i chwała. Ale czemu, upamiętniając ważne kobiety, idziemy w symbole, a jednocześnie kobiece ciała młode i wyrwane z realnego życia służą za nośniki alegorii?

Zostawmy Helsinki. To nie dotyczy tylko tego miasta. Rozejrzyjcie się po swoim. Tak, chyba chciałabym starych albo młodych, ale prawdziwych kobiet na pomnikach. Wysłużonych, pomarszczonych, które dobrze przeżyły życie. „Jak będziesz miał szczęście, to kiedyś też będziesz stary" – odpowiada pyskatym uczniom znajoma nauczycielka, gdy jej dogadują, jaka to ona wiekowa. Proszę zatem w przestrzeni publicznej o więcej kobiet, które miały szczęście się zestarzeć. Bo ze starymi facetami nie ma kłopotu, nawet gdy obiektywnie nie są zbyt ładni, tylko noszą się dumnie.

Pośród tej miejskiej męskiej dominacji ucieszyło mnie, że dwa nowo otwarte mosty pieszo-rowerowe w Brukseli nazwano na cześć kobiet wybranych w plebiscycie. Poszłam tam zwabiona newsem na popołudniowy spacer. Mosty nowiutkie, wciąż brakuje tabliczek, które informowałyby przechodniów, że konstrukcje, które mają zbliżyć ich z centrum, to Fatima Mernissibrug i Loredana Marchibrug.

Jeden z nich nazwano po Loredanie Marchi, aktywistce, która walczy o równouprawnienie kobiet żyjących na Molenbeeku i w okolicy kanału. Drugą kładkę poświęcono pamięci nieżyjącej marokańskiej socjolożki i pionierki feminizmu, Fatimie Mernissi.

Fajnie, ale poproszę więcej. ©

Nazwanie po imieniu swoich grzechów jest już aktem pokuty. Skręca mnie, gdy słyszę modlitwy w rodzaju: „odpuść nam nasze słabości". Bóg nie ma co przebaczać naszych słabości, jeśli nas stworzył słabymi! Przepraszamy za winy.

Ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalne „Kryzys w Kościele"

dostępne jako e-book na **powszech.net/kryzyswkosciele**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OLAF MOCNY BŁĘDAMI RYWALI

Niemcy wybierają nowy Bundestag, a największe szanse na wygraną mają nieoczekiwanie socjaldemokraci.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Historia tych wyborów miała być prosta i wręcz bajkowa. Po 16 latach Angeli Merkel władzę miała przejąć Annalena Baerbock. Młoda, liberalna i pełna energii liderka Zielonych to byłby nowy etap w dziejach Niemiec. Wyważenie i ostrożność ustępującej kanclerz miały zostać zastąpione przez odważne reformy w dziedzinie transformacji energetycznej. Niemcy miały być przykładem dla świata, jak pożegnać się z przemysłem bazującym na emisji dwutlenku węgla, i szeroko otworzyć drzwi ery neutralności klimatycznej.

Tak to wyglądało jeszcze wiosną. Baerbock ogłosiła swoją kandydaturę, a jej partia wystrzeliła w sondażach, sięgając 28 proc. poparcia. W zasadzie jedyne pytanie brzmiało: czy Zieloni wykorzystają swoje pięć minut, czy może jednak chadecja (CDU/CSU) odrobi straty i wygra piąty raz z rzędu.

Tymczasem dziś, na ostatniej prostej, wszystko wskazuje, że najsilniejszą formacją w Bundestagu będzie socjaldemokratyczna SPD, na którą jeszcze pół roku temu nie stawiał absolutnie nikt. Przy czym socjaldemokraci nie musieli się szczególnie napracować, aby wysunąć się na prowadzenie. Wystarczyło, że ich rywale na własne życzenie wpadli w spiralę błędów, za które prawdopodobnie zapłacą polityczną porażką.

Upiększone doświadczenie

Z perspektywy czasu widać, że Zieloni położyli tę kampanię już z chwilą wyłonienia swojego kandydata. 40-letnia Baerbock, współprzewodnicząca partii, została wybrana przede wszystkim ze względu na płeć, zgodnie z feministyczną logiką, która jest jednym z fundamentów Zielonych. W odstawkę poszedł drugi współprzewodniczący, 52-letni Robert Habeck – choć jest o wiele bardziej doświadczony i cieszy się ponadpartyjną popularnością. Ta decyzja miała się szybko zemścić.

Zaczęło się od życiorysu, który Baerbock zaprezentowała. Rychło ustalono, że jego fragmenty mocno podkolorowano. Werdykt opinii publicznej był jednoznaczny. Kandydatka, która w rzeczywistości oprócz pracy posłanki nigdy nie pełniła żadnej ważniejszej funkcji, na siłę chciała dorobić sobie kanclerską aurę.

Potem było oskarżenie o plagiat. Na początku roku Baerbock wydała książkę, w której wyłożyła swoje recepty na problemy krajowej polityki. Była to typowa pozycja na czas kampanii, pisana zapewne przez ghostwriterów, niemniej firmowana nazwiskiem Baerbock. Okazało się, że wiele fragmentów przepisano z innych opracowań bez podania źródeł.

Z tych, powiedzmy to uczciwie, w sumie niewielkich błędów kandydatka nie zdołała się uwolnić aż do końca kampanii. Fakt, że rozłożyła się już na takich sprawach, nie przystawał do wielkich nadziei, jakie wyborcy pokładali w Baerbock i jej partii.

Brak doświadczenia ujawniał się też w wielu jej niefortunnych wypowiedziach, jak choćby tej, że „zakazy są często matką wynalazków". Tak zareagowała na zarzut, że Zieloni chcą zbyt wiele zakazywać. Partia już wcześniej kojarzyła się z zakazami, teraz jej słowa ten wizerunek odświeżyły. Nieudaną próbą skupienia uwagi wyborców okazał się plan stworzenia po wyborach ministerstwa klimatu, które miałoby prawo weta wobec poczynań innych resortów, gdyby zagrożony był cel neutralności klimatycznej. Mało realistycznie zabrzmiał z kolei postulat, że Niemcy powinny zrezygnować całkowicie ze spalania węgla nie w roku 2038

MICHAEL KAPPELER / AFP / EAST NEWS

Choć w debacie w TV padały ostre słowa, zakończyła się w miłej atmosferze: Olaf Scholz, Annalena Baerbock i Armin Laschet, 12 września 2021 r.

(jak to uchwalił już rząd Merkel), lecz wcześniej, bo już w 2030 r.

Wszystko to pogłębiło wrażenie, że Zieloni to może i ludzie z dobrymi intencjami, ale niezdolni do przewodzenia przyszłej koalicji rządowej.

Wymyślanie się na nowo

Gdy Zielonym szło już dostatecznie źle, chadecy z CDU postanowili im dorównać. „Każdy bezrobotny w Rumunii, Bułgarii lub innym kraju Unii będzie opłacany przez pracującego inżyniera elektryka z Wuppertalu lub pielęgniarkę z Chemnitz. Taka jest wizja SPD dla przyszłości Europy" – słowa te nie padły bynajmniej z ust polityka Alternatywy dla Niemiec (AfD). Powiedział je Paul Ziemiak, sekretarz generalny CDU – i musiał się potem sporo nasłuchać, jak to w obliczu spadających notowań chadecja sięga po populizm.

Dużo było też w chadeckiej kampanii słów sprzecznych z linią władz partii. Jeden z kandydatów na posła, były szef Urzędu Ochrony Konstytucji (odpowiednik ABW) Hans-Georg Maaßen, w swoich wystąpieniach straszył propagandą gender, krytykował media publiczne za, jak twierdził, brak obiektywizmu i krytykował politykę migracyjną Merkel. Z kolei Friedrich Merz, od lat główny wewnątrzpartyjny krytyk Merkel, zgłaszał potrzebę radykalnie nowych tonów w polityce gospodarczej i społecznej, jakby jego partia nie rządziła przez 16 lat.

Widać, że po tym, jak Angela Merkel zapowiedziała wycofanie się z polityki, odżywa konserwatywne skrzydło jej partii. Teraz jego przedstawiciele głoszą na wiecach potrzebę mocnego skrętu na prawo – choć to scenariusz niemal niemożliwy do realizacji, bo sam kandydat na kanclerza, 60-letni Armin Laschet, to kontynuator linii Merkel i partyjny liberał.

Sądząc po narastających wewnętrznych konfliktach w CDU, wśród chadeków ruszył już burzliwy proces wymyślania się na nowo po erze Merkel. Już – albo dopiero.

Fatalny uśmiech

Głównym źródłem zmartwień chadeckich strategów stał się jednak nie kto inny, ale sam Armin Laschet.

W tym roku musiał on wygrać wybory na przewodniczącego CDU, a potem stoczyć bój o kanclerską kandydaturę. W obu przypadkach zwyciężał, ale o włos. Nikogo nie zachwycił. ↦

↦ Jeśli przekonał, to głównie wizją chaosu, jeśli głos nie zostanie oddany na niego. Zwłaszcza walka o kandydaturę kanclerską z charyzmatycznym Markusem Söderem (premierem Bawarii i liderem siostrzanej chadeckiej CSU, z którą CDU tworzy wspólną frakcję w parlamencie) kosztowała go utratę zaufania w szerokich kręgach CDU. Odtąd po każdym sondażowym spadku powtarzały się zarzuty, że Bawarczyk na pewno wszystko zrobiłby lepiej.

Söder chciał kampanii ofensywnej, chciał się bić z Zielonymi o to, kto ma lepsze kompetencje, by przygotować kraj na nadchodzące ciężkie czasy transformacji energetycznej. Laschet, który generalnie nie jest skory do wszczynania konfliktów, chciał kampanię wyborczą przeczekać, wierząc, że chadecja dostanie głosy w ramach swego rodzaju premii za dobre lata Merkel i rządzenie przez większość powojennej historii Niemiec. I to się nawet udawało aż do wielkiej powodzi, która w lipcu zdemolowała regiony na zachodzie kraju i zabiła kilkuset ludzi.

Katastrofy naturalne i związane z nimi reakcje polityków odmieniły już niejedną kampanię. Dla chadeków sprawdzian ten okazał się koszmarem. Oto kamery, które na miejscu tragedii nagrywały pełną szacunku i współczucia dla rodzin ofiar wypowiedź prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera, uchwyciły też, jak na drugim planie Laschet wybucha śmiechem i żartuje w gronie współpracowników. Scena, za którą kandydat chadecji musiał się potem wielokrotnie kajać, prześladowała go przez kolejne tygodnie.

We wrześniu sondaże i nastroje były tak złe, że do chadeckiej kampanii włączyła się Merkel, choć wcześniej sygnalizowała, że nie ma na to ochoty.

Byle bez błędów

Plakaty polityków SPD wyróżniają się na tle banerów innych partii: czarno-białe twarze kontrastują z jednobarwnym czerwonym tłem. Przekaz jest jasny: SPD to partia lewicowa, która martwi się o socjalny elektorat. Wśród głównych postulatów powtarza się podniesienie minimalnej stawki do 12 euro za godzinę, reforma systemu emerytalnego i opodatkowanie najbogatszych, żeby móc spłacić długi, które państwo zaciągnęło na gigantyczne programy pomocowe. W czasie pandemii, która wzmocniła społeczne lęki o podstawowe sprawy bytowe, obietnice socjalne dobrze się sprzedają.

Ale samym programem jeszcze nie rozstrzyga się wyborów. Te dla SPD wygrywa samotnie Olaf Scholz. Ten 63-letni polityk związał się z socjaldemokracją w latach 70. ubiegłego wieku, a w pokaźnym CV ma m.in. kierowanie dwoma ważnymi resortami (finansów i pracy) oraz długoletnie pełnienie funkcji burmistrza Hamburga. Przez ostatnie cztery lata był wicekanclerzem w rządzie Merkel. Co ciekawe, w powszechnym odbiorze Scholz przypomina Merkel bardziej niż kandydat chadecji: jest do bólu rzeczowy, a jego przemówienia można określać na różne sposoby, ale na pewno nie jako porywające.

Przez całą kampanię Scholz niczym nie błysnął, ale w przeciwieństwie do Baerbock i Lascheta nie popełniał błędów. Nie atakuje, lecz podkreśla osiągnięcia i wzmacnia swój wizerunek kogoś, kto byłby dobrym następcą Merkel. Brak charyzmy nie jest w polityce problemem, jeden taki miał jej aż za dużo i wszyscy źle na tym wyszli – mawiają Niemcy. Pragmatyka, spokój i kompetencje – to zestaw preferowany w Republice Federalnej. Przez długie lata cechy te były wizytówką chadecji, także – a może zwłaszcza – Angeli Merkel.

W ten sposób SPD i jej kandydat skutecznie żywią się słabością głównych rywali.

Ostatnia prosta

W ostatnim sondażu, który był dostępny przed zamknięciem tego numeru „Tygodnika", SPD miała 25 proc. poparcia, chadecja 22 proc., a Zieloni 16 proc. Ci ostatni na pewno nie liczą się już w walce o pierwsze miejsce, choć ich wynik może się jeszcze poprawić. Na ostatniej prostej z odsieczą przychodzą im eko-aktywiści z Fridays For Future: ruch będzie demonstrować w całym kraju na dwa dni przed wyborami. Młodzież żąda radykalnej polityki klimatycznej, więc nawet jeśli nie wprost, będzie to namawianie do głosu na Zielonych.

Z kolei chadecja stara się odrabiać straty, strasząc nieco starszych i co bardziej konserwatywnych wyborców (ludzie w wieku 50 plus stanowią blisko 60 proc. wszystkich uprawnionych do głosowania). Chadecy przekonują, że głos na centrolewicowego polityka, jakim z pewnością jest Scholz, to w istocie głos na skrajnie lewicową koalicję, bo SPD może dobrać sobie do rządzenia nie tylko Zielonych, ale też lewicowych radykałów z Die Linke, którzy chcą np. wyjścia z NATO.

Pewne znaczenie mogą mieć też zarzuty – sformułowane już dawno, a teraz przywołane – przymykania oka na proceder prania pieniędzy przez jedną z państwowych instytucji, która podlega federalnemu ministerstwu finansów, a więc i Scholzowi. Chadecy liczą, że zarzuty zaszkodzą kandydatowi SPD. Różnica między SPD i CDU/CSU jest niewielka, więc wynik będzie niejasny aż do wyborczego wieczoru.

Polaryzacja na chwilę

Kampania żywi się polaryzacją, a główni aktorzy tego teatru wiedzą, że po wyborczej niedzieli 26 września przyjdzie czas rozmów koalicyjnych, które rządzą się odrębną logiką. W 2013 r. SPD przez całą kampanię zarzekała się, że nie utworzy „wielkiej koalicji" z chadekami, a potem tak się właśnie stało. Sytuacja powtórzyła się w 2017 r.

Podczas największej debaty tej kampanii, zorganizowanej przez publiczną telewizję, Laschet wieszał psy na Scholzu za – jak twierdził – brak kompetencji i plany rozdawnictwa socjalnego, a Baerbock rugała ich obu za zaniedbania wspólnych rządów chadecji i SPD. Jednak gdy debata się skończyła, obiektywy zarejestrowały moment, gdy kandydaci stoją blisko siebie i dzielą się pierwszymi wrażeniami. Na twarzach całej trójki widać było ciepłe naturalne uśmiechy.

Niemcy mają to szczęście i komfort, że ich system polityczny zbudowany jest na ciągłości, dialogu oraz umiejętności podejmowania decyzji pragmatycznych i kompromisowych. Zapędy skrajnych skrzydeł poszczególnych partii temperuje się w drodze zawiązywania koalicji.

Jeśli więc wygra SPD, i jeśli do utworzenia koalicji potrzeba będzie trzech partii, komentatorzy stawiają na to, że socjaldemokraci podejmą w pierwszym rzędzie negocjacje z Zielonymi, ale też z gospodarczymi liberałami z Partii Wolnych Demokratów FDP (sondaże dają im 12 proc.). Z kolei przegrana chadeków i ich przejście do opozycji, po 16 latach rządzenia, może oznaczać wielkie zmiany w CDU. W poszukiwaniu winnych partia zapewne zażąda głowy Armina Lascheta – i zacznie się proces jakiejś jej przebudowy.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Strach jest głównym prawodawcą

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

Mieszkańcy afgańskiej stolicy wciąż próbują odnaleźć się w nowej sytuacji. Nie są pewni, na co mogą sobie pozwolić pod rządami talibów.

W zakładzie barberskim Vip Hair Salon dwóch pracowników siedzi na kanapach, patrzą w telefony i przesuwają palcami po ekranie. Przestronne miejsce z czterema pustymi fotelami czeka na klientów do strzyżenia. Trochę ponad miesiąc temu barberów było tu czterech i pracy mieli pod dostatkiem. Teraz nawet ta dwójka nie ma zajęcia.

Wszystko zmieniło się dwa dni przed tym, jak talibowie zajęli Kabul. W zasadzie bez walki zdobywali kolejne miasta. W stolicy z jednej strony liczono, że miasto nie wpadnie w ich ręce. Z drugiej jednak jego mieszkańcy podejmowali środki zaradcze, by nie podpaść nadchodzącym nowym władzom. Mieli w pamięci ich restrykcyjne i brutalne rządy sprzed ponad 20 lat, dlatego w mieście rozniosła się plotka, że mężczyźni powinni przestać golić brody.

Dla 19-letniego Murtazy Sultaniego, współwłaściciela zakładu barberskiego, był to dramat. – Od tego czasu praktycznie nikt nie przychodzi. Dotychczas mieliśmy przynajmniej dwudziestu klientów dziennie, teraz jest dobrze, jak mamy ich dwóch, trzech. Ludzie się boją golić zarost – mówi Sultani.

19-letnia **MARZIJA HAMIDI** *musi zrezygnować z marzeń o olimpiadzie.*

Wyżej: na ulicach Kabulu można dziś kupić białe flagi talibów. Wrzesień 2021 r.

To właśnie strach jest dziś głównym prawodawcą. W wielu przypadkach talibowie nie muszą wydawać zakazów, bo Afgańczycy z obawy przed potencjalnymi represjami sami siebie ograniczają.

Nie zarabiamy na czynsz

Vip Hair Salon to jedno z niewielu miejsc w ponad sześciomilionowym Kabulu, gdzie dziś wciąż można uświadczyć flagi Stanów Zjednoczonych. Na barberskich fotelach rozłożone są peleryny fryzjerskie z gwiazdami i pasami.

– Jak przyjdą tu talibowie, powiem, że to po prostu okrycie, bez żadnego politycznego podtekstu – mówi Sultani.

W wystrój wnętrza włożył dużo wysiłku. Gdy oglądał inne tego typu lokale w Kabulu, wydawały mu się nudne. Chciał, żeby Vip Hair Salon się wyróżniał. Jedna ściana zakładu wyłożona jest drewnem. Na dużym regale starannie ułożono kosmetyki do pielęgnacji włosów i zarostu. Znajduje się tam też oddzielny pokój dla VIP-ów, którzy potrzebowali specjalnego traktowania.

Sultani trzy lata temu wymyślił koncepcję swojego salonu. Inspirował się zdjęciami zakładów barberskich, które znajdował w internecie. Sam pojechał wybierać drewno i zadbał, by ładnie prezentowało się na ścianie. Dwa lata temu wraz ze wspólnikiem otworzyli Vip Hair Salon. Dziś Sultani bardziej obawia się o to, że jego biznes padnie lub nowe władze rozkażą mu go zamknąć, niż o własne bezpieczeństwo.

– To miejsce jest piękne, ale nie zarabia. Musimy płacić 500 dolarów czynszu miesięcznie i teraz nie stać nas na to – mówi Sultani. Sklep z płytami DVD, który znajduje się obok jego salonu, już się zamknął. Wielu właścicieli lokali na tej samej ulicy chce się pozbyć swoich biznesów, nawet za nieduże pieniądze. Problem w tym, że nikt nie chce ich kupować.

Czasem nie przychodzi nikt

Z podobnymi wyzwaniami mierzy się sklep z damskimi ubraniami, w którym pracuje 26-letni Nadżmuddin Azimi. Lokal znajduje się w jednej z galerii handlowych w centrum miasta. Dziś tylko sporadycznie można natknąć się na pracujących tu ludzi.

Ze sklepu, w którym od ośmiu lat pracuje Azimi, bije mocne światło i rzucają się w oczy pstrokate ubrania. W asortymencie są głównie bluzki i sukienki importowane z Turcji oraz Indii. Ceny zdecydowanie przekraczają możliwości wielu Afgańczyków. ↦

– Od przyjścia talibów nie sprzedałem praktycznie niczego. Wraz ze zmianą władzy padła gospodarka, a tym samym handel – mówi Azimi. – Dotychczasowi klienci może nie byli bogaci, ale mieli pracę, a tym samym pieniądze, żeby kupić ubrania w naszym sklepie.

Od półtora miesiąca banki ledwie działają, przez co wiele środków jest zamrożonych. Choć Afganistan od dawna mierzy się z wysokimi bezrobociem, teraz jeszcze trudniej o pracę.

Azimi twierdzi, że wcześniej sklep przynosił świetne dochody. Dziennie do pięćdziesięciu osób kupowało tutaj rzeczy. Największą popularnością cieszyły się bluzki. Klientki nosiły je, idąc do biur czy na uniwersytety. Dobrze sprzedawały się też dżinsy, na które obecnie kobiety zupełnie nie zwracają uwagi. Azimi mówi, że teraz dzień można uznać za udany, jeśli zakupy zrobi pięć osób. Zdarzają się jednak dni, gdy nie przychodzi nikt.

Azimi twierdzi, że do największego tąpnięcia nie doszło od razu po przyjściu talibów, tylko wraz z końcem ewakuacji prowadzonej przez państwa zagraniczne. W rezultacie operacji zakończonej 31 sierpnia kraj opuściło ponad 123 tys. osób (Polska ewakuowała ponad tysiąc). Wśród nich znajdowali się też obywatele państw prowadzących ewakuację. Również co niemniej kilkadziesiąt tysięcy Afgańczyków opuściło kraj. Były to osoby współpracujące z wojskami zagranicznymi, a także grupy zagrożone objęciem władzy przez talibów: dziennikarze, aktywiści, urzędnicy w byłym rządzie i administracji państwowej.

– Od tego czasu ludzie zupełnie przestali przychodzić, bo ci z pieniędzmi wyjechali z kraju – uważa Azimi.

Z powodu zastoju i niepewnej sytuacji politycznej właściciel sklepu postanowił obniżyć ceny i sprzedaje ubrania poniżej ceny, za jaką je zakupił. Do lokalu wchodzi kilka kobiet. Oglądają jedną z sukienek. – Wcześniej kosztowała 2500 afgani [ok. 114 zł – red.], ale teraz chcemy ją sprzedać za 1500 [68 zł – red.] – mówi Azimi.

Dotychczas talibowie nie wprowadzili na poziomie kraju żadnych dokładnych regulacji dotyczących sposobu ubierania się. Właściciel sklepu boi się jednak, że wkrótce może się to zmienić, a tym samym jego asortyment stanie się niesprzedawalny.

W każdym razie kobieta odkłada sukienkę na miejsce.

Samoograniczenie

Na zakupy do centrum handlowego wraz z siostrą wybrała się 28-letnia dentystka Hamida Karimi. Podczas pierwszych rządów talibów jej rodzina schroniła się w Iranie, a wróciła po tym, jak w 2001 r. Amerykanie obalili ich rządy.

Hamida nie miała dotąd styczności z talibami. Ubrana jest w elegancką abaję, okrycie wierzchnie szczelnie zasłaniające ciało z wyjątkiem dłoni i głowy, a także hidżab i maskę medyczną. Dziewczyna jest innego zdania niż Azimi: twierdzi, że kluczowym powodem, iż w sklepach z odzieżą nie ma klientów, nie jest brak pieniędzy, lecz strach.

Po zmianie władzy Karimi, podobnie jak wiele kobiet, sama z siebie zaczęła ubierać się bardziej konserwatywnie, a przede wszystkim unikać wychodzenia z domu z obawy, że mogą spotkać ją nieprzyjemności. – Wcześniej się tak nie ubierałam. Zazwyczaj nosiłam krótsze ubrania, tuniki nie sięgały kolana – przyznaje.

Jej ubrania były w takim stylu jak te, które jeszcze do niedawna najlepiej sprzedawały się w sklepie, gdzie pracuje Azimi. Teraz Karimi musi wymienić garderobę. W centrum handlowym szuka dla siebie nowej abaji, bo jedna to za mało, aby nosić ją na co dzień.

– Słyszałam, że za niewłaściwy ubiór mogę zostać pobita lub obrażona, więc wolę zmienić dotychczasowy styl – mówi. – Mnie do tej pory jednak żadne nieprzyjemności nie spotkały.

Talibowie przyznają w nieoficjalnych rozmowach, że zdają sobie sprawę z powszechnych obaw Afgańczyków. Dlatego też nie muszą wprowadzać żadnych praw, bo ludzie sami się ograniczają. Dotyczy to zarówno obecności kobiet w życiu publicznym, jak też golenia brody czy słuchania muzyki.

Karimi nie tylko zmieniła garderobę. Jeśli musi wyjść z domu, porusza się po mieście wyłącznie taksówką. Początkowo myślała, że nie będzie przychodzić do pracy, ale dzwoniły pacjentki i błagały, by zajęła się ich zębami. Wróciła do gabinetu, lecz odseparowała się od swojego kolegi i zaczęła obsługiwać wyłącznie kobiety i dzieci.

Jeszcze do niedawna chodziła też na kursy języka niemieckiego, ale gdy talibowie zakazali nauki koedukacyjnej, ona i inne kobiety zrezygnowały z zajęć. Obawiały się, że mogą spotkać je nieprzyjemności, nawet jeśli będą w oddzielnej grupie. Karimi uczy się teraz online. Chce

Odkąd talibowie objęli władzę, mężczyźni nie są skorzy do golenia zarostu. Przez to 19-letni **MURTAZA SULTANI** *większość dnia spędza, oczekując na klientów.*

Po lewej: 23-letni sprzedawca bananów **WAZI MOHAMMADI** *cieszy się z przyjścia talibów, bo teraz nie musi się obawiać przestępców.*
26-letni **NADŻMUDDIN AZIMI** *sprzedaje ubrania dla kobiet. Pstrokate sukienki i dżinsy nie znajdują dziś klientek, które boją się, że za taki strój może spotkać je kara.*
Kabul, wrzesień 2021 r.

podciągnąć się z niemieckiego, aby kontynuować naukę w Niemczech. – Nikt mi dotychczas niczego nie zabronił, ale podjęłam te środki dla własnego bezpieczeństwa – przyznaje.

Sport nie dla kobiet

Kariera 19-letniej Marziji Hamidi, utytułowanej zawodniczki taekwondo, stanęła pod znakiem zapytania. W dniu zajęcia Kabulu przez talibów myślała, by zniszczyć wszystkie swoje medale. – Starszy brat przekonał mnie, żebym tego nie robiła, a po prostu ukryła je w bezpiecznym miejscu – mówi Hamidi.

Także przed przyjściem talibów uprawianie sportu przez kobietę, a już zwłaszcza sztuki walki, było wyzwaniem. Hamidi, która prawie całe życie spędziła w Iranie i dopiero trzy lata temu przeprowadziła się do Kabulu, z trudem wpisywała się w narzucone zasady. – Trenerzy nie zachowywali się wobec mnie profesjonalnie. Bardziej niż na rozwoju skupiali się na moim wyglądzie. Nie nosiłam hidżabu podczas treningu, bo to po prostu niewygodne. Trenerzy mieli o to pretensje – wyjaśnia Hamidi.

Na dwa miesiące przed tym, jak talibowie zajęli Kabul, jej zajęcia zostały odwołane ze względu na pogarszające się bezpieczeństwo. Hamidi trenowała w domu, ale to nie to samo, co wycisk na sali.

Nie wydaje się, aby 19-latka mogła wrócić do uprawiania sportu w Afganistanie. Choć także w tej sferze nie wprowadzono konkretnych rozwiązań, zapowiedzi nowych władz nie dają jej nadziei. W wywiadzie dla australijskiej telewizji SBS zastępca szefa talibskiej komisji kultury Ahmadullah Wasik mówił, że kobiety nie będą mogły uprawiać żadnego sportu, w którym ich ciała mogłyby zostać odsłonięte, a ubiór nie byłby zgodny z ich, talibów, wyobrażeniem o islamie.

– W taekwondo kopiemy wysoko, co podkreśla naszą figurę. Talibowie na pewno tego nie zaakceptują – mówi Hamidi.

Większe bezpieczeństwo

Niedaleko centrum handlowego, w którym pracuje Azimi i gdzie Karimi szukała nowej abaji, 23-letni Wazi Mohammadi sprzedaje banany z wózka. W ostatnich miesiącach przyjechał do stolicy z rodzinnej prowincji Kapisa, leżącej na północny-wschód od Kabulu. Opuścił ją, bo nie mógł znaleźć pracy.

W dniu, gdy talibowie wkroczyli do miasta, był w centrum i tak jak dziś sprzedawał banany. Nie miał żadnych obaw, a nawet był szczęśliwy, bo wiedział, że nareszcie złodzieje dadzą mu spokój.

Od przyjazdu do Kabulu Mohammadi był okradany trzy razy. Napadano na niego, gdy rano wybierał się na bazar, by kupić banany, które następnie sprzedawał w mieście. Ostatnim razem obcy ludzie poczęstowali go wodą, w której musieli coś rozpuścić. Mohammadi stracił przytomność, a gdy się obudził, nie miał przy sobie pieniędzy. Stracił 5 tys. afgani (227 zł), połowę ówczesnych miesięcznych zarobków.

– Wcześniej kręciło się tu dużo przestępców. Kradli moje banany i pieniądze. Teraz to się skończyło – mówi Mohammadi, który cieszy się, że talibowie patrolują ulice i rozprawiają się z przestępcami. Strach, który wywołują, pozwala mu spać spokojnie. To dla niego ważniejsze niż fakt, że odkąd zmieniły się władze, mniej ludzi chce kupować od niego banany, a jego zarobki spadły niemal o połowę.

Czekając na okazję

Barber Murtaza Sultani nie widzi dla siebie przyszłości w Afganistanie. Chciałby wyjechać, gdy tylko nadarzy się okazja. Wszystkie jego plany legły w gruzach. Czeka, aż zostaną wznowione loty komercyjne i uzyska jakąś wizę.

Sprzedawca ubrań Nadżmuddin Azimi po powrocie z pracy dzieli się z żoną swoimi zmartwieniami dotyczącymi przyszłości sklepu, słabego utargu i rachunków, które trzeba zapłacić. Myśli tylko o tym, w jaki sposób mogliby opuścić kraj. – Wszędzie jest lepiej niż w Afganistanie. Dlatego nie będę wybrzydzał, chętnie udałbym się choćby do któregoś z sąsiednich państw – przyznaje.

Dentystka Hamida Karimi chciała wyjechać na studia do Niemiec, a po ich ukończeniu wrócić do kraju, by leczyć rodaków. Dziś jest pewna, że jeśli uda jej się opuścić Afganistan, to do niego nie wróci.

Zawodniczka taekwondo Marzija Hamidi nie chce rezygnować z kariery. Marzy, aby jak najszybciej wznowić treningi i odzyskać formę. W tym roku straciła szansę na olimpiadę z powodu koronawirusa i – jak twierdzi – nepotyzmu. Liczy jednak, że w 2024 r. w Paryżu będzie mogła zawalczyć o olimpijskie złoto. Aby tak się stało, musi trafić do kraju, gdzie będzie mogła wywalczyć sobie szansę na start w olimpiadzie.

Tylko sprzedawca bananów Wazi Mohammadi nie wspomina o opuszczeniu Afganistanu.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca SADAM ZADRAN

„Zrobiłby znów to samo”

MARTA ZDZIEBORSKA

Postępowanie sądowe w sprawie oskarżonych o zamachy z 11 września 2001 r. jest już jednym z najdłuższych w historii USA. A właściwy proces nawet się nie zaczął.

Chalid Szajch Mohammed nie wyróżniał się z tłumu. Tak przynajmniej twierdzi w rozmowie z radiem NPR Garth Faile, wykładowca Uniwersytetu Chowan, gdzie Mohammed studiował w 1983 r. Z jego pobytu na lokalnej uczelni w Karolinie Północnej profesor pamięta jedynie, w której mniej więcej ławce siedział, i to, że nie miał najlepszych stopni.

Być może Mohammed nie zwrócił na siebie uwagi wykładowcy, bo był jednym z wielu uczących się tam wówczas arabskich studentów. Wszystko za sprawą władz uczelni, które w latach 80. ofensywnie reklamowały się w ambasadach USA na Bliskich Wschodzie. Aby studiować wśród pól bawełny w Karolinie Północnej, wystarczył zasobny portfel, przeciętna znajomość angielskiego i otwartość na chrześcijaństwo. Studenci tego prowadzonego przez baptystów uniwersytetu uczestniczyli w modlitwach i wykładach o Biblii. To musiało być trudne dla Chalida, syna pakistańskiego imama. Wkrótce potem wyjechał do Afganistanu, aby przejść szkolenie – pod Hindukuszem trwała wojna z Sowietami.

Ponad dwie dekady później ten sam Chalid został okrzyknięty architektem zamachów z 11 września 2001 r. [o ich 20. rocznicy pisaliśmy w „TP” nr 37 – red.].

Wyjątek od reguły

Był marzec 2007 r., gdy sam wziął na siebie odpowiedzialność: podczas przesłuchania przed komisją wojskową w amerykańskiej bazie Guantanamo na Kubie wypalił, że był „odpowiedzialny za zaplanowanie i przygotowanie zamachów od A do Z”. „Na wojnie są ofiary. Nie jestem szczęśliwy, że prawie 3 tys. ludzi zginęło w Ameryce. Nawet jest mi przykro. Nie lubię zabijać dzieci. Islam nie daje prawa do zabijania. Ale są wyjątki od reguły” – dodał Mohammed.

Rok później postawiono mu oficjalne zarzuty. Wraz z czwórką domniemanych wspólników z Al-Kaidy został oskarżony m.in. o terroryzm, porwanie samolotu, zabójstwo, ataki na cywilów i obiekty cywilne. Grozi mu za to kara śmierci.

Ale choć od postawienia zarzutów minęło już ponad 13 lat, sprawa piątki oskarżonych wciąż jest w fazie przesłuchań przedprocesowych. Jeszcze przed wybuchem pandemii wyznaczono termin rozpoczęcia procesu na 11 stycznia 2021 r., ale potem wszystko się opóźniło, także za sprawą obowiązujących restrykcji. Wciąż nie wiadomo, kiedy odbędzie się pierwsza rozprawa.

Ale po kolei. Według raportu komisji śledczej – badającej okoliczności zamachów z 11 września (tzw. Komisja 9/11) – Chalid Szajch Mohammed po raz pierwszy przyciągnął uwagę FBI w związku z zamachem bombowym na World Trade Center, który miał miejsce 26 lutego 1993 r. Amerykańskim służbom udało się wówczas ustalić, że na kilka miesięcy przed tym atakiem Mohammed wysłał przelew zagraniczny do jednego ze wspólników i mózgu całej tej operacji – Ramziego Yousefa.

Yousef liczył na to, że wybuch bomby w podziemnym garażu WTC wywoła reakcję łańcuchową i doprowadzi do zawalenia obu wież. Ostatecznie jednak zginęło „zaledwie” sześć osób, choć rannych było ponad tysiąc. Słynne nowojorskie biurowce stały nienaruszone.

Spotkanie w Tora Bora

To zresztą nie jedyny plan Yousefa – prywatnie siostrzeńca Mohammeda – który nie wypalił. Dwa lata później obaj szykowali się do operacji pod kryptonimem „Bojinka”. Planowali m.in. zamach na papieża Jana Pawła II podczas jego wizyty na Filipinach w styczniu 1995 r. oraz wysadzenie nad Pacyfikiem dwunastu amerykańskich samolotów pasażerskich. Spisek udaremniła manilska policja, która w mieszkaniu przyszłych zamachowców znalazła laptopa Yousefa, gdzie zapisane były plany operacji.

Porażki nie powstrzymały Chalida Szajcha Mohammeda przed planowaniem kolejnych akcji. Według raportu Komisji 9/11 – w jego części opartej na zeznaniach, które pozyskali agenci CIA – w 1996 r. Mohammed spotkał się z Osamą bin Ladenem, liderem Al-Kaidy. To wtedy, w kompleksie jaskiń Tora Bora w Afganistanie, miał przedstawić pomysł atakowania budynków w USA z użyciem samolotów pasażerskich.

Początkowo sceptyczny, bin Laden zgodził się na sfinansowanie akcji, co zaowocowało intensywnymi przygotowaniami. Wyposażony w zachodnie pisma poświęcone lotnictwu, komputerowe symulatory lotów i filmy ze scenami porwań samolotów, Mohammed przyuczał ochotników w mieszkaniu w pakistańskim Karaczi. To było jednak zadanie karkołomne, gdyż musiał ich uczyć wszystkiego: nie tylko sposobu porywania samolotów, ale też podstaw angielskiego czy korzystania z internetu.

Według raportu Komisji 9/11 kluczowi dla przeprowadzenia zamachów okazali się arabscy studenci z Hamburga: Egipcjanin Mohamed Atta, Libańczyk Ziad Jar-

ARCHIWUM RODZINNE

Sylwia i John Resta – ofiary ataków na World Trade Center

rah, Emiratczyk Marwan al-Shehhi i Jemeńczyk Ramzi Binalshibh. Po odbyciu serii spotkań z bin Ladenem w Afganistanie mieli dostać polecenie, by jak najszybciej znaleźć tanią szkołę pilotażu. Wybór padł na dwie małe placówki w 25-tysięcznym Venice na Florydzie. Jak się potem okaże, kilkumiesięczny kurs wystarczył, by Atta i Shehhi precyzyjnie wbili się w wieże World Trade Center.

W tajnych więzieniach

Pilotem samobójcą jednego z czterech porwanych samolotów miał być też Binalshibh, ale jako jedyny dostał odmowę wizy do USA. Nie chodziło o względy bezpieczeństwa, lecz o to, że Jemeńczycy jawili się wówczas jako potencjalni imigranci, którzy nielegalnie „rozpłyną się" po dotarciu do Stanów. Ostatecznie Binalshibh miał zostać łącznikiem między „komórką hamburską" a przebywającym w Afganistanie Chalidem Szajchem Mohammedem.

To właśnie Binalshibh jako pierwszy trafił w ręce pakistańskiej policji podczas akcji, której celem było mieszkanie w Karaczi. Było to we wrześniu 2002 r. Następnie, pół roku później, wpadli Chalid Szajch Mohammed i Mustafa al-Hawsawi (ten drugi miał pomagać „komórce hamburskiej" w logistyce). Na koniec aresztowano Walida bin Attasha (oskarżanego o pomoc w szkoleniu porywaczy) i Ammara al-Baluchiego – kolejnego siostrzeńca Mohammeda, który wysyłał terrorystom zagraniczne przelewy.

Cała piątka trafiła do tajnych więzień CIA za granicą, gdzie agenci próbowali wyciągnąć z nich kluczowe informacje dla bezpieczeństwa USA. Poddano ich brutalnym metodom przesłuchań, takim jak podtapianie (Mohammeda spotkało to co najmniej 183 razy), pozbawianie snu przez wiele dni czy przymusowe podawanie pokarmu lewatywą. Według BBC i „Washington Post" główny podejrzany – Chalid Szajch Mohammed – miał trafić do funkcjonującego wówczas na terenie Polski tajnego więzienia CIA w Starych Kiejkutach.

Feralne Guantanamo

Krytycy zarzucają od lat amerykańskim władzom, że takie traktowanie podejrzanych było nie tylko niesłuszne pod względem etycznym i prawnym, ale pogrzebało szanse na szybki proces. Od początku było bowiem jasne, że zeznania uzyskane z użyciem tortur mogą być wprawdzie użyteczne (bo mogą przyczynić się do zapobieżenia innym zamachom czy ujęcia kolejnych terrorystów), ale nie można wykorzystać ich jako dowodu w sądzie. Dlatego po tym, jak w 2006 r. całą piątkę przetransportowano do Guantanamo, przesłuchano ich jeszcze raz, tym razem przed komisją wojskową. Obrońcy podważają i te zeznania, twierdząc, że torturowani wcześniej podejrzani nawet w sądzie powiedzieliby to, co chciano od nich usłyszeć.

Sytuację utrudnia dodatkowo fakt, że sprawa toczy się przed komisją wojskową w Guantanamo, a nie przed sądem federalnym w Nowym Jorku, gdzie administracja Obamy chciała przenieść postępowanie. Podjęte w 2009 r. starania spotkały się ze sprzeciwem nowojorskich polityków i mieszkańców, którzy nie zgadzali się, by ten proces toczył się kilka przecznic od Strefy Zero – miejsca pamięci ofiar ataków na WTC. Na złość Obamie zrobił też Kongres, który w 2010 r. przyjął uchwałę zakazującą sądzenia więźniów z Guantanamo przed sądem federalnym.

Potem było jeszcze trudniej. CIA i prokuratorzy wojskowi zasłaniali się tajemnicą państwową i zwlekali z przekazaniem obrońcom kluczowych materiałów. Z drugiej strony decyzja o żądaniu kary śmierci dla piątki oskarżonych skomplikowała procedurę, jako że wiązała się z powołaniem dodatkowych ekspertów i obrońców.

Nie sprzyja też logistyka. Na terenie bazy Guantanamo przebywa obecnie 39 więźniów, natomiast cała reszta uczestników procesu – sędziowie, obrońcy i prokuratorzy – musi tu dotrzeć samolotem. Jeszcze przed pandemią wielokrotnie przesuwano terminy przesłuchań: ze względu na odwołane loty, problemy zdrowotne sędziów czy huragany.

Kolejnym problemem – jakby było ich mało – okazały się częste zmiany kadrowe. Postępowaniem przed komisją wojskową prowadzi już szósty sędzia od 2012 r. (rekordzista zrezygnował po dwóch tygodniach), a niedawno nieoczekiwanie odszedł na wcześniejszą emeryturę generał Mark Martins, który przez dekadę pełnił funkcję głównego prokuratora w komisjach wojskowych.

„Komiczny grajdoł"

Dla rodzin ofiar zamachów z 11 września, domagających się sprawiedliwości, odejście Martinsa jest jak utrata jednego z nielicznych stałych elementów w układance. „Myślałam, że przynajmniej on będzie zaangażowany w tę sprawę. Ale kto może go teraz winić? Cały ten grajdoł w Guantanamo, z ciągłymi zwrotami akcji i zmianami, już dawno stał się niemal komiczny" – powiedziała w rozmowie z „New York Timesem" Adele Welty, której syn strażak zginął w ruinach WTC.

Ciągnącym się w ślimaczym tempie postępowaniem zmęczony jest też Tom Resta, 67-latek z Georgii, który 11 września 2001 r. stracił brata i bratową będącą w siódmym miesiącu ciąży. Pech chciał, że parze nowojorskich inwestorów w ostatniej chwili odwołano wizytę kontrolną u ginekologa i jak co dzień poszli ↦

MICHELLE SHEPHARD / TORONTO STAR / GETTY IMAGES

Prawnicy i dziennikarze przybywają do bazy Camp Justice, aby wziąć udział w przesłuchaniach komisji wojskowej w sprawie oskarżonych o zorganizowanie zamachów z 11 września. Kuba, zatoka Guantánamo, 23 stycznia 2017 r.

↦ do pracy na 92. piętrze północnej wieży World Trade Center.

Gdy niemal 17 lat później – w maju 2018 r. – Tom zobaczył siedzącego na sali rozpraw Chalida Szajcha Mohammeda, poczuł jedynie przytłumioną złość.

– To było dla mnie surrealistyczne doświadczenie – wspomina Tom w rozmowie z „Tygodnikiem". – Mohammed i reszta oskarżonych siedziała po lewej stronie sali, oddzielona od nas dźwiękoszczelną szybą. KSM [skrót od angielskiej wersji: Khalid Sheikh Mohammed – red.] sprawiał wrażenie aroganckiego i przykuwał uwagę intensywnie pomarańczową brodą, którą podobno farbuje sokiem z jagód. Wyglądał tak, jakby dobrze się bawił – twierdzi Tom, który do udziału w przesłuchaniach był zaproszony w ramach puli przeznaczonej dla rodzin ofiar. Do bazy Guantanamo poleciał wraz z żoną Cherie.

Jesteśmy sfrustrowani

Z trwających wtedy przez tydzień przesłuchań małżeństwo z Georgii pamięta głównie nudne prezentacje w PowerPoincie, przywoływany przez obrońców wątek tortur w tajnych więzieniach CIA oraz... wysuwane przez oskarżonych żądania.

– Prawnicy mówili, że jeden z nich zażyczył sobie lekcji języka włoskiego, inny chciał zapisać się na zajęcia plastyczne, a jeszcze inny sugerował, że trzeba zmienić lokalizację sali rozpraw, bo w obecnej podczas obfitych opadów deszczu nie słychać wyraźnie uczestników przesłuchania – wspomina Cherie. Mówi, że podczas pobytu w Guantanamo najbardziej dotknęła ją rozmowa z jednym z obrońców reprezentujących Chalida Szajcha Mohammeda. Zapytany przez nią, czy jego klient odczuwa skruchę, prawnik miał odpowiedzieć: „Gdyby został jutro wypuszczony, znów zrobiłby to samo".

Równie deprymująca dla rodzin mogła być wypowiedź cytowanego przez BBC innego obrońcy Mohammeda – prawnika Davida Nevina, który powiedział, że nie wyklucza, iż skomplikowane postępowanie w sprawie zamachów z 11 września może potrwać jeszcze nawet 20 lat.

Tymczasem same koszty prawne związane z toczącymi się przed komisjami wojskowymi postępowaniami wynoszą prawie 60 mln dolarów rocznie. Utrzymanie specjalnego więzienia na kubańskiej wyspie (i tamtejszego sądu wojskowego) kosztowało do tej pory amerykańskich podatników ponad 6 mld dolarów (w tym „New York Times" szacuje, że utrzymanie jednego więźnia kosztuje rocznie 13 mln dolarów). A to nie koniec. Wbrew przebąkiwaniom administracji Bidena o zamknięciu niechlubnego więzienia (ogromna większość podejrzanych o terroryzm przetrzymywana była bez postawienia zarzutów), niedawno zakontraktowano m.in. budowę nowej sali sądowej, co będzie kosztować 15 mln dolarów.

Tom i Cherie proszą mnie, aby spojrzeć na tę sprawę „od dołu". – Zaproszono nas do Guantánamo na tydzień – mówią. – Opłacono nam lot i pobyt w apartamencie o bardzo dobrym standardzie. Po powrocie do domu dostaliśmy jeszcze po czeku, wynoszącym 500 dolarów na głowę. W sumie to nawet nie wiemy, za co. Jesteśmy sfrustrowani. Nie wierzymy już, że kiedykolwiek ten cyrk wreszcie się skończy.

Niewiele brakowało?

Tymczasem we wtorek 7 września, po półtorarocznej przerwie i tuż przed 20. rocznicą zamachów – ponownie ruszyły przedprocesowe przesłuchania. „New York Times" podaje, że i tym razem nie obyło się bez komplikacji. Wtorkowa sesja nawet nie zdążyła się rozkręcić, gdy sędzia nakazał jej przerwanie ze względu na konieczność zapoznania się prawników z ustaleniami dotyczącymi wojskowej ławy przysięgłych. Jej powołanie będzie kluczowe dla rozpoczęcia procesu.

Na ten moment z niecierpliwością czeka już od dawna emerytowany agent FBI Frank Pellegrino, który po zamachu bombowym na WTC w 1993 r. prowadził śledztwo w sprawie Chalida Szajcha Mohammada. Cytowany przez BBC Pellegrino twierdzi, że w połowie lat 90. był bardzo bliski aresztowania Mohammada, który przebywał wówczas w Katarze. Ostatecznie jego operację miała udaremnić opieszałość amerykańskich dyplomatów, a poszukiwany uciekł do Afganistanu. Frank Pellegrino miał okazję przesłuchać go dopiero w 2007 r., gdy po paru latach spędzonych w tajnych więzieniach CIA trafił on wreszcie do bazy Guantanamo.

Emerytowany funkcjonariusz FBI zadręcza się dzisiaj myślami, że gdyby dopadł Mohammeda już wtedy, w latach 90., to być może historia potoczyłaby się inaczej. © MARTA ZDZIEBORSKA

Ostatni bój majora Dewana

PATRYCJA BUKALSKA

Brytyjscy Gurkhowie, weterani wojen i misji, upominają się o swoje prawa. Niedawno kilku z nich prowadziło nawet strajk głodowy.

Na głodówkę przed siedzibą premiera przy Downing Street zdecydowało się dwóch weteranów: 60-letni Dhan Gurung i 63-letni Gyanraj Rai, a także 59-letnia Pushpa Rana Ghale, wdowa po weteranie. Rai już kiedyś głodował – w 2013 r., przez dwa tygodnie.

Chwilami było dramatycznie. Po dwunastu dniach protestu Gurung trafił do szpitala z podejrzeniem zawału. Następnego dnia wrócił jednak na londyńską ulicę. Powiedział, że jest gotowy umrzeć, jeśli tylko w ten sposób uda się skłonić brytyjski rząd do rozwiązania problemów powstałych za sprawą narosłych przez ponad 200 lat niesprawiedliwości.

Głodówki, ta i poprzednia, były elementem ciągnącej się od lat walki o równe traktowanie gurkhijskich weteranów. Chodzi głównie o wysokość ich emerytur, znacznie niższych niż te, które otrzymują ich koledzy Brytyjczycy. Rai ujawnił, że dostaje 350 funtów miesięcznie (podczas gdy brytyjski ekswojskowy podobnej rangi – 1200 funtów). A kiedyś dostawał jeszcze mniej.

Teraz, po trzynastu dniach strajku, minister obrony zgodził się na rozmowy z przedstawicielami ambasady Nepalu oraz z organizacjami Gurkhów. Protest zakończono, pierwsze spotkanie odbyło się w pierwszej połowie września. Negocjacje powinny zakończyć się wiosną przyszłego roku.

Nie jest to pierwsza taka kampania Gurkhów. Ich sytuacją już nieraz zajmowali się politycy, parlament i sądy.

MARTIN POPE / SOPA / GETTY IMAGES

Strajk głodowy dwóch emerytowanych gurkhijskich żołnierzy oraz wdowy po weteranie przed siedzibą premiera na Downing Street. Londyn, 18 sierpnia 2021 r.

W służbie Korony

Zanim nepalscy Gurkhowie stali się żołnierzami brytyjskiej armii, najpierw w latach 1814-16 z Brytyjczykami walczyli. A ściślej, z Brytyjską Kompanią Wschodnioindyjską. Choć nie wygrali, to przeciwnicy zapamiętali ich jako wyjątkowo odważnych.

Po podpisaniu rozejmu zaczęto więc formować z Gurkhów najemne oddziały, które w epoce kolonialnej przelewały dla Korony Brytyjskiej krew w wielu konfliktach. Gurkhowie walczyli także na frontach I oraz II wojny światowej, w tym w bitwie pod Monte Cassino (o ich męstwie pisał z podziwem Melchior Wańkowicz, kronikarz tej bitwy). W sumie w obu światowych konfliktach służyło 200 tys. Gurkhów. Potem, po roku 1945, były kolejne wojny i misje, np. ta zakończona niedawno w Afganistanie.

Dziś w brytyjskiej armii służy jako zawodowi żołnierze 3,5 tys. Gurkhów. Co roku w Nepalu organizowany jest nabór nowych, w którym do morderczych testów stają tysiące młodych mężczyzn. Ich elementem jest słynny bieg *doko:* pięć kilometrów pod górę na czas, z koszem 25 kilogramów kamieni na plecach. Spośród zgłaszających się mundur ubiera tylko garstka najlepszych: w 2019 r. z dziesięciu tysięcy ochotników wybrano ok. 300 rekrutów.

Warunki umowy

Gdy w 1947 r. Indie uzyskały niepodległość, istniejące wówczas gurkhijskie regimenty podzielono między armie brytyjską a indyjską. Warunki służby regulowało porozumienie trójstronne między rządami Wielkiej Brytanii, Indii i Nepalu.

– Umowa ta mówi, że Gurkhowie powinni być rekrutowani w Nepalu i tam też mają przechodzić na emeryturę – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" dr Krishna Adhikari z Uniwersytetu w Oksfordzie i Centre for Nepal Studies UK. – To się jednak zmieniło w 1997 r., gdy Londyn przekazał Chinom Hongkong. Wcześniej to właśnie w Hongkongu stacjonowali Gurkhowie, a potem ich główna baza została przeniesiona do Wielkiej Brytanii. Zaczęli odbywać służbę na Wyspach i tam przechodzić na emeryturę.

– Gurkhowie wstępują do armii jako 18-latkowie, więc gdy przechodzą na emeryturę po 15 latach służby, są nadal młodymi ludźmi – dodaje dr Adhikari. – Pojawiły się żądania, aby po zakończeniu służby mogli się osiedlić i pracować w Brytanii. W 2004 r. tym, którzy tu służyli, pozwolono więc zostać na stałe.

Jednak ci, którzy przeszli na emeryturę przed 1997 r. i służyli poza Wielką Brytanią – a zatem, według brytyjskiego ustawodawcy, nie rozwinęli więzów z Wyspami – nie kwalifikowali się do programu osiedleńczego.

Był też inny problem: zgodnie z umową z 1947 r. pensja gurkhijskiego żołnierza była niższa niż jego brytyjskiego kolegi. Znacznie niższa była też emerytura, regulowana na podstawie stawki obowiązującej w armii indyjskiej. Miała wystarczyć na życie w Nepalu, a nie w Zjednoczonym Królestwie.

W 2007 r. pensje i emerytury zrównano z brytyjskim poziomem, jednak znów pominięto weteranów, którzy odeszli ze służby przed rokiem 1997 – bo oni mieli przecież mieszkać w Nepalu, gdzie koszty utrzymania były niższe. Następne lata były więc czasem batalii o ich prawa, a niedawny strajk głodowy – jej kolejną odsłoną.

Krzyż Wiktorii

Gdy strzelec Tul Bahadur Pun rozejrzał się wokół, stwierdził, że wszyscy jego koledzy są martwi lub ranni. Był czerwiec 1944 r., trwał atak na most kolejowy w Mogaung w Birmie. Ostrzał z japońskiego karabinu maszynowego zmasakrował jego oddział. ↦

↦ Puna do Japończyków dzieliło niecałe 30 metrów otwartej przestrzeni. Niby niewiele, ale nie wtedy, gdy trzeba biec pod kulami.

Gurkha złapał za ręczny karabin maszynowy Bren i zaczął samotną szarżę. Dobiegł, zabił kilku Japończyków (według różnych relacji od trzech do siedmiu), przejął ich karabin maszynowy i zapewnił osłonę innym atakującym oddziałom brytyjskim. Za swój wyczyn dostał Krzyż Wiktorii, najwyższe brytyjskie odznaczenie wojskowe.

Po wojnie wrócił do swej wioski w Nepalu, do domku bez wody i prądu. Miał brytyjską emeryturę wojskową. Rzecz jasna dużo niższą niż Brytyjczycy, u boku których walczył. Żyjąc w trudnych warunkach, mając coraz większe problemy zdrowotne, bez dostępu do lekarza i leków, w 2006 r. Pun poprosił o możliwość osiedlenia w Wielkiej Brytanii. Był tam wcześniej wiele razy, np. w 1953 r. – zaproszony na koronację Elżbiety II.

Tym razem jednak mu odmówiono, twierdząc, że nie ma „silnych związków ze Zjednoczonym Królestwem". Dopiero pod presją mediów oraz furią opinii publicznej Punowi przyznano wizę i w 2007 r. przybył do Anglii. Zmarł kilka lat później. Jego Krzyż Wiktorii trafił do Muzeum Gurkhów.

To tylko jedna z wielu historii zawstydzającego traktowania gurkhijskich weteranów.

Joanna i bohater

Wśród Brytyjczyków uratowanych dzięki brawurowej szarży Puna był major James Lumley. Wkrótce po wojnie na świat przyszła w Indiach jego córka Joanna, która później została znaną aktorką. Już jako gwiazda ekranu i teatru miała spotkać człowieka, który ocalił jej ojca. Wsparła wysiłki Puna i innych Gurkhów w ich walce o prawo do osiedlenia się w Wielkiej Brytanii. Joanna Lumley zawsze podkreślała, że jej ojca „zalałyby wstyd i wściekłość", gdyby dowiedział się, jak traktowani są jego gurkhijscy towarzysze broni.

ARCHIWUM PRYWATNE

Dla młodych Nepalczyków służba w brytyjskiej armii jest wciąż atrakcyjna – mówi dr Krishna Adhikari, naukowiec z Uniwersytetu w Oksfordzie i Centre for Nepal Studies UK.

– Nie wiedzieliśmy, że żołnierze z krajów brytyjskiej Wspólnoty Narodów mają prawo do osiedlenia się w Wielkiej Brytanii i do obywatelstwa. A Gurkhowie nie, dlatego chcąc tu zamieszkać, musieli szukać innej drogi. Niektórzy byli nawet deportowani. Powstało więc British Gurkha Welfare Society (BGWS), które zajęło się kwestiami imigracyjnymi. To było dla nas bardzo ważne – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem" major Tikendra Dal Dewan, weteran i dziś przewodniczący BGWS.

Ponieważ, jak wspomnieliśmy, w 2004 r. udało się wywalczyć prawo do osiedlenia tylko dla części weteranów (tych, którzy przeszli na emeryturę po 1997 r.), potrzebna była nowa kampania na rzecz pozostałych. Jej twarzą stała się właśnie Joanna Lumley. W 2009 r. wszystkim Gurkhom, którzy przed 1997 r. służyli co najmniej cztery lata, a także ich najbliższym rodzinom przyznano prawo zamieszkania w Zjednoczonym Królestwie. Na Wyspy przeniosło się wtedy kilkanaście tysięcy Gurkhów.

Jechali z ufnością, że czeka na nich lepsze życie.

W obcym kraju

– Po zmianie prawa w 2009 r. zaczęli przyjeżdżać Gurkhowie, którzy na emeryturę odeszli w latach 60. czy 70., starsi ludzie w wieku 70-80 lat. Trudno im było przystosować się do życia tutaj – dr Krishna Adhikari wskazuje na jeden z problemów. I wymienia kolejne, jak brak wsparcia ze strony władz w integracji przybyszów.

– Przyjeżdżający Gurkhowie opierali się głównie na znajomych z ich wiosek i krewnych, którzy już tu mieszkali. To oni pomagali im znaleźć lokum, uzyskać zasiłki – opowiada dr Adhikari. – Były jakieś kursy angielskiego przy organizacjach charytatywnych, ale uczenie starych ludzi bywa trudne. Tym bardziej że byli wśród nich również analfabeci, szczególnie kobiety w wieku 70-80 lat były często niepiśmienne. Nie było zorganizowanego wsparcia ani planu. Rozpoczęcie życia w nowym kraju nigdy nie jest łatwe, szczególnie gdy jest się starym człowiekiem, z problemami zdrowotnymi, z przyzwyczajeniami.

Był też inny ważny problem: pieniądze. Kampania Joanny Lumley dotyczyła prawa imigracyjnego, ale nie wyrównania emerytur. Tymczasem ci, którzy ze służby odeszli przed 1997 r. – i którym w końcu pozwolono osiedlić się na Wyspach – nadal mieli niskie uposażenie, skrojone na warunki w Nepalu, ale nie tutejsze. – Jak można w ogóle określać emeryturę na takiej zasadzie? Przecież powinna ona być wynikiem tylko i wyłącznie wykonanej pracy, a nie tego, skąd kto pochodzi! – oburza się major Dewan.

Co gorsza, niektórzy z przybyłych nie mieli żadnych emerytur. Dotyczyło to tych, których po zakończeniu jakiejś wojny czy konfliktu po kilku latach odesłano do domu i nie mieli szansy dosłużyć wymaganych 15 lat.

– Wcale im się więc tutaj nie polepszyło – mówi dr Adhikari. – Znaleźli się nagle w małym wynajętym pokoiku, dostawali jakiś zasiłek w wysokości 40 funtów. Przyjeżdżali, nie będąc przygotowani na to, co ich czeka. W efekcie ta szczególna grupa Gurkhów stała się najbardziej poszkodowaną i pozbawioną praw grupą w Zjednoczonym Królestwie.

Aby dotrzeć do każdego

Nie wszyscy gurkhijscy weterani zdecydowali się wtedy na wyjazd na Wyspy, wielu zostało w Nepalu. Tam stara się

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl., I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 118/21 toczy się postępowanie z wniosku Zdzisławy Sikory o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierze Ohluk, zm. 17 grudnia 2020 r. w Ząbkowicach Śląskich.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MATERIAŁY PRASOWE BRITISH GURKHA WELFARE SOCIETY

Major Tikendra Dal Dewan, przewodniczący British Gurkha Welfare Society, podczas londyńskich uroczystości Dnia Pamięci z udziałem Gurkhów-weteranów. 11 listopada 2020 r.

o nich zadbać brytyjska organizacja charytatywna Gurkha Welfare Trust (GWT). Sposobów jest wiele: od wsparcia finansowego, przez budowę domów odpornych na trzęsienie ziemi (postawiono ich już 1500), po zapewnienie miejsca w domu seniora czy opiekę lekarską w fundacyjnej przychodni.

– Pod koniec lat 60., gdy zakończyły się różne konflikty, zmniejszono liczbę Gurkhów w armii brytyjskiej. Okazało się wtedy, że jeśli nie przesłużyli 15 lat, to wielu z nich, ich rodzinom czy wdowom po nich mogło w Nepalu grozić skrajne ubóstwo – opowiada „Tygodnikowi" Adam Bentham z GWT. – Dbamy więc, by mogli żyć godnie. W ubiegłym roku wypłacaliśmy emeryturę dla 4,4 tys. weteranów, którzy nie dostają brytyjskiej emerytury wojskowej, lub wdów po nich. Służyli podczas II wojny światowej, w Birmie, na Malajach i Borneo.

Fundacyjna emerytura (ok. 80 funtów) jest dla wielu jedynym źródłem dochodu. Wypłaca się ją kwartalnie na konto weterana, a jeśli ktoś tak woli, może odebrać ją osobiście w jednym z ośrodków organizacji. Tym, dla których jest to niemożliwe, pieniądze dostarczają przedstawiciele GWT.

– Podróżują po całym Nepalu autami z napędem na cztery koła, na motorach, a jeśli trzeba, to na piechotę, by dotrzeć do każdego Gurkhi, nawet w najdalszym zakątku – mówi Bentham. – Otaczamy też opieką medyczną 15 tys. gurkhijskich weteranów i ich rodziny.

Nowe pokolenie

W Wielkiej Brytanii żyje dziś ponad 100 tys. Nepalczyków, a ich społeczność dynamicznie rośnie (w 2008 r. było ich 70 tys.). Większość to byli gurkhijscy żołnierze i ich rodziny. Jednak nowe pokolenie ma często inne ambicje niż wojsko. Dr Adhikari mówi, że młodzi studiują, zostają lekarzami, są śmiali, dobrze sobie radzą w różnych zawodach.

Tymczasem w Nepalu armia nadal jest atrakcyjną opcją dla młodych mężczyzn. – Służba w wojsku jest kulturowo mocno zakorzeniona wśród Gurkhów, niektórzy idą do brytyjskiej armii pokolenie po pokoleniu – mówi dr Adhikari. Wnuk Tula Bahadura Puna też został żołnierzem i również wyróżnił się odwagą, podczas misji w Afganistanie w 2010 r.

– Służba w brytyjskim wojsku to dla młodych Nepalczyków szansa na lepsze życie, z perspektywą zamieszkania w Wielkiej Brytanii. Z drugiej strony rekrutacja rujnuje życie wielu z nich – uważa dr Adhikari. – Przygotowują się do niej miesiącami, w czasie, gdy powinni się uczyć, studiować. Niektórzy pochodzą z ubogich rodzin, a wydają na te przygotowania mnóstwo pieniędzy. To tysiące chętnych, z których wybieranych jest kilkuset. Co z pozostałymi? Z ich aspiracjami?

Sprawy z przeszłości

Młode pokolenie gurkhijskich żołnierzy ma dziś te same prawa co ich brytyjscy koledzy. Niesprawiedliwość przynależy do przeszłości, choć to nadal rany niezagojone.

Dhan Gurung przeszedł na emeryturę w 1994 r. Mówił mediom, że jego emerytura wyniosła wtedy 20 funtów miesięcznie. W armii spędził 15 lat i w tym czasie otrzymywał niższą pensję niż Brytyjczycy. Pamięta kolegów, którzy zginęli walcząc dla Korony. I tych, którzy „zostali ranni, a po zakończeniu wojny powiedziano im: »Nie nadajesz się już do wojska«. I odesłano do domu bez niczego, z pustymi rękami, bez emerytury".

„Pęka mi serce, gdy o tym myślę" – mówił weteran.

Tikendra Dal Dewan służył w brytyjskiej armii ponad 30 lat. – Poszedłem do wojska jako 18-latek, bez wahania. Mój brat też był w wojsku. W Nepalu często widywało się żołnierzy wracających do domu, opowiadających historie o przygodach i dalekich krajach. Armia wydawała się naturalnym wyborem, nie zastanawiałem się – mówi „Tygodnikowi".

Dewan dosłużył się stopnia majora – najwyższego, jaki mogą uzyskać Gurkhowie. Przeszedł na emeryturę w 2002 r. i stwierdził, że również jego dotknęła finansowa dyskryminacja. – Lata służby po 1997 r. liczono mi według stawek brytyjskich, ale wcześniejsze już nie. W przybliżeniu rok służby przed rokiem 1997 był wart jedną trzecią tego, co późniejsze – opowiada.

– Są też inne koszty służby, które ponoszą Gurkhowie – dodaje major i przypomina dawny przepis, że w ciągu 15-letniej służby Gurkhi jego rodzina mogła mieszkać w miejscu jego stacjonowania tylko 2-3 lata. – Moją córkę zobaczyłem, gdy miała już sześć lat... – wyznaje.

Oczekiwanie przeprosin

Głodujący niedawno weterani wystąpili w imieniu wszystkich tych, którzy nadal otrzymują groszowe emerytury. Chodzi nie tylko o pieniądze. – Gurkhowie chcą prawdy, chcą, aby tę prawdę o ich sytuacji poznano – mówi dr Adhikari. – Na wymówki rządu i kolonialne narzędzia, jak umowa z 1947 r., nie ma już miejsca. Tak, jest kontrakt, na który ci żołnierze się godzili, i który jest używany jako argument. Ale jest też coś takiego jak prawa człowieka. Traktując kogoś w nieludzki sposób, nie można powoływać się na kontrakt. Gurkhowie zasługują, żeby ich za tę niesprawiedliwość przeproszono.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

HISTORIA

„WILK” W KLATCE

70 lat temu w mokotowskim więzieniu umiera legendarny dowódca AK na Wileńszczyźnie. Jego historia pokazuje, w jakim potrzasku po 1945 r. znaleźli się ludzie podziemia.

KRZYSZTOF TARKA

Gdy wrócił do pojałtańskiej Polski, nie chciał już walczyć. Może miał zwyczajnie dość – po pięciu latach w konspiracji podczas II wojny światowej (gdy ukrywał się przed NKWD i Gestapo), a potem po kolejnych trzech, które spędził w sowieckich więzieniach i łagrach. Byłoby zrozumiałe, gdyby miał dosyć.

Niezależnie od tego, czy tak było, wiemy, że w powojenną działalność podziemną nie chciał się angażować także z przekonania: uważał, że konspiracja może przynieść tylko kolejne ofiary. Niewiele to jednak dało. W kraju, który powstawał po roku 1945, dla takich jak on – pułkownik Aleksander Krzyżanowski, pseudonim „Wilk” – nie było miejsca. A w każdym razie nie na wolności.

Życie żołnierza

Kiedyś, na początku, chciał zostać inżynierem. Mając 21 lat, zapisał się do Instytutu Technologicznego w Piotrogrodzie (dziś Petersburg), dokąd rodzina – polscy poddani cara – przeniosła się z Homla akurat w roku, w którym wybuchła I wojna światowa. Nie postudiował długo. Jeszcze w tym samym 1916 r. został powołany do armii i skierowany do artylerii.

Gdy po rewolucji lutowej 1917 r. w armii rosyjskiej powstają jednostki narodowe, trafia do I Korpusu Polskiego, a w 1918 r. do powstającego Wojska Polskiego. Potem jest wojna z bolszewikami (1919-20; dostaje Krzyż Walecznych), którą kończy w stopniu porucznika.

Nastaje pokój, a on zostaje w armii i przez dwie dekady II RP służy jako zawodowy oficer artylerii w licznych garnizonach, od Bydgoszczy po Tarnopol. W 1927 r. żeni się z Janiną, dwa lata później rodzi się Olga. Małżeństwo nie jest udane, jeszcze przed 1939 r. faktycznie przestaje istnieć.

Kiedy wybucha II wojna światowa, ma 44 lata. Przechodzi kampanię wrześniową, unika niewoli i od jesieni 1939 r. działa w konspiracji: w Służbie Zwycięstwu Polski, a potem Związku Walki Zbrojnej, w 1942 r. przekształconym w Armię Krajową. Jeszcze w listopadzie 1939 r. zostaje wysłany do Wilna, które od niedawna znajduje się w rękach Litwinów. Zostaje kwatermistrzem (dziś powiedzielibyśmy: szefem logistyki), a niebawem zastępcą dowódcy Okręgu Wileńskiego ZWZ. Latem 1940 r. Sowieci anektują Litwę wraz z Wilnem. Gdy w połowie 1941 r. Wileńszczyzna znalazła się pod okupacją niemiecką, jest już komendantem okręgu. W lipcu 1944 r. dowodzi oddziałami AK w operacji „Ostra Brama” (wyzwolenie Wilna). Podstępnie aresztowany przez NKWD, ponad trzy lata spędza w sowieckich więzieniach i obozach.

Zwolniony, w listopadzie 1947 r. jedzie do pojałtańskiej Polski. Na wolności będzie przebywać osiem miesięcy.

Moje gniazdo w Pakości

Po przyjeździe do kraju ujawnia się w urzędzie repatriacyjnym w Białej Podlaskiej, a potem zgłasza się do Ministerstwa Obrony: informuje o swej działalności w okresie wojny i pobycie w łagrach (w Związku Sowieckim był więziony pod nazwiskiem „Jan Kulczycki”; NKWD nie ustaliło jego prawdziwych personaliów). Deklaruje lojalność wobec nowych władz. Jak już powiedzieliśmy, nie chce angażować się na nowo w konspirację.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego jednak o nim nie zapomina. Na początku czerwca 1948 r. uruchamia jego agenturalne rozpracowanie. Równocześnie w MBP powstaje plan rozprawienia się z całym środowiskiem byłych wileńskich akowców.

Tymczasem on, po latach życia w ukryciu, chce poświęcić się rodzinie i pracy. W Gdańsku mieszka żona z córką (po 1989 r. Olga Krzyżanowska będzie posłanką i wicemarszałek Sejmu). Aleksander ma nadzieję, że uda się odbudować związek z Janiną.

ZBIORY RODZINNE OLGI KRZYŻANOWSKIEJ / ARCHIWUM KRZYSZTOFA TARKI x3

Krótka chwila na wolności: Aleksander Krzyżanowski z córką Olgą w 1948 r.

Obok: ppłk Aleksander Krzyżanowski odwiedza żołnierzy z 3. wileńskiej brygady AK, jednego z większych oddziałów akowskich na Wileńszczyźnie (stoi pierwszy z prawej przed szeregiem partyzantów).

Wiosną 1948 r. zostaje kierownikiem Centralnej Składnicy Rozliczeniowej Akcji Siewnej Dyrekcji Roszarń Lnu i Konopi w placówce w Pakości na Kujawach (w otrzymaniu tej pracy pomaga fakt, że dyrektorem Zjednoczenia Roszarń Lnu i Konopi jest Czesław Dębicki, jego były podkomendny z AK).

Namawiając córkę do odwiedzin, pisze: „Moje gniazdo w Pakości jest bardzo efektowne: mieszkam w pałacyku, który tonie w powodzi róż, zaś druga fala powodzi to ogórki, truskawki, czereśnie, a trzecia jabłka, gruszki, śliwki. Miasteczko parutysięczne b. małe. Do swojej dyspozycji mam dwa pokoje z dywanami, łazienkami, itp. instytucjami".

Jego ukochana Oleńka jest na pierwszym roku medycyny w Gdańsku. Zdaje ostatnie egzaminy i 5 lipca jedzie do Pakości. Nie zastaje ojca, który wyjechał służbowo. Słyszy, że niebawem wróci. Nie zobaczy go już nigdy.

Dwa dni wcześniej, 3 lipca 1948 r., w Poznaniu, po naradzie dyrektorów zakładów roszarniczych, Krzyżanowski odwiedza Kazimierza Pietraszkiewicza. To były żołnierz wileńskiej AK, a teraz dyrektor Lniarsko-Konopnej Centralnej Stacji Doświadczalnej. Pietraszkiewicz jest zaangażowany w powojenną konspirację.

Podczas ich spotkania do mieszkania wkracza UB. Krzyżanowski i Pietraszkiewicz zostają aresztowani.

Bez wyjścia

Historycy, którzy badają dzieje powojennej konspiracji, wskazują na różne motywy, jakimi kierowali się ludzie, którzy po 1944-45 r. kontynuowali walkę.

Jedni decydowali się na to, bo uważali, że bój o niepodległość ma wciąż sens. Inni z przekonania, że rządy komunistów to okres przejściowy, że wolne wybory (gwarantowane wszak przez Churchilla i Roosevelta) wygra PSL, a wtedy oni wyjdą z lasu i utworzą polskie wojsko. Jeszcze inni czynili tak z lojalności wobec kolegów: w sytuacji ekstremalnej między ludźmi powstają silne więzi, a taką była wszak konspiracja (czasem te motywy nakładały się).

Często było też tak, że decyzja o pozostaniu w konspiracji wynikała z braku lepszego wyboru. Ludzie, którzy już latem i jesienią 1945 r. (tzw. amnestia) ujawniali przed nową władzą swoją działalność pod okupacją niemiecką, trafiali na celownik UB. Bywało, że za samo to trafiali do więzienia („Był w AK, do winy się nie przyznaje"; „Podczas okupacji niemieckiej należał do nielegalnej organizacji" – to cytaty z protokołów przesłuchań). W tej sytuacji pójście na nowo „do lasu" stawało się jedyną dostępną (obok np. próby ucieczki na Zachód, co też wiązało się z ryzykiem) strategią przetrwania.

Jeśli tak traktowani są szeregowi członkowie wojennego podziemia, zwłaszcza AK i NSZ, to cóż dopiero – ich dowódcy. O ile więc aresztowanie „Wilka" jest zapewne przypadkowe, o tyle nowe władze ujęcie go traktują jako okazję, by zdyskredytować wileńską AK.

Podczas przesłuchań Krzyżanowski przedstawia swój życiorys; nie zataja funkcji, które pełnił, przedstawia obsadę sztabu wileńskiej AK (choć podaje tylko pseudonimy; w ogóle w zeznaniach unika nazwisk, ogranicza się do pseudonimów.). Wspomina o starciach AK z Niemcami. Mówi o dobrych na początku relacjach z partyzantką sowiecką. Ale potem „w sierpniu 1943 r. stosunki zepsuły się, ponieważ partyzantka sowiecka rozpoczęła rozbrajanie naszych oddziałów".

20 lipca 1948 r. zostaje przewieziony do Warszawy, do więzienia mokotowskiego. Jego sprawa ma być rozstrzygana na szczeblu centralnym.

Oskarżenie

Przesłuchujący go funkcjonariusze UB pytają o działalność podczas wojny i późniejsze kontakty z byłymi podwładnymi. ↦

↦ Wyjaśnia, że spotkał się z kilkoma, ale towarzysko.

Z protokołów przesłuchań widać, że UB usiłuje sformułować wobec „Wilka" oskarżenie o współpracę z Niemcami. Gdy pada pytanie o pierwsze rozmowy z władzami niemieckimi, „Wilk" opowiada o spotkaniu z porucznikiem Wehrmachtu w styczniu 1944 r. w okolicy Mikuliszek. „Wilk" przebywał wtedy na inspekcji w 5. Brygadzie AK „Łupaszki" (por. Zygmunta Szendzielarza). W zeznaniu podkreśla teraz, że odrzucił niemiecką ofertę współpracy, a wyjaśniając okoliczności tej oferty, tłumaczy, że pojawiła się po tym, jak w Puszczy Nalibockiej partyzantka sowiecka rozbiła jeden z nowogródzkich oddziałów AK. Jego dowódca por. Adolf Pilch „Góra", ratując resztki oddziału, przyjął wtedy chwilowo niemiecką pomoc. „Jak wywnioskowałem – stwierdza teraz „Wilk" – fakt ten dawał Niemcom atut stosowania analogicznych posunięć [na Wileńszczyźnie]".

11 kwietnia 1949 r. UB sporządza akt oskarżenia. „Wilkowi" zarzuca się, że jako komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ-AK, „idąc na rękę władzy okupacyjnej niemieckiej", zorganizował placówkę, która miała rozpracowywać i mordować komunistów, informować Niemców o partyzantce sowieckiej i rozmawiać z Wehrmachtem w celu dozbrojenia wileńskiej AK oraz wspólnej walki z Sowietami. Ponadto zarzuca mu się, że po zwolnieniu z łagru i przyjeździe do kraju miał objąć kierownictwo szpiegowskiej organizacji, utworzonej z byłych członków wileńskiej AK.

Akt oskarżenia zatwierdza Adam Humer, wicedyrektor Departamentu Śledczego MBP. Cel całej operacji jest jasny: podczas pokazowego procesu AK ma być przedstawiona jako organizacja kolaborująca z Niemcami.

Krzyżanowski nie przyznaje się do zarzutów, które są bezpodstawne. Nie poczuwając się do żadnej winy, kategorycznie odmawia złożenia podpisu pod aktem oskarżenia. W tych warunkach to jedyna możliwa forma protestu.

Testament

Bezskuteczne pozostają zabiegi rodziny o umożliwienie widzenia. Władze więzienne zezwalają jedynie na przesyłanie listów i paczek żywnościowych. Od Aleksandra sporadycznie docierają więc oficjalnie wysyłane kartki pocztowe i listy – oraz przekazywane nielegalnie grypsy. Informuje lakonicznie o swej sytuacji („raz gorzej, raz lepiej – ot, zwykły los gruźlika", list z 20 maja 1951 r.). Ogromną radość sprawiają mu listy od matki i siostry. Z utęsknieniem oczekuje wieści od córki („Piszcie częściej, bo listy od Was to jedyna moja radość", kartka z 2 lipca 1950 r.).

Aleksander Krzyżanowski po przyjeździe do Polski z sowieckiego obozu, rok 1947.

Do mieszkającej w Gdańsku żony i córki, za pośrednictwem nieznanych im osób, dociera kilka grypsów. W pierwszym, z 1949 r., Aleksander pisze: „Byłem li tylko żołnierzem, który walczył pod orłem z koroną i to jest uważane za zbrodnię". Z żalem pisze do córki, że plany wspólnego zamieszkania spaliły na panewce: „Widać jednak nie mam szczęścia do »gniazda rodzinnego«, mój los to los odyńca i to w klatce".

Gryps z końca listopada 1949 r. to rodzaj testamentu. Pisze do córki: „Może byłem niezłym ojcem. Może popełniłem jednak błąd życiowy i nadmiernie poświęciłem się sprawie ogólnej. Trudno mi sądzić samemu, więc sądź Ty. Ogólnie jednak mój bilans życiowy jest jakby ujemny, jestem niezaprzeczalnie bankrutem w dziedzinie ogólnej, jak również w życiu prywatnym. Może winna temu moja donkiszoteria, może zbytnie ryzykanctwo, po prostu jakby pewna niezdolność do przystosowania do współczesnego życia".

Ma poczucie klęski: „Jeszcze w roku ubiegłym myślałem, że jako jedyny spadek zostawię Ci dobre imię. Ale i to jakby bierze w łeb, ponieważ (...) okazuje się, że mój cały i szczery żołnierski wysiłek był li tylko zbrodnią. Po powrocie do kraju tak chciałem odpocząć (...), odchodząc jak najdalej od polityki. Ale nie uratowało to mnie od mego dzisiejszego losu. Nie chcę nikogo obwiniać, ale sam również nie poczuwam się do żadnej winy. Mówię Ci o tym, ponieważ wiem, że mnie i moje imię, jako reprezentujące »coś«, postarają się zohydzić i zarzucić błotem, tym bardziej, że bronić się nie mogę".

Potrafi zdobyć się na dowcipny ton. List kończy pozdrowieniem: „Twój zawsze wierny Tobie Tatek-Krawatek i dozgonny przyjaciel".

Janina

Wiosną 1949 r. bezpieka przymusza do współpracy żonę „Wilka". Nadają jej pseudonim „Joanna". UB ma nadzieję, że jako osoba ciesząca się poważaniem w środowisku wileńskim będzie cennym agentem.

Funkcjonariusze werbują Janinę, grożąc jej i jej siostrze długoletnim więzieniem. Mimo podpisania zobowiązania do współpracy, nie spełnia oczekiwań UB. Widać, że stara się przekazywać oględne informacje, stosuje uniki. Np. pytana o mjra Czesława Dębickiego „Jaremę", jednego z ważniejszych oficerów wileńskiej AK, stwierdza, że zna profesora chirurgii z Gdańska o tym nazwisku. Jej wnuczka zapamięta, że zwykle radosna „babcia Jasia", nawet po latach, gdy wspominała o przesłuchaniach na UB, przestawała się śmiać.

Gdy Aleksander przebywał w więzieniu mokotowskim, Janina przeprowadza rozwód, a w lipcu 1950 r. wychodzi powtórnie za mąż. Niektórzy byli podkomendni „Wilka" mają jej to za złe i nawet przestają podawać jej rękę na powitanie. Dla niej związek z Aleksandrem skończył się już dawno, jeszcze przed wojną, choć formalnie nadal byli małżeństwem.

Łączka

Zapowiadana na 27 maja 1949 r. rozprawa nie odbywa się. W załączonej do akt opinii czytamy: „Obecny stan więźnia nie pozwala na jego stawiennictwo na sprawę sądową. Wyżej wymieniony przebywa na oddziale gruźliczym Centralnego Szpitala Więziennictwa od dnia 9 października 1948 r. Stan chorego bardzo ciężki, rokowania złe".

MBP jeszcze kilkakrotnie podejmuje próbę rozpoczęcia procesu. Lekarze więzienni nie widzą takiej możliwości. 22 września 1951 r. naczelnik więzienia przesyła orzeczenie komisji lekarskiej, która uznaje, iż oskarżony „w obecnym stanie zdrowia może być na rozprawie sądowej tylko w pozycji leżącej".

Tydzień później, 29 września, Krzyżanowski umiera w szpitalu więziennym.

Jako przyczyna śmierci, obok wycieńczenia organizmu, podana jest gruźlica.

Zwłoki zostają w tajemnicy zakopane (trudno mówić o pochówku) przez więzienne władze na terenie między Powązkami komunalnymi a wojskowymi, na tzw. Łączce. To miejsce grzebania więźniów zmarłych i straconych na Mokotowie. Rodzina nic o tym nie wie. Mało tego – przez jakiś czas władze więzienne nadal przyjmują paczki żywnościowe.

Ekshumacja

Po 1956 r. rodzina i byli podkomendni zastanawiają się nad możliwością rehabilitacji. Jednak Krzyżanowski nie był sądzony, nie ma więc podstaw do występowania z rewizją. Poza tym uznają, że nie ma go przed kim rehabilitować.

Wciąż nieznane jest miejsce pochówku. W tej sprawie córka zwraca się do prokuratury wojskowej w Warszawie. Po wyjściu z więzienia starania podejmuje też były podkomendny „Wilka" Kazimierz Augustowski, teraz działacz stowarzyszenia Pax. Ostatecznie miejsce zakopania ciała wskazuje grabarz z Powązek.

Po uzyskaniu zezwolenia, 26 kwietnia 1957 r. następuje ekshumacja. Miejsce nie jest oznaczone, ale zostało wskazane trafnie. Szczątki leżą w trumnie bez wieka. „Wilka" rozpoznaje po uzębieniu była żona (z zawodu stomatolog), Augustowski zaś poznaje sprzączkę od kanadyjskich butów, które kupił „Wilkowi" po jego przyjeździe z łagru, i strzępy wełnianej koszuli amerykańskiej, którą mu podarował. Ekshumację popiera Bolesław Piasecki, przewodniczący stowarzyszenia Pax, współpracującego z władzami komunistycznymi (w 1944 r. „Wilk" był dowódcą Piaseckiego na Wileńszczyźnie).

27 kwietnia 1957 r. szczątki „Wilka" zostają przeniesione na powązkowski Cmentarz Wojskowy. Nekrologi zawiadamiające o pogrzebie ukazują się w paksowskim tygodniku „Kierunki" i dzienniku „Słowo Powszechne" oraz w „Głosie Wielkopolski". Natomiast ręcznie pisane klepsydry (w liczbie pięciu sztuk, jak odnotuje UB) zostają nalepione na warszawskich kościołach.

Pogrzeb gromadzi wielu byłych żołnierzy „Wilka" i staje się manifestacją patriotyczną. Według szacunków bezpieki na cmentarzu jest 700-800 osób, a w notatce po pogrzebie podkreśla się, iż „na uwagę zasługuje fakt, że wszyscy się znali, ewentualnie wzajemnie zapoznawali się przez wspólnych znajomych". Do nieznajomych odnoszono się podejrzliwie, co utrudniało działanie funkcjonariuszy, którzy wmieszali się w tłum i robili zdjęcia.

Akapit

Przy grobie „Wilka" przemawia m.in. ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław", legendarny dowódca AK z powstania warszawskiego. Mówi: „Trzy lata śledztwa, w znanych już dziś powszechnie warunkach i grób pod płotem cmentarza dla bezdomnych, z dala od towarzyszy broni – to końcowa faza Jego żołnierskiego szlaku bojowego – bo i w więzieniu będąc – walczył o zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości". Na grobie staje żelazny krzyż i tablica z informacją „zginął śmiercią tragiczną w więzieniu Mokotowskim".

W 1975 r. rodzina zamienia krzyż na grobowiec z piaskowca. Z nagrobnej tablicy musi już jednak usunąć niewygodny dla władz PRL akapit.

© KRZYSZTOF TARKA

REKLAMA

Książka profesora Tomasza Budnikowskiego stanowi jakże potrzebną dzisiaj popularyzację wiedzy o zachodnich sąsiadach. Autor przybliża fakty i procesy, jednak nie poucza. Szuka wyjaśnień, pragnie zrozumieć, a nie oskarżać, wskazuje na przyczyny problemów niemieckich, nie zaś na winowajców. Jest przekonany, iż w zglobalizowanym świecie, w dobie wielorakich i kompleksowych kryzysów, więcej jest pytań niż możliwości udzielenia na nie odpowiedzi.

Prof. Anna Wolff-Powęska

zamów książkę na **wydajenamsie.pl**

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

WSZECHŚWIAT TO ZA MAŁO

KS. PROF. MICHAŁ HELLER, KOSMOLOG:

Matematyka leżąca u podłoża teorii wieloświata może oczarować. Ale niektórych te koncepcje doprowadzają do wściekłości.

JACEK TARAN

ŁUKASZ KWIATEK, TOMASZ MILLER: Jak do tego doszło, że nauka zaczęła mówić o „wieloświecie" – czyli istnieniu innych niż nasz wszechświatów?

MICHAŁ HELLER: Musimy cofnąć się do lat 70. ubiegłego wieku. Wtedy w kosmologii bardzo żywotnym problemem było zagadnienie osobliwości początkowej – czy ona istniała, czy nie. Przeważała opinia, że osobliwość jest tylko artefaktem matematycznym i nie odpowiada jej żadne fizyczne zjawisko.

Wyjaśnijmy od razu, na czym osobliwość początkowa polega.

Jej popularna nazwa to Wielki Wybuch. Polega na tym, że wszechświat rozpoczął się od gigantycznych gęstości i energii teoretycznie z jednego punktu, a potem się rozszerzał – co może trochę przypominać wybuch. Matematycznym odpowiednikiem tego jest osobliwość, czyli taki stan, w którym pewne wielkości fizyczne dążą do nieskończoności. Oprócz Wielkiego Wybuchu w kosmologii pojawiają się także inne osobliwości – we wnętrzach czarnych dziur. Gdy gwiazda się zapada pod wpływem własnej grawitacji, dając czarną dziurę, to pewne wielkości, takie jak gęstość czy krzywizna czasoprzestrzeni, też dążą do nieskończoności.

W latach 70. trwał więc wielki spór o to, czy początkowa osobliwość jest koniecznym elementem naszego obrazu wszechświata – i wyglądało na to, że bardzo trudno się jej pozbyć. Wtedy Roger Penrose, zresztą ubiegłoroczny noblista, opracował matematyczną metodę dowodzenia, czy w konkretnych warunkach pojawi się osobliwość, czy nie. Potem dołączył do niego Stephen Hawking. Metodę Penrose'a, która stosowała się do czarnych dziur, Hawking rozszerzył na całą kosmologię. Dzisiaj mówi się więc o twierdzeniach Hawkinga-Penrose'a. Głoszą one, że osobliwości nie da się uniknąć, jeśli przyjmie się pewne bardzo realistyczne warunki, które model kosmologiczny musi spełniać.

Czyli Hawking i Penrose matematycznie udowodnili, że wszechświat musiał zacząć się Wielkim Wybuchem.

Tak, to są twierdzenia matematyczne. Jeśli więc chce się usunąć Wielki Wybuch, to trzeba wykazać, że nasz wszechświat nie spełnia jednego z tych warunków. Niedługo potem, w 1973 r. ukazała się książka Hawkinga i George'a Ellisa „The Large Scale Structure of Space-Time" („Wielkoskalowa struktura czasoprzestrzeni"). Autorzy napisali w niej, że według Immanuela Kanta początek świata jest antynomią – tzn. można udowodnić zarówno to, że był, jak i to, że go nie było – tymczasem twierdzenia o osobliwościach wyraźnie wskazują, że początek świata musiał występować.

Gdy to przeczytałem, wkrótce po ukazaniu się tej książki, to pomyślałem sobie, że świat nauki tak tego nie zostawi. Pojęcie początku jest z punktu widzenia naukowego czymś niepożądanym, bo stawia granice wstecz naszym dociekaniom. I na pewno pojawią się pomysły, jak ten początek zneutralizować. Przyszła mi na myśl nowelka G.K. Chestertona o księdzu Brownie, w której jeden z bohaterów chciał popełnić morderstwo i zastanawiał się, jak najlepiej ukryć zwłoki. A że akcja toczyła się w czasie wojny, to doszedł do wniosku, że najlepiej będzie podrzucić trupa na pole bitwy. W podobny sposób można pozbyć się problemu osobliwości – po prostu naprodukować ich dużo. To zneutralizuje filozoficzną wymowę początku.

Nie czekałem długo – jeszcze w latach 70. pojawiła się tzw. zasada antropiczna i część kosmologów poszła podobnym tropem.

Znowu musimy wyjaśnić.

Nasz wszechświat ma ciekawą cechę – my w nim jesteśmy. Początek musiał zatem mieć takie warunki, które dopuszczałyby naszą egzystencję. Musi być możliwość wyprodukowania węgla i innych pierwiastków, z których jesteśmy zbudowani, muszą istnieć jakieś planety, które mieszczą się w określonych warunkach termicznych itd. Nie każde warunki początkowe wszechświata, oraz nie każdy zestaw wartości fundamentalnych stałych fizycznych, prowadzą do powstania wszechświata sprzyjającego życiu. Inaczej mówiąc, nasze istnienie nakłada bardzo ścisłe ograniczenia na warunki początkowe wszechświata i na wartości stałych fizycznych. Gdybyśmy wyobrazili sobie stwórcę, który losowo wybiera warunki początkowe – oczywiście stwórca jest tutaj czysto pomocniczym wyobrażeniem – np. w ten sposób, że ma mapę wszystkich możliwych warunków początkowych i w przypadkowe miejsce wbija szpilkę, to trafienie w warunki początkowe takiego wszechświata, w którym może pojawić się obserwator, są miary zero – skrajnie nieprawdopodobne. Jakiekolwiek małe zaburzenia tych warunków przekreślają szanse na rozwój życia. Mówi się często w tym kontekście o „precyzyjnym dostrojeniu" (*fine-tuning*) wszechświata.

Ale to może brzmieć trywialnie: bo przecież skoro jesteśmy, to oczywiste, że wszechświat musi spełniać takie warunki, które dopuszczają nasze istnienie. Gdyby ich nie spełniał, toby nas nie było.

Gdy Brandon Carter sformułował zasadę antropiczną – tak nazywał to rozumowanie – to zrobiło się o niej głośno, ponieważ przywraca ona człowiekowi miejsce we wszechświecie. A przynajmniej od czasów Kopernika człowiek był z wszechświata przeganiany. Najpierw został zepchnięty na peryferia, bo okazało się, że Ziemia nie jest w centrum wszechświata, a potem w ogóle stracił jakiekolwiek znaczenie dla ewolucji kosmosu. Dzięki zasadzie antropicznej uświadomiono sobie, że kosmologia musi brać człowieka pod uwagę – poruszenie filozoficzne było więc spore.

Jednocześnie wtedy pojawiła się idea wieloświata. Bo skoro przyjazny dla życia wszechświat jest tak mało prawdopodobny, to zamiast wyjaśniać, dlaczego istnieje akurat ten wszechświat, możemy sobie wyobrazić, że istnieją także inne, w których życie jest niemożliwe. Początkowo Carter traktował ten pomysł tylko jako pomocniczy obraz, ułatwiający myślenie o tym problemie, ale wkrótce zaczęto przypisywać różnym możliwym światom jakiś sposób istnienia.

Zatrzymajmy się na chwilę: gdy mówimy o tym, że istnieje pewien zbiór możliwych wszechświatów, ↦

KS. MICHAŁ HELLER jest kosmologiem i filozofem, autorem kilkudziesięciu książek i setek artykułów naukowych oraz popularnonaukowych. Laureat Nagrody Templetona. We wrześniu nakładem Copernicus Center Press ukazała się jego książka „Nieskończenie wiele wszechświatów".

↦ **i to z tego zbioru wyłoniła się idea wieloświata, to o jakim zbiorze mówimy? Przez co ten zbiór jest opisywany? Czy chodzi o zbiór możliwych rozwiązań równań ogólnej teorii względności Einsteina – z których każde daje matematyczny model wszechświata?**

Możemy tak powiedzieć z punktu widzenia współczesnej kosmologii, dla której równania teorii względności stanowią bazę – mówi nam ona o tym, jak rozumieć czas i przestrzeń oraz jak one się zachowują pod wpływem materii czy energii. W tym kontekście mówię niekiedy o „wieloświecie Einsteina". Nie chodzi mi o to, że Einstein wierzył w istnienie wielu wszechświatów, ale o to, że z jego równań mogą wynikać różne modele wszechświata. Modele te łącznie tworzą tzw. przestrzeń rozwiązań równań Einsteina. Jej strukturę da się badać matematycznie, wyciągając z niej różne wnioski na temat naszego wszechświata.

Jednak o idei wielu światów możemy myśleć również nieco inaczej – jako o pewnym ogólnym zbiorze możliwości. W takim znaczeniu idea możliwych wszechświatów pojawiła się na długo przed narodzinami współczesnej kosmologii opartej na teorii względności Einsteina. Za jej prekursora można uznać Leibniza. Znana jest jego teza, że nasz świat, choć zawiera zło, i tak jest najlepszy z możliwych. Leibniz rozważa więc nieskończenie wiele możliwych wszechświatów, spośród których Bóg powołał do istnienia tylko nasz, ponieważ nasz ma najbardziej korzystny stosunek zła do dobra. Nie twierdził jednak przy tym, że one wszystkie istnieją faktycznie – co najwyżej w umyśle Boga.

Wróćmy do kosmologii. Mamy lata 70. Pojawia się zasada antropiczna. Co dzieje się dalej z wieloświatem?

Bardzo szybko, w ciągu kilkunastu lat, idea wieloświata uniezależniła się od zasady antropicznej. W różnych teoriach fizycznych zaczęto mówić o tym, że nasz wszechświat może – albo wręcz musi – produkować inne wszechświaty. Te rozważania nie miały związku z zasadą antropiczną, choć ona stworzyła dla nich klimat. Miały związek głównie z ideą kosmicznej inflacji.

O inflacji w kosmologii mówimy, jeśli wszechświat nagle zacznie rozszerzać się znacznie szybciej niż do tej pory – o wiele rzędów wielkości szybciej. Jest wiele scenariuszy inflacyjnych – wśród nich takie, w których inflacja niejako pączkuje, produkuje zalążki następnych ekspandujących obszarów, które same ulegają inflacji i stają się innym wszechświatem, do którego tracimy dostęp.

Inflacja rozwiązywała kilka problemów standardowej kosmologii, ale jej skutkiem ubocznym było pojawienie się możliwości rozpatrywania istnienia wielu wszechświatów.

Czy to jest jakiś argument przemawiający za istnieniem wieloświata, czy jednak wciąż mamy do czynienia z bardzo spekulatywną hipotezą?

To ciągle hipoteza bardzo spekulatywna, choć możemy mówić o empirycznych wskazówkach. Wiążą się one z tzw. promieniowaniem tła.

W 1948 r. grupa badawcza kierowana przez George'a Gamowa wyliczyła, że wszechświat w Wielkim Wybuchu wytworzył pewne ilości gorącego promieniowania. W miarę jak wszechświat się rozszerzał, to promieniowanie stygło i według tych badaczy dzisiaj powinno być bardzo zimne – jego temperatura powinna wynosić ok. 3 stopni w skali Kelvina, a więc blisko najniższej możliwej we wszechświecie temperatury.

W latach 60. zespół radioastronomów zaobserwował promieniowanie, które okazało się tym przewidzianym przez Gamowa. To promieniowanie wypełnia całą przestrzeń kosmiczną i jego temperatura jest wszędzie niemal identyczna. Mówi się czasem, że to taka łuna Wielkiego Wybuchu. Kilka satelitów, wśród nich satelita Planck, badało to promieniowanie – bo skoro jest ono reliktem po Wielkim Wybuchu, to niesie informacje o bardzo wczesnych warunkach panujących we wszechświecie. W wyniku pomiarów powstały dokładne mapy promieniowania tła. Okazało się, że występują w nim bardzo niewielkie wahania temperatury – rzędu jednej stutysięcznej kelwina. Te gorętsze i chłodniejsze miejsca są obrazem małych różnic w gęstości materii we wczesnym wszechświecie. Różnice w gęstościach pojawiły się krótko po Wielkim Wybuchu, a inflacja rozdęła je do rozmiarów kosmicznych – i to z nich, już dzięki działaniu siły grawitacji, wyłoniły się dzisiejsze gromady galaktyk. Obecnie bada się astronomicznie rozkład galaktyk i próbuje się liczyć, jak z tych pierwotnych fluktuacji temperatury/gęstości, które widać na mapie promieniowania tła, mogły powstać galaktyki. Rachunki prowadzą do bardzo zgodnych wyników – te plamki, po odpowiedniej ewolucji, stają się gromadami galaktyk, które obserwujemy.

Można inaczej te plamki tłumaczyć, nie inflacyjnie, ale najpowszechniejsze, bo najbardziej przejrzyste, jest właśnie to wyjaśnienie. Czekamy teraz na dalsze badania, które pomogą rozstrzygnąć, czy faktycznie występowała inflacja, czy nie.

Ale, jak mówiłem, scenariuszy inflacyjnych jest wiele. I to, który z nich jest potwierdzany przez pomiary promieniowania tła, jest bardzo dyskusyjne. Paul Steinhardt, twórca jednego ze scenariuszy inflacyjnych, a teraz wielki krytyk tej teorii, twierdzi, że pomiary potwierdzają taki scenariusz inflacji, którego dzisiaj żaden z fizyków już nie przyjmuje.

Podsumujmy: niektóre teorie inflacji zakładają specyficznie rozumiany wieloświat. Chodzi bowiem o pewne obszary tej samej czasoprzestrzeni, w której znajdujemy się my sami, zaczynającej się w znanym nam Wielkim Wybuchu, ale które na skutek inflacji tak bardzo oddaliły się od siebie, że między nimi nie będą mogły nigdy występować jakiekolwiek oddziaływania. Kosmologia stworzyła jednak bardziej radykalne wizje wieloświata.

Tak, możemy je podzielić za George'em Ellisem na kategorie. Najbardziej skromny wieloświat tworzą wszechświaty, które są częścią naszej czasoprzestrzeni, ale mówimy, że leżą poza horyzontem. Prędkość światła, która jest skończona, wyznacza pewien horyzont, poza który nie możemy sięgnąć obserwacyjnie. To nie jest kontrowersyjny pomysł – horyzont jest faktem, tzn. trudno się spodziewać, że poza tym fragmentem wszechświata, który możemy obserwować, nie ma już niczego. To trochę tak, jak gdyby stanąć na wzgórzu, popatrzeć na horyzont i stwierdzić, że świat kończy się właśnie tam, gdzie sięga akurat mój wzrok.

Czyli na skutek inflacji powstały tak odległe obszary wszechświata, że gdyby z któregoś z nich zostało

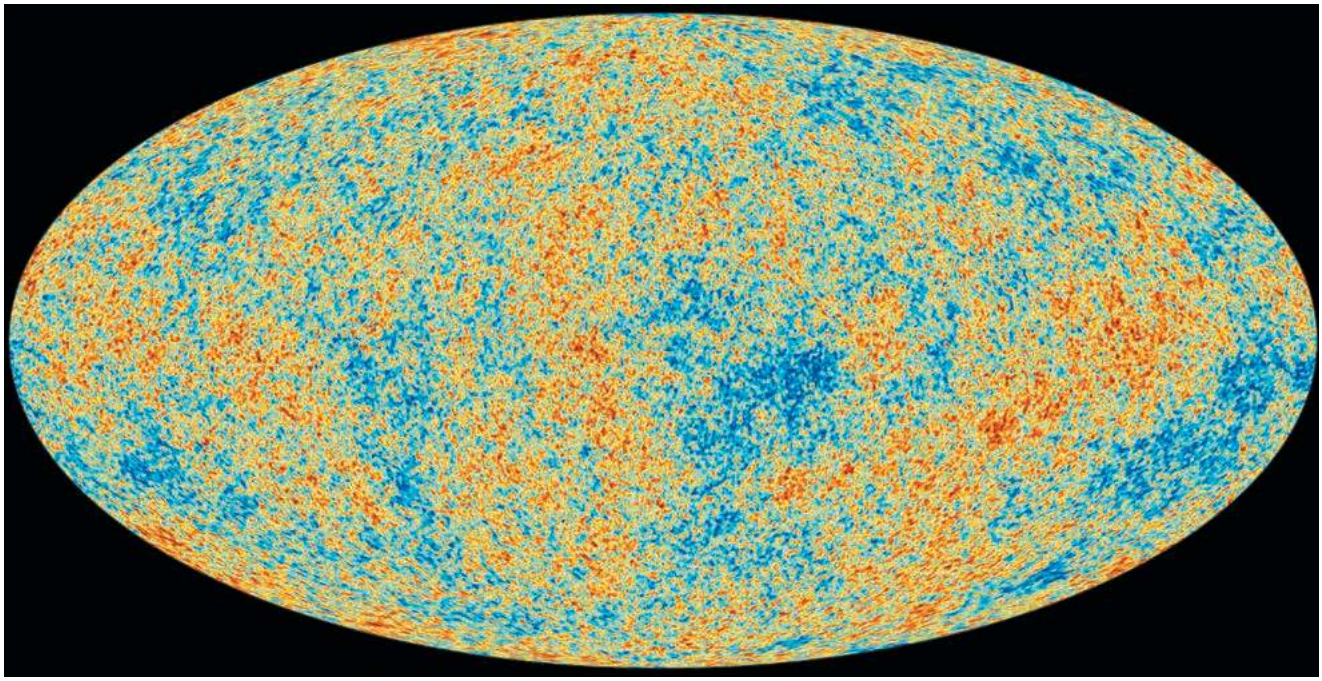

ESA / PLANCK / MATERIAŁY PRASOWE

Mapa temperatury mikrofalowego promieniowania tła wykonana przez satelitę Planck. To „łuna po Wielkim Wybuchu". Różnice w kolorach (temperaturze) odpowiadają niewielkim wahaniom gęstości materii we wczesnym wszechświecie. Dały one, za sprawą siły grawitacji, początek gromadom galaktyk.

wyemitowane światło, to leciałoby do nas dłużej, niż wynosi wiek wszechświata.

Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę to, że wszechświat się ciągle rozszerza, więc gdy światło do nas stamtąd podróżuje, musi pokonywać coraz większy dystans. To tak, jakby biegacz biegł, a meta się od niego oddalała. Spoza horyzontu już nic do nas nie dociera – ale tam też wszechświat może istnieć. Tyle że nasze obserwacje już tam nie sięgają. Możemy więc mówić, że istnieją osobne wszechświaty oddzielone horyzontem albo że to oddzielone fragmenty tego samego wszechświata.

Inna, bardziej radykalna wizja wieloświata jest taka, że kolejne wszechświaty są od nas całkowicie oddzielone – nie są w naszej czasoprzestrzeni. Choć nasz wszechświat i inne wszechświaty mogły mieć wspólną genezę. Wspominałem, że w niektórych teoriach inflacyjnych czasoprzestrzeń „pączkuje" – jeśli pojawi się „pączek" czasoprzestrzeni, osobny wszechświat, a w nim kolejne pączki, to wreszcie więzy między tymi „pączkami" zostaną zerwane. Będą jednak miały przynajmniej wspólną genezę.

Ale są i takie hipotezy wieloświatowe, w których wszechświaty nie mają z naszym nawet wspólnej genezy. To np. te światy powoływane do istnienia ze względu na zasadę antropiczną – wszechświaty o zupełnie różnych warunkach początkowych. Tylko ta pierwsza wizja wieloświata – czy też wszechświata podzielonego horyzontami – jest naukowo niekontrowersyjna.

Pozostałe wizje są jeszcze w ogóle naukowe czy to już raczej filozoficzno-matematyczne fantazje?

Ogromny sukces metody fizyki nowożytnej opiera się na dwóch filarach. Jeden to dedukcja matematyczna, drugi – kontrola empiryczna. O ile matematyczna dedukcja kwitnie wśród zwolenników wieloświata, bo to raj dla matematyków – powstają trudne teorie, ale często bardzo piękne – o tyle ciągle brakuje testów empirycznych. Wyniki są więc tylko „na papierze". Fizycy mają nadzieję, że jakieś testy empiryczne wieloświata będą możliwe, przynajmniej gdy idzie o te mniej radykalne wizje, ale dotychczas się nie udało – i to rzeczywiście główny argument przeciwko tym wizjom.

Nie mówiliśmy jeszcze o dwóch ważnych teoriach fizycznych, w których także pojawia się idea wieloświata: mechanice kwantowej i teorii strun.

To bardzo popularne wizje wieloświata. Zacznijmy od teorii strun. Najpopularniejszy dziś matematyczny model mikroświata wyróżnia całą menażerię różnych cząstek elementarnych – od elektronów po kwarki, bozony Higgsa itd. Teoria strun głosi, mówiąc w uproszczeniu, że fundamentalnymi obiektami we wszechświecie są maleńkie struny, które mogą drgać na różne sposoby, a te różne sposoby drgań – wielorakie „nuty" wygrywane na strunach – my postrzegamy jako różne cząstki elementarne. Zgodnie z teorią struny mogą jednak drgać na wiele sposobów – i dawać rozmaite zestawy cząstek. Wieloświat, mówiąc w największym skrócie, pojawia się więc jako wytłumaczenie, dlaczego struny drgają tak, że dają cząstki, które obserwujemy – a nie jakieś inne. Po prostu w innych wszechświatach struny mają drgać inaczej, czego efektem byłyby zupełnie inne cząstki elementarne. Inne wszechświaty to inne symfonie wygrywane na strunach.

W mechanice kwantowej z kolei, w pewnej jej interpretacji, wszechświaty tworzą się z powodu wykonywania pomiarów. Obiekty kwantowe mają dziwne własności. Np. nie wiemy, gdzie dokładnie w jakiejś chwili się znajdują, a możemy podać tylko prawdopodobieństwo, z jakim znajdą się w danym miejscu, gdy wykonamy pomiar. Po jego wykonaniu otrzymujemy jednak dokładny wynik. By wyjaśnić, dlaczego jakiś ↦

↦ obiekt, np. elektron, w wyniku pomiaru znajduje się akurat w tym miejscu, a nie innym, w którym także mógłby być, niektórzy badacze postulują wieloświat – w każdym wszechświecie elektron znajduje się w innym miejscu i każdy obserwator otrzymał inny wynik. To bardzo dziwna koncepcja, w której wszechświaty ciągle rozszczepiają się na wiele następnych, a wszystko, co tylko może się zdarzyć, zdarza się w jakiejś odnodze kwantowego wieloświata.

Fizyk Max Tegmark ma na całe zagadnienie wieloświata jeszcze bardziej radykalne spojrzenie. Zauważa, że tylko niektóre struktury matematyczne opisują nasz wszechświat – czyli pojawiają się w naszych modelach. Uważa, że te struktury nie powinny być szczególnie wyróżnione – muszą więc istnieć inne wszechświaty, w których wszystkie możliwe obiekty matematyczne mają własne fizyczne realizacje.

To rzeczywiście wizja radykalna, ale nawet Tegmark nie wziął pod uwagę całej matematyki. Jest taki jej dział – teoria kategorii – który wiąże różne dziedziny matematyki i aspiruje do tego, by dostarczać podstawy całej matematyce. Nie będę wchodzić w szczegóły, ale można powiedzieć, że teoria kategorii pokazuje, iż mogą istnieć różne obszary matematyki (czyli właśnie różne kategorie) różniące się pod kątem praw logiki. Np. takie kategorie, w których zasada niesprzeczności (niemożliwe jest, by prawdziwe było zarówno jakieś zdanie, jak i jego zaprzeczenie) nie całkiem obowiązuje. Jeśli więc brać na poważnie poglądy Tegmarka, to trzeba by również przyznać, że mogą istnieć wszechświaty, w których działają zupełnie inne prawa logiki niż w naszym. A to rodzi pytanie, czy cała idea wieloświata nie została sprowadzona do absurdu.

Czy Ksiądz Profesor wierzy, że któraś z koncepcji wieloświata odpowiada rzeczywistości?

To źle postawione pytanie. Wierzę w metodę fizyki. I jeśli mamy nową hipotezę, to nie jest tak, że wierzę w nią lub nie, tylko czekam, aż zostanie ona potwierdzona lub nie przez doświadczenie. W przypadku wieloświata silnego empirycznego potwierdzenia nie mamy. Ale to nie znaczy, że to idea bezużyteczna.

Dzisiaj Leibniz mógłby powiedzieć, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, **który istnieje w najlepszym z możliwych wieloświatów.**

Możemy sobie wyobrazić, że cała nasza wiedza fizyczna to wnętrze koła. Obwód tego koła to problemy, które aktualnie badamy – w nim to, co wiemy, styka się z tym, czego nie wiemy. Nauka się poszerza – koło rośnie. A więc problemów ciągle przybywa – bo obwód też rośnie. Gdy popatrzymy na historię fizyki, to wokół obwodu, a czasem dalej poza nim, powstawał zawsze pas dociekań filozoficznych. Jeszcze nie poddawały się one metodzie naukowej, ale już nas interesowały. Za czasów Newtona pytaniem, które leżało poza granicami metody, ale już blisko obwodu, był problem tego, co to są gwiazdy. Nie było jeszcze astrofizyki, ale potem weszła ona do tego obszaru. Wydaje mi się, że teorie wieloświata to takie teorie, które otaczają pole osiągnięć fizyki. I są one wartościowe, bo tu dzieją się ciekawe rzeczy, i pewne elementy tych teorii – np. teorii inflacji – wejdą do środka nauki. Dlatego warto się tym zajmować.

A czy wizja wielu wszechświatów nie jest światopoglądowo przygniatająca? Już nasz wszechświat jest miejscem, w którym człowiek może czuć się zagubiony, przygnieciony ogromem odległości, energii, skalą czasu liczonego w miliardach lat. Czy myślenie o wieloświecie tego wrażenia nie potęguje?

Mówimy o skalach i liczbach tak trudnych do wyobrażenia, że różnice między wszechświatem i wieloświatem przestają mieć psychologiczne znaczenie. Ale reakcje na ideę wieloświata mogą być różne. Matematyka, która leży u podłoża różnych teorii wieloświata, jest piękna, może fascynować – stąd zresztą popularność takich koncepcji jak teoria strun. Niektórych zaś idea wieloświata doprowadza do wściekłości, a nie przytłacza.

Istnieją też wszechświaty literackie – uniwersa tworzone przez pisarzy, zwłaszcza twórców fantasy. Czy one różnią się jakoś radykalnie pod kątem ontologicznym od wszechświatów kosmologicznych? Można powiedzieć, że jedne i drugie istnieją wyłącznie na papierze.

Chyba nie da się odpowiedzieć, czy jedne istnieją bardziej, a drugie mniej – zależy, jaką przyjmie się miarę. Różnica między nimi jest wyraźna. Wszystkie wieloświaty, o których mówi nauka, to modele matematyczne, z wyjątkiem może koncepcji Tegmarka, który mówi o strukturach, ale żadnego modelu nie buduje. Cały proces konstrukcji takich wieloświatów przebiega w sposób matematyczny, podczas gdy wszechświaty literackie są dziełem twórczej wyobraźni. Powiedziałbym, że dzięki temu wieloświaty kosmologiczne mogą nas zaprowadzić w obszary bardziej odległe od naszej potocznej wyobraźni. Przykładem tego jest powstanie mechaniki kwantowej – nikt nie był sobie w stanie wyobrazić, że świat atomów będzie się rządził takimi nieintuicyjnymi prawami, i wymyślamy rozmaite interpretacje, by te struktury oswoić. Wszystkie fikcje literackie są budowane ze znanych elementów, tylko z nieoczekiwanego ich ułożenia. Choć gdyby skupić się na „produkcie", to wielu krytyków teorii wieloświata stwierdziłoby, że te modele nie różnią się bardzo od fikcji literackich.

A jak Ksiądz Profesor odnajduje się w wieloświecie jako teolog? Czy te koncepcje mogą coś zmieniać w katolickiej wizji Boga?

Nie zapominajmy, że idea wielu światów pojawiła się najpierw w kontekście teologicznym u Leibniza, gdy mierzył się z problemem dobra i zła. Dzisiaj pojęcie wieloświata rozumiemy trochę inaczej, nasza wyobraźnia nieco inaczej pracuje, ale teologicznie chyba wiele się nie zmienia. Dzisiaj Leibniz mógłby powiedzieć, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów, który istnieje w najlepszym z możliwych wieloświatów.

Ktoś też stwierdził, że jeśli Bóg jest nieskończony, to może nie interesować się czymś, co jest mniejsze od nieskończoności. Wtedy wieloświat będzie mu bardziej odpowiadał w akcie stworzenia niż jeden wszechświat.

©℗ Rozmawiali ŁUKASZ KWIATEK i TOMASZ MILLER

Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

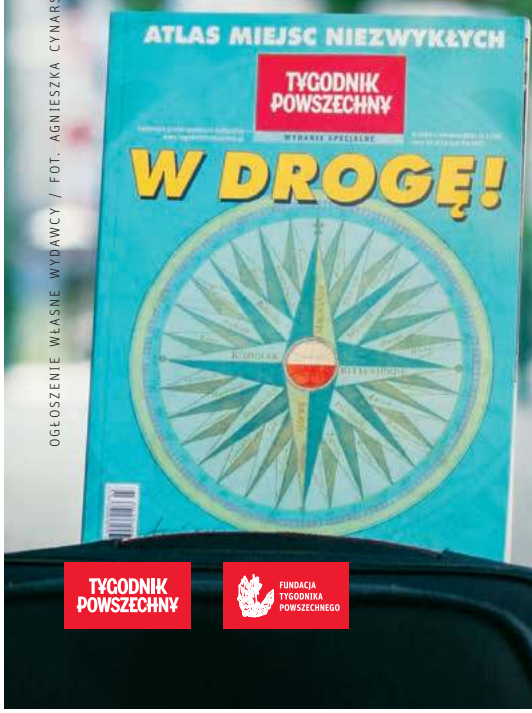

Piszą Błażejowska, Bieńczyk, Drenda, Jagielski, Koziołek, Kuczok, Kuźmiński, Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy **„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”** i pielęgnuj z nami najpiękniejsze wspomnienia z wakacji.

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na **powszech.net/wdroge**

PARTNERZY WYDANIA:

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · Albatros · LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Lekcje czytania

Zapraszamy na lekcję poświęconą dramatowi „Rechnitz (Anioł Zagłady)” autorstwa Elfriede Jelinek.

Gościem spotkania będzie Katarzyna Kalwat, reżyserka teatralna, która na podstawie dramatu zrealizowała sztukę „Rechnitz. Opera – Anioł Zagłady”.

Warsztaty zaprezentowane zostaną online w środę 30 września o godz. 12.00 na profilu /LekcjeCzytania. Rozmowę z reżyserką poprowadzi Grzegorz Jankowicz, dyrektor programowy Festiwalu Conrada. Współorganizatorem wydarzenia jest Austriackie Forum Kultury w Warszawie.

RYS. MARCIN WICHA

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · austriackie forum kultury waw · fanpay

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. MONIKA ZIELIŃSKA

KLUB TP

Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

KULTURA

WIELKI PRZEGRYW

Na salonach Cyprian Norwid ciekawy jest głównie jako odpalony kochanek wielkiej damy, robak wijący się malowniczo pod jej okrutnym obcasem. A celebryci kultury najzwyczajniej się nim bawią.

ELIZA KĄCKA

Był atletą polskości. Ale też i wszystkiego, z czym przyszło mu się mierzyć: posłannictwa sztuki i osobno poezji, przeznaczeń ówczesnej Europy, etyki dnia codziennego, kwestii kobiecej, wolności słowa, ultramontańskiej wiary i zagadki własnego losu. Z każdej takiej kwestii czynił sobie narzędzie atletyki duchowej: brzemię i wyzwanie. Spoglądał na nie tak, jak kulturysta na sztangi – z udręką i fascynacją. Składał się z tych dwu uczuć. Pół na pół.

Śledziennik

Urodzony 200 lat temu Cyprian Norwid – poeta, zatrzymany w rozwoju artysta, samorodny myśliciel – miał do rzeczywistości stosunek prowokacyjny. Wśród Polaków wystarczy w tym względzie mieć własne zdanie. Norwid miał je na każdy temat. Toteż inicjuje on w kulturze polskiej szereg odszczepieńców, do którego należą Wyspiański, Brzozowski, Irzykowski, Witkacy i Gombrowicz. Osobowości zaprzeczne, pragnące ulokować się na zewnątrz fatalizmu, zwanego też polskim piekłem. Wylęgło się ono w Wielkiej Emigracji i raz na zawsze zakaziło polskość jako taką. Rzecz przekracza wymiar animozji osobistych: że, powiedzmy, Adam nie znosi Juliusza, Juliusz – Fryderyka, a Zygmunt – ich wszystkich, i tak dalej. Świadom tego, Norwid ustanowił na skraju piekła jednoosobową lożę szyderców.

Od czasu dojrzałości nigdy programowo nie zgadzał się z nikim co do niczego. Jeśli wierzyć opiniom zgorszonych współczesnych, całe lata odgrywał w środowisku rolę Lorda Paradoksa. Stąd przyjmowano go chętnie: co też ten człowiek jeszcze wymyśli? Skądinąd przypuszczać można, że z tej racji, jako kurioza, zachowano aż tyle (prawie połowę) jego listów.

Ale zwraca uwagę związana z tym cecha szczególna. Norwid to emblematyczny w kulturze polskiej przegryw, wirtuoz życiowego pecha, poeta na pół pustej szklanki. Inaczej mówiąc, osoba spod znaku siódmej planety, Saturna. A zatem melancholik czystej wody. Znać to w jego poezji od wczesnej „Mojej piosnki [I]" (1844) po późnego „Mojego psalmu" (1882). Należy do tych umysłów, którym z jakiejś przyczyny ofiarowany został dar poetycki wraz z brakiem zdolności do epifanii – zachłyśnięcia się cudownością, zawrotnym bogactwem świata. Wzlotu, jakie znamy z wierszy Leśmiana, Wierzyńskiego, Tuwima.

Upośledzeniem tym poprzedza go w poezji polskiej tylko żałobnik „Marii" (1825), nieszczęsny Antoni Malczewski. Marek Bieńczyk, autor wspaniałych traktatów o melancholii, nadzwyczaj promuje też Zygmunta Krasińskiego, lecz, jak się zdaje, w skali szczerości ów histeryczny histrion, hipochondryk i pozer pozostawia wiele do życzenia. Pełnia melancholii wymaga bowiem czegoś więcej ponad egotyzm i mizantropię – żąda egzystencjalnej goryczy. Toteż właśnie Norwid zapoczątkowuje linię, na której widnieją co ćwierć wieku poeci bezradośni: Asnyk (coś na kształt jego kieszonkowego wydania), Rolicz-Lieder, Sebyła, Grochowiak i, dla pełni obrazu, Świetlicki.

Aż dziw, że w związku z Norwidem trzeba to pisać po raz pierwszy. No, ale i on, rozpoznając u siebie bezbłędnie wszelkie objawy podległości wpływom Saturna, tego sobie nie

FRANÇOIS JOSEPH DELINTRAZ / ZE ZBIORÓW BIBLIOTEKI NARODOWEJ / POLONA // MONTAŻ TP-ONLINE

Cyprian Norwid 1861/2021 r.

uświadomił. A zatem, chcąc się odróżnić i wyzwolić spod wpływu wielkich romantyków, Norwid nie musiał szczególnie się starać. Był integralnie osobny. Był, jak oni, poetą pielgrzymem, lecz zmierzał gdzie indziej. Jego szlak wyznaczały urazy, jakimi hojnie częstowała go rzeczywistość. Gdyż rzeczywistość zwykła takiego poetę, jak on, urażać – i w tym się właśnie odsłania jej skryta, podstępna natura.

The Poet by Gaslight

Inicjalnym, a rychło uświadomionym nieszczęściem Norwida było historyczne spóźnienie. Produkcja tak zwanych we wstępie do „Vade-mecum" (1865-66) Wielkoludów zabetonowała na amen polski rynek poezji, ogólnoeuropejska zmiana gustów usunęła w kąt trójnóg pytyjski pierwszej generacji romantyków na rzecz atłasowego biedermeierowskiego fotela. Nadto sześciotysięczna społeczność emigracyjna lat 40. po paru przykrych doświadczeniach jęła na dobre urządzać się... tam, gdzie Polacy zwykli mościć sobie gniazdka po klęskach.

Warto wspomnieć, jak zareagowali na to „wieszczowie". Mickiewicz popadł w mistycyzm i zamilkł, Słowacki pisał rzeczy szalone już tylko dla siebie, Krasińskiego uwiodły pukające stoliki. Sytuacji pisarza na dorobku, w rodzaju Norwida, zagrażał – brzydkie słowo – epigonizm.

I wtedy przyszło wybawienie – Wiosna Ludów, czyli trzy lata zamętu. Jednakże, niestety, za wszystko się płaci, i po czasach wzmożenia następuje dużo dłuższy czas kaca. Na przykład za lata 1861-63 kultura polska spłacała dług przez trzy dekady. Aliści niespełna trzydziestoletni Norwid wyszedł z tej próby wzmocniony. Od roku 1850 jego poezja zyskuje dojrzałość, męski ton, który mu już zostanie. I znów ciekawie jest dojrzeć analogiczną przemianę rówieśników. Gdyż w dziele każdego z nich, acz stali się kimś innym, przetrwały nieprzewalczone szczątki klimatu lat 40. U Charles'a Baudelaire'a (ur. 9 kwietnia 1821) – tęsknota do niemożliwej idylli; u Cypriana Norwida (ur. 24 września 1821) – salonowe komeraże w stylu Musseta; u Fiodora Dostojewskiego (ur. 30 października/11 listopada 1821) – humanitaryzm starego Wierchowieńskiego w „Biesach" i nieznośna czułostkowość różnych „Chłopczyków na Gwiazdce u Pana Jezusa"; u Gustave'a Flauberta (ur. 12 grudnia 1821, a jakże) – pokraczne wizje „Kuszenia św. Antoniego" i hołd złożony tamtym czasom „Szkołą uczuć".

Wspomnianą tu już książkę Bieńczyka „Melancholia: o tych, co nigdy nie odnajdą straty" (1998) otwierają słowa o współczesnym końcu utopii i powrocie melancholii. Ściśle to samo, tylko jeszcze bardziej, zaszło w efekcie upadku utopijnych dążeń Wiosny Ludów. Nic nie ostało się z marzeń pierwszej generacji romantyków. Norwid lubił mistyfikować swoje korespondentki opowieścią, jak to podczas masakr dni czerwcowych 1848 r. brodził po kostki w krwi robotniczych ofiar terroru wojska i Garde Mobile. W istocie był wtedy w Rzymie. W Paryżu jednakże odkrył pejzaż idei w stanie nieodwracalnej ↦

↦ destrukcji. Dziś traci się często z oczu fakt, że na wiek XIX składają się dwie odmienne duchowo epoki: przed i po tym okrutnym przełomie. Norwid stanął więc nagle wobec wyzwania, jak być poetą czasów kolei żelaznych, giełdy, policji, sprzedajnej sztuki i tłumu, zwanych czasami postępu. I podjął je.

Oznaczało to, że z wędrownego artysty, wojażera po Italii, jakich były tysiące, Norwid staje się Jonaszem w brzuchu polsko-międzynarodowego lepszego towarzystwa. Jego to obyczaje i narowy, pokusy i niegodziwości poddadzą motywy mnóstwu wierszy, poematów i melancholicznych komedii, których centralną postacią okaże się obserwator, ubogi artysta. Ktoś, kto patrzy i jest oglądany, z reguły bezlitośnie.

Znów ramię w ramię z Baudelaire'em Norwid odkrywa siebie jako uczestnika, by użyć nowoczesnego terminu, społeczeństwa spektaklu. Staje się nim, gdy wraz z Krasińskim i Orpiszewskim biegnie z dubeltówką na Kwirynał bronić przed rzymskim ludem papieża. I gdy ugania się, trwoniąc zasoby, po Europie za Marią Kalergis, *professional beauty* o zaszarganej wśród emigrantów opinii, uznającej jednak wyłącznie samców alfa. Gdy nawiedza rozliczne salony, szermując na przemian czarnowidztwem i plotką.

W późniejszych latach i o nim krążyć będą legendy, że był trzydzieści razy żonaty, że uratował się ze statku, który zatonął opodal Islandii, że jest wielkim mistrzem tajnego zakonu albo, pst!, jezuitą. Naruszając chronologię Norwidowskiego żywota, zaryzykować można sąd, iż w latach 60. i 70. poeta odgrywał rolę czegoś na kształt ówczesnych mediów społecznościowych – tyle w listach odpowiedzi na zapytania o sprawy hrabiny X czy miejsce pobytu księżnej Y, co do których był najwyraźniej *en vogue*. „Poeta, o którym mówią, że kobiety wyłechtały mu całą duszę i uczucie" – pisał ktoś nieżyczliwy (Aleksander Wernicki). Lecz przy tym na wizerunku z końca lat 50. ów ulubieniec dam zasiada przed obiektywem fotografa w dziurawym bucie: na prawym nosku przyszwa wyraźnie odłazi od podeszwy. Ni śladu też rękawiczek. Czy jeszcze je posiadał?

Parabola

Wszystko to rozgrywa się latami w stanie zawieszenia między towarzyską akceptacją a skrytą drwiną, w strefie permanentnego kryzysu literackiej reputacji. Na salonach Norwid ciekawy jest bowiem głównie jako odpalony kochanek wielkiej damy, robak wijący się malowniczo pod jej okrutnym obcasem. Co do twórczości zaś – a powstają wtedy białe słonie literatury polskiej, jak „Promethidion" i „Zwolon" – spotyka Norwida zdrada ze strony poznańskich wydawców i protektorów, w tym Krasińskiego, szerzących przejrzyste aluzje do namolnego grafomana.

Krążyły legendy, że był trzydzieści razy żonaty, że uratował się ze statku, który zatonął opodal Islandii, **że jest wielkim mistrzem tajnego zakonu albo, pst!, jezuitą.**

Celebryci kultury najzwyczajniej się nim bawią. „Jak kto nie urodzi się w liczbie wybranych majątkowo – może przepaście brylantów w sobie mieć – nędza i poniżenie wniwecz obróci je" – pisze Norwid do jednego z nich, Jana Koźmiana. „Gdybym był Niemcem, mógłbym sztukmistrzem znanym być, mógłbym się w kopule sztuki zamknąć i jak lampa powiesić" – oznajmia innemu posiadaczowi gromkiego nazwiska, Cezaremu Platerowi. Aż wreszcie: „Zmuszony jestem zniknąć z pola – zmysły moje nie wytrzymują dalszej walki" – zawiadamia Augusta Cieszkowskiego. I dalej, rozdzierająco, zwierza się Adamowi Potockiemu: „Umieram zupełnie dla publiczności tej jako imię, jako pióro, jako poetyczność". Depozytariuszom swoich manuskryptów rozsyła polecenia, by je spalić, każe składy drukarskie rozrzucić, zwraca w miarę możności długi i z dwoma złotymi napoleonami w kieszeni wypływa do Ameryki.

Jak mu się tam powiodło, wiadomo; dość, że zdołał wrócić z życiem, by dalej klepać biedę w Paryżu. Warto może tylko dodać coś, z czym mógł się spotkać, jeśli, rzecz jasna, wszedł w Nowym Jorku do księgarni. Literacką nowość sprzed roku (grudzień 1851), „Moby Dicka" Hermana Melville'a, rozpoczynają słowa: „*Call me Ishmael*". Właśnie imieniem Ismael nazywała go Maria Kalergis. I na co było wynurzać się z niszczącego żywiołu? Żeby wpaść w paszczę Lewiatana?

Powrócił w stanie takiej desperacji, że jeszcze rok czy dwa później postanowił wziąć udział w wyprawie korwety „Królowa Hortensja" pod wodzą księcia Napoleona zwanego Plon-Plon na Islandię i Grenlandię (1856). Wygryzł go jednak jeden z przyjaciół, skądinąd tłumacz „Rękopisu znalezionego w Saragossie", Edmund Chojecki, dla Francuzów Charles Edmond. Lecz wróćmy do spełnionej, w stylu Norwidowskim, przygody amerykańskiej. W drodze powrotnej, jeszcze z Londynu, gdzie dla zdobycia pieniędzy na bilet prostytuował swój fach rzeźbiarski, modelując dla jakiegoś protetyka „odarte szczęki", poeta napisał do przyjaciela, Józefa Bohdana Zaleskiego, list ze zdaniem przedziwnym. „Powoli, powoli wszyscy my stajemy się osobami a raczej osobistościami parabolicznymi – co więc gdzie indziej jest plotką, ideą, wyobrażeniem politycznym, gawędką itd., to często u nas jest już nieledwie rzeczą i parabolą żywą".

Jak to rozumieć? „Parabole mają to do siebie, że nie tylko prawdy przedstawiają, ale i dramat życia prawdę wyrabiający" – mówią lekcje „O Juliuszu Słowackim". Czego Norwid i jego współcześni są parabolą? Odpowiedź, jak się zdaje, powinna brzmieć, że okazali się wcieleniem zasady, ukrytego prawa, które w ich losach się objawia. Ta nowa wiedza, obejmująca Polaków i Polskę, kto wie, może aż po dziś dzień, której doświadcza i sprawdza na sobie Norwid, przywodzi na myśl pewną intuicyjną teorię. Koncept ten wyłożył w swej debiutanckiej powieści „Biali bracia" (1932) zapomniany dziś pisarz Michał Choromański. Zwodniczo niefrasobliwym tonem wykłada tam, że „W każdym niepowodzeniu kryją się w stanie embrionalnym jakieś następne i nie wiadomo, w jaki sposób można by ich uniknąć. (...) Istnieje bowiem na ziemi rytm, któremu podlegamy, i tylko jego wyczucie zapewnia nam w życiu powodzenie. (...) Żeby móc doznać szczęścia, trzeba bezsprzecznie być muzykalnym. Tak zwane stracone życie przypomina człowieka poruszającego się nie do taktu".

Wszystkie straszliwe inwektywy Norwida z listów do Józefa Bohdana Zaleskiego („Nie ofiary brak narodowi, który

już nie ma co ofiarować – ale brak M i ł o s i e r d z i a", 1852); do Konstancji Górskiej („Jestem zmęczony uczuciem obrzydzenia dla całego społeczeństwa polskiego, złożonego z lalek bez woli i serca, modlących się i robiących zbrodnie", 1865); do Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej („Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł", 1862) i tuzina innych korespondentów, których smagał swoim sarkazmem, są może formami domysłu, że Polska w którymś punkcie dziejów straciła rytm, zgubiła europejską fazę. I stąd to duchowość Polaków, którzy całkiem niedawno „zaniemili pod koniec Mickiewicza – którzy otruli Słowackiego – którzy Zygmunta zaniepodzieli w nicość fałszu społecznego", stanowi światowy fenomen. A to, co się zdarza jej synom i córkom, zwłaszcza zaś samemu poecie, jest tego nieustającym świadectwem.

„Czy taki naród może żyć i czy religia, która tak łżeć dozwala, może trwać w sercach śmiertelnych???" – pyta Norwid Józefa Bohdana Zaleskiego. Oto Norwidowski styl stawiania pytań.

Aureola

W przeciwieństwie do swego brata z nadania literaturoznawców-komparatystów, Charles'a Baudelaire'a, Norwid nigdy nie jest bluźniercą. Obaj rówieśnicy zmagają się jednak z historycznym zatarciem antytezy *sacrum* i *profanum*. U Norwida proces ten, którego dynamikę potwierdza codzienność, zagraża wszystkiemu, co dlań święte: Słowu, Prawdzie, Historii, Pięknu, a zwłaszcza Człowieczeństwu. Wobec tych pojęć, pisanych z dużej litery jako centrum świata wartości, Norwid zachowuje nieufność. Poddaje je ciągłej rewizji.

Przypowieściom francuskiego skandalisty na temat utraty przez poetę aureoli, w wierszu „Bénédiction" i tak zatytułowanej prozie poetyckiej z „Paryskiego splinu", odpowiada Norwidowska przypowieść „Bransoletka". Ów rekwizyt to przecież także upadła aureola, wedle słów wiersza „Larwa" „zataczająca się w błocie". U Baudelaire'a utrata aureoli przynosi plugawą ulgę: bez niej można wreszcie spokojnie iść do burdelu. U Norwida strata zaręczynowego kółka rozbija przyszłe stadło: narzeczeni okazują się nie żywsi od marionetek. Ich niedoszły sakrament małżeński wyzbyty byłby *sacrum*, które w mowie świeckiej nosi miano miłości.

Norwid to człowiek ewangeliczny:
ktoś, kto nic sobie tu, na tym świecie, wiarą nie załatwia ani definitywnie nie rozjaśnia. To ktoś, kto ryzykuje śmieszność.

Wielu dziś czyta Norwida jako strażnika katolickiej ortodoksji. Zgoda na to jest warunkowa. Jeśli ortodoksja żąda stłumienia zmysłu krytycznego, Norwid tego warunku nie spełnia. O ile katolicyzm ma być obroną wsobności własnej wspólnoty, jego pisarstwo głosi apologię spotkań *extra muros*. Jego myślenie o prawdzie praktykowanej, przeżywanej, zmierza raczej w stronę sceptyków, jak Sokrates, czy niecierpliwych serc w rodzaju Johna Browna. Gdy katolicyzm polski wspólnotą wiernych zwie naród, Norwid przedkłada nad nie ekumenizm, wszechczłowieczeństwo, ludzkość. Gdzie wiara żywi się cierpieniem i bierze ślub z martyrologią, tam Norwid wykrywa samobójczy nałóg męczeństwa. A kiedy wokół niego biernie czeka się cudu, on każe przyjąć odpowiedzialność za historię, zamiast zdawać się na Opatrzność. Posiadaczom doktrynalnych gwarancji sensu i jasności przeciwstawia wizję życia pełnego „spraw dramatycznych, a więc i zawiłych". Łaknącym prostych wzorów osobowych podsuwa „everymana"-*quidama*, człowieka prawego, a ginącego „prawie że przypadkiem, i to w jatkach". Jego człowiek ewangeliczny to bowiem mieszaniec, pielgrzym, wyrzutek. Ktoś, kto nic sobie tu, na tym świecie, wiarą nie załatwia ani definitywnie nie rozjaśnia. To ktoś, kto ryzykuje śmieszność. Ktoś niezadomowiony – we własnym domu, w ojczyźnie, w piśmie.

Norwid posiada bodaj największą w naszej literaturze wrażliwość ewangeliczną. Ewangelia zaś, przypomnijmy, ma bardzo nieoczywisty zestaw bohaterów i poza wymiarem paraboli mogłaby niejednego zgorszyć. Jak dalece Norwid należy do umysłów gorących, świadczy wiele wierszy, choćby „Fraszka (!)", gdzie dewoci płci obojga ekscytują się odejściem z Kościoła wielkiego historyka Micheleta, lecz ślepi są na przybłędę, który leży, czekając na pomoc, za Domem Bożym, kościołem. Opatrzyć go, choćby podartym na pasy ornatem! – wzywa poeta w duchu, który od 2 tysięcy lat budzi wściekłość faryzeuszy. Wyznawcy litery miast ducha niezdolni są pojąć Norwida. Zaskakująca alchemia: katolicyzm przeżywany na pozór z pogańska, *sub Saturno*, powraca u niego w kształt ewangeliczny.

Końcówka

Komplement prawdziwie dwuznaczny bywa też w pewnej mierze sztuką. „Z duszą swą nosił się pomiędzy ludźmi jako z numizmatem rzadkim, nikomu nie znanym, nikomu niepotrzebnym, do niczego nieprzydatnym" – napisał o Norwidzie Józef Tokarzewicz-Hodi. Twórczość ta to więc ślad minionej kultury, moneta, owszem, niezwykła, lecz nic się za nią nie kupi.

W ostatnich miesiącach życia Norwida nikt w Polsce nie chciał kupić odeń rysunków Leonarda i Rafaela. Nikt nie chciał nabyć od niego trzech napisanych dla zarobku arcydzieł – nowel włoskich „Stygmat", „Ad leones" i „Tajemnica lorda Singelworth". Nikt nie chciał już nic jego pióra publikować. Niejaki Edward Bykowski złamał obietnicę zaproszenia go do swego pałacyku w Nicei. Nikt nie spieszył ze wsparciem. Nie odpowiadano na listy. W końcu Norwid przestał je pisać.

Nie wychodził już z izdebki w Domu św. Kazimierza. Odmawiał pokarmu. „W połowie maja nie przyjmuje już swojej paryskiej kuzynki, Anny Dybowskiej, która przyszła go odwiedzić, a o której wiedział, że go nie lubi i niewysoko ceni – pisze Juliusz Wiktor Gomulicki. – Wkrótce potem kładzie się do łóżka, dużo rozmyśla i często płacze, przed nikim jednak nie wynurza swoich cierpień. (...) We wtorek 22 maja poeta uspokaja się. Wieczorem odwraca się do ściany i zasypia, szepcząc do Zaleskiego: »Przykryjcie mnie lepiej«. Umiera we śnie nad ranem".

Czyja to śmierć? Czegoś aby nie przypomina? Taką śmiercią umiera bohater niezgłębionej paraboli Hermana Melville'a, „Bartleby, the Scrivener" (1853). Ten, który powtarzał uparcie: „*I would prefer not to*". „Wolałbym nie".

Jak czasem polscy poeci.

© ELIZA KĄCKA

MAŁGORZATA MIRGA-TAS (ur. 1978) jest polsko-romską artystką i aktywistką. W 2004 r. ukończyła Wydział Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Współzałożycielka w 2007 r. ruchu Romani Art. W latach 2012-2016 organizowała w rodzinnej Czarnej Górze plenery „Jaw Dikh!", a od 2017 r. działa w berlińskim The European Roma Institute for Arts and Culture (ERIAC). Autorka pomnika Romów zamordowanych w 1942 r. w Borzęcinie Dolnym (2011). Uczestniczyła m.in. w 11. berlińskim Biennale Sztuki Współczesnej w 2020 r. oraz niedawno zakończonym Autostrada Biennale w stolicy Kosowa Prisztinie, gdzie pokazała cykl „Herstories" – portrety zaangażowanych społecznie romskich kobiet. Laureatka Paszportu „Polityki" za 2020 rok.

Małgorzata Mirga-Tas. Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie, luty 2021 r.

Nie widzę siebie w czerni

MAŁGORZATA MIRGA-TAS, ARTYSTKA WIZUALNA:

Pomnik powinien stać się częścią lasu, w którym stoi. Nie musi być na zawsze. Powinien starzeć się, próchnieć, obrastać mchem.

PIOTR KOSIEWSKI: Pani twórczość jest osadzona w romskim środowisku, zwłaszcza w rodzinie. Nawet ubrania, które wykorzystuje Pani w swoich pracach, pochodzą od osób bliskich. Dlaczego ta bliskość jest tak ważna?

MAŁGORZATA MIRGA-TAS: Musiałby pan przyjechać do Czarnej Góry i zobaczyć nasze życie! Już podczas śniadania przychodzą mama, wujek, ciocia, siostra czy

stryjek. Interesują się, nad czym pracuję, do jakiej wystawy się przygotowuję. Pracuję w domu, więc mają okazję widzieć moje prace w czasie powstawania. Czasem przynoszą niepotrzebne ubrania, bo wiedzą, że je wykorzystam. Rozmawiam z nimi o moich pracach, o sytuacjach, które przedstawiają. Lubię te rozmowy, bo mają zupełnie inny charakter niż te z kuratorami lub artystami.

Te ubrania są ważne?

Zanim zaczęłam używać materiałów od własnej rodziny, sięgałam po rzeczy kupowane na przykład w ciucholandach, a także własne. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że pochodzą od konkretnych osób i to jest dla mnie ważne. Jeżeli pracuję nad portretem i wiem, że mogę wykorzystać rzecz pochodzącą od portretowanej osoby, mam wrażenie, że obraz zaczyna żyć. Jest w nim dobra energia, ale też emocje. Dziś już wszyscy wiedzą, że nie wolno niczego wyrzucać, bo Gośce może się przydać.

Widzę też, że moi bliscy cieszą się tym, co robię. Powiedzenie, że maluję obrazy albo tworzę rzeźby, nic im nie mówi. Muszę pokazać pracę i opowiedzieć: oto ciotka Celina. Ona ma tu nawet swoją spódnicę. To, że zobaczą coś im znanego, kompletnie zmienia ich odbiór. Obraz staje się im bliski.

Dlaczego zdecydowała się Pani na studia artystyczne? Jak ta decyzja została odebrana przez rodzinę i Pani społeczność?

Mam szczególną rodzinę. Pewne szlaki zostały wcześniej przetarte, bo dziadkowie naciskali, aby dzieci się kształciły. Nikt w domu mi nie mówił: idź do szkoły zawodowej, bo dzięki temu będziesz mieć zawód. Lub: po zakończeniu liceum najlepiej idź już do pracy. Miałam wrażenie, że rodzina wspierała mnie zawsze, niezależnie od moich wyborów.

Mama często powtarza, że od zawsze dłubałam. Rzeźbiłam w czymkolwiek, co mi wpadło w ręce. Dziś też myślę o sobie przede wszystkim jako o rzeźbiarce.

Pracę dyplomową wykonała Pani z nietypowego materiału: nietrwałego, użytkowego, wręcz śmieciowego.

Nie chciałam robić pracy w drewnie ani w gipsie. Byłam zmęczona tymi materiałami. Nie chciałam też sięgać po ceramikę. Pomyślałam, że wymyślę coś tylko dla siebie. Był też inny powód: nieustannie musiałam prosić kogoś, aby mi przyniósł albo podniósł kawałek drewna czy model z gliny. Te wszystkie materiały były dla mnie po prostu za ciężkie.

Pomyślałam więc o tekturze. Promotor się zgodził. Pierwsza próba wyszła tak sobie. I wtedy prof. Józef Sękowski powiedział: to dosyć ciekawy materiał, ale przemyśl technologię tworzenia. I przyszedł mi do głowy pomysł, by skleić pudełka w wielką bryłę, a potem w niej rzeźbić piłą, niczym w drewnie. I powstał – jako rzeźba dyplomowa – tabor.

Ale jednak zajęła się Pani rysunkiem, a potem malarstwem.

Wykonałam jeszcze rzeźbę jako scenografię do romskiego spektaklu „Gloria". Byłam w piątym miesiącu ciąży. Okazało się, że to zbyt wyczerpujące. Po urodzeniu syna uznałam, że nie mogę już rzeźbić. Skupiłam się zatem na malowaniu, ale też miałam dookoła rozmaite materiały, które domagały się wręcz, by je wykorzystać. Zaczęłam je wklejać do swoich prac. A tematy obrazów też same się narzucały.

Zaczęłam robić portrety całej rodzinie. Początki nie były łatwe. Pytano: dlaczego nie malujesz naszych oczu czy ust? Dlaczego to są bardziej szkice niż skończone wizerunki? Teraz jednak wreszcie portrety zostały zaakceptowane. Słyszę od sportretowanych: w sumie dobrze wyglądam.

Sięgnęła Pani po stylistyki różne od tych, które dominowały wówczas w malarstwie. Nie bała się Pani umieszczenia w szufladce sztuki niedzisiejszej? Wręcz minionej?

W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Myślałam o tym, jak się nas, Romów, przedstawia – stały temat rozmów w naszych środowiskach. Uderzające jest to, że do zobrazowania romskiego osiedla zawsze wybierane są zdjęcia pokazujące brud, szarość, bezbarwność – pornografia biedy. Podobnie jest w innych krajach. Pomyślałam, że powinnam pokazać, jak sama widzę siebie i naszą społeczność. Nie zawsze jest pięknie, ale jeżeli ktoś przyjdzie na takie osiedle, to zobaczy różnorodność, nietypowe ubrania niektórych mieszkańców, barwne, osobliwe w doborze.

Sama lubię być w kolorze. Nie widzę siebie w czerni. Dorastając ciągle słyszałam, że czerń wiąże się z żałobą, pogrzebem, smutkiem i złym samopoczuciem. Pomyślałam, że moje obrazy nie powinny być smutne. Przeciwnie, musi być w nich przepych, mocne kolory, złoto. Muszę wręcz przesadzić. Wiem, że mogą się kojarzyć niedobrze: z tanim folklorem, egzotyzacją, etnicznością. Ale zaczęłam tworzyć temu właśnie na przekór.

Nieraz mówiła Pani, że twórczości artystów o romskich korzeniach nie uznaje się za sztukę, dla której jest miejsce w galeriach sztuki nowoczesnej. Odsyła się ją do muzeów etnograficznych.

Bo tak było. Składałam propozycje wystawy własnej lub naszej grupy Romani Art i słyszałam: nie mamy dla pani czasu ani wolnego miejsca. Lub właśnie proponowano mi zwrócenie się do muzeum etnograficznego. Odnosiłam wrażenie, że nie patrzono na prace, tylko na to, kto je zrobił. A skoro jestem z mniejszości etnicznej, do tego romskiej, to moja twórczość jest częścią etnografii.

Środowisko sztuki współczesnej celebruje otwartość na mniejszości. To tylko deklaracje?

Sądzę, że jest otwarte, tylko nie potrafi sobie z taką twórczością poradzić. Swoją pierwszą wystawę miałam w Muzeum Etnograficznym w Tarnowie. Była dla mnie bardzo ważna. Teraz biorę udział w wystawie „RESIST! Die Kunst des Widerstands" w kolońskim Rautenstrauch-Joest-Museum – Kulturen der Welt, poświęconej kolonizacji i tym, którzy jej się opierali. Nie chcę zatem mówić, że muzeum etnograficzne nie jest miejscem dla mnie. Nie może to być jednak jedyna przestrzeń, w której sztuka moja czy innych romskich artystów jest prezentowana.

W 2007 r. była Pani współzałożycielką wspomnianego ruchu Romani Art. Jak od tego czasu zmieniło się postrzeganie sztuki tworzonej przez Romki i Romów?

Bardzo się zmieniło. Powstały nowe miejsca poświęcone romskiej kulturze, jak berliński The European Roma Institute for Arts and Culture (Eriac). Przede wszystkim jednak zmieniło się nastawienie większości społeczeństwa. Chyba stało się wrażliwsze na to, jak powinno się nas odbierać, o nas mówić i czego nie powinno ↦

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

↦ się robić. Chociaż mój pomnik Romów zamordowanych w 1942 r. w Borzęcinie Dolnym został w 2016 r. zniszczony.

Angażowała się Pani w inicjatywy społeczne. Nie bała się Pani, że aktywizm zje Panią jako artystkę?

Był czas, kiedy zajmowałam się wyłącznie aktywizmem. Nie malowałam i nie rysowałam. Nagle dostałam propozycję własnej wystawy i uświadomiłam sobie, że nie mam czego na niej pokazać. To był moment, w którym stwierdziłam – nadal będę działać, ale zajmować się muszę przede wszystkim sztuką. Zapraszać artystów, ale też sama tworzyć. Ciężko jest oddzielić działalność aktywistyczną od sztuki, te dwie aktywności łączą się ze sobą, przenikają i wzajemnie na siebie wpływają. Rozmawiałam o tym z moimi przyjaciółmi. Ich działania artystyczne były wyrazem protestu przeciwko sytuacji Romów. Ja nie potrafię krzyczeć. Pomyślałam, że to, co mogę robić, to opowiadać o swojej społeczności, pokazywać, jak sami siebie widzimy. A narzędziem, które wykorzystuję, jest sztuka.

W Pani pracach szczególne miejsce zajmują kobiety.

Namalowałam też wszystkich swoich wujków! I inne obrazy, na których byli mężczyźni. Jeżeli jednak przebywasz w romskich osiedlach i widzisz świat, w którym mężczyzna o wszystkim decyduje, to tylko pozorne wrażenie, bo tam kobieta jest – tak naprawdę – silną osobowością. Ona ponosi odpowiedzialność za rodzinę, dba o dzieci, decyduje o edukacji. Pomyślałam, że to niesprawiedliwe. Wiem, że ten patriarchalny system i brak równości wywodzi się z naszej kultury, jednak nie różni się tak zasadniczo od kultury większościowej. Nie zgadzam się z tym i staram się jakoś przeciwdziałać.

W borzęcińskim pomniku – tym zniszczonym – wykorzystała Pani drewno. Dlaczego nie kamień czy brąz?

Adam Bartosz, który poprosił mnie o zaprojektowanie pomnika, od razu powiedział: mamy mało funduszy. Może wystarczy kamień? Co roku jeździłam do Borzęcina na Międzynarodowy Tabor Pamięci Romów. Znałam to miejsce i pomyślałam, że pomnik powinien stać się częścią lasu, w którym

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

stanie. Niekoniecznie musi być „na zawsze". Przeciwnie, to upamiętnienie powinno żyć, starzeć się, próchnieć, obrastać mchem. Stać się integralną częścią miejsca, w którym Romowie zostali zamordowani. Dlatego pierwszym materiałem, który przyszedł mi do głowy, było drewno. O kamieniu, betonie czy brązie w ogóle nie myślałam.

Najpierw chciałam wyrzeźbić wielki pień z postaciami. Pomnik miał przypominać przydrożną kapliczkę, ale przeskalowaną do znacznych rozmiarów. Potem pomyślałam, także ze względu na fundusze, o skromniejszej wersji: tablicy z wierszem Papuszy oraz figurami Romki i Roma. Drewno zostało jedynie pokryte olejem i zaczęło żyć własnym życiem. Zmieniło kolor i tak dalej. Bardzo mi się to podoba.

Pomnik pomógł w opowiedzeniu o losie Romów w czasie II wojny?

Obracam się w środowisku, w którym wszyscy znają ich historię. Wielu moich przyjaciół zajmowało się miejscami pamięci. Jednak okazuje się, że wiedza o Samudaripenie – eksterminacji Romów – nie jest wielka. Podczas mojej wystawy „29. ćwiczenia ceroplastyczne" w ubiegłym roku w Orońsku podeszła do mnie pani i powiedziała: „Dziękuję! Nie wiedziałam, że Romowie w czasie II wojny światowej byli mordowani w lasach. Nie wiedziałam, a to część naszej, polskiej historii".

Do tej pory nie wykryto sprawców zniszczenia pomnika w Borzęcinie.

Moim pierwszym odczuciem, gdy się o tym dowiedziałam, był strach. Nie myślałam o pomniku, tylko o swoich dzieciach. Zaczęłam myśleć o bezpieczeństwie mojej rodziny. To był symboliczny akt przemocy, ale właśnie tak zaczynały się pogromy, jeśli nie zareaguje się na czas, jeśli będziemy udawać, że nic się nie stało. Zaczęłam się zastanawiać, czy może lepiej byłoby opuścić Polskę. Potem się uspokoiłam. Pomyślałam, że pojadę i zbiorę szczątki pomnika. Wcześniej zrobił to Adam Bartosz, a podczas kolejnego Taboru Pamięci przekazał mi ocalałe fragmenty.

Zniszczenie pomnika odbiło się szerokim echem. Powstał w tej sprawie apel ludzi kultury, a potem otrzymaliśmy środki z kancelarii prezydenta. Nie było też wątpliwości, że pomnik trzeba odbudować. Zrobiłam nowe postaci Roma i Romki. Udało się też wykorzystać dawną tablicę. Pomnik powstał na nowo.

Pozostały też szczątki pierwotnego monumentu. Co sprawiło, że ostatecznie Pani je pokazała?

REPR. MACIEJ ZANIEWSKI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

Obok: z cyklu „Out of Egypt", tkanina, 230x242 cm, 2021 r.

Po lewej: z cyklu „Herstories", 2019–21, Autostrada Biennale na budynku Uniwersytetu Anadolu. Turcja, lipiec 2021 r.

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

Zinet Galushi, gospodyni domowa. Z cyklu „Herstories" 2019-2021, patchwork, 250x450 cm

Kilka osób chciało dostać te szczątki jako relikwie. Zabrać je do domu. Nagle sobie uświadomiłam, że te fragmenty mają energię lasu i tego, co w nim się wydarzyło. Są śladem po wojennej zbrodni, ale też po zniszczonym upamiętnieniu. Pomyślałam, że muszę je zachować. Nic więcej nie mogłam z nimi zrobić.

Musiało minąć kilka lat, bym się zdecydowała pokazać te szczątki. Jednak tylko ich odlewy. Myślałam o różnych materiałach: mydle, ceramice. Szukałam materiału, który coś znaczy dla Romów. Ostatecznie wybrałam wosk, w mojej kulturze bardzo ważny. Uważa się, że ma on magiczną siłę i moc. Podczas pogrzebów był wlewany do grobów. Ale jest też ważny w innych kulturach. To z niego przecież wykonywano maski trumienne.

W ostatnich swoich pracach sięgnęła Pani do korzeni wyobrażeń o Romach w Europie, do słynnego XVII-wiecznego cyklu Jacques'a Callota „Les Bohémiens", jednego z wybitniejszych przykładów grafiki, a jednocześnie opartego na stereotypach. Dlaczego właśnie po nie Pani sięgnęła?

Najważniejszym powodem jest jeden z tekstów, który im towarzyszy. Ostrzeżenie, by uważać na taką grupę nomadyczną. Callot przestrzega, by pilnować swojego portfela. To bardzo piękne grafiki i... bardzo antyromskie. Gdybym nie wiedziała, kto na nich jest przedstawiony, pewnie nadal bym je podziwiała. Tymczasem przedstawiony w nich obraz Romów wpłynął na to, jak przez stulecia jesteśmy postrzegani. I pomyślałam: jeżeli od tak dawna trwa ten stereotyp, to ile potrzebujemy czasu, by go zmienić? Tym bardziej trzeba zacząć to robić.

Wybrałam elementy z tych grafik. Zawłaszczam je i na swój sposób przetwarzam. I mam wrażenie, że przedstawionym postaciom oddaję godność. Jednak nie wszystkimi przedstawieniami jestem gotowa się zająć. Nie potrafię np. przedstawić kobiety, która rodzi. Dla nas, Romów, to tabu.

Co dziś należy zrobić z takimi przedstawieniami: odrzucić je czy spróbować przyjąć i inaczej o nich opowiedzieć?

Nie powinno się ich odrzucać. Kurator, z którym współpracuję – Wojciech Szymański – policzył przedstawienia Romów od XV wieku. I znalazł ich tylko około stu. To jest jedyny wizerunek naszej społeczności: tendencyjny, zazwyczaj krzywdzący lub infantylny. Na pewno nie uwzględnia naszej, romskiej perspektywy. Nie możemy jednak cofnąć czasu.

Czy o Romach trzeba na nowo opowiedzieć?

Niedawno w gronie romskich aktywistów doszliśmy do wniosku, że przyszedł już czas, by zacząć weryfikować, czy raczej urealniać to, co zostało o nas powiedziane. I co ważne, chcemy sami o sobie mówić. Osoba z zewnątrz, chcąc nawet bardzo uważnie nas opisać, zawsze doda coś od siebie. Jej wyobrażenia o nas przeplatają się z naszą rzeczywistością. Jerzy Ficowski podróżował z jedną grupą – Polska Roma, i trochę przez pryzmat tej grupy opisał grupę, do której sama przynależę: Karpackich Romów czy Bergitka Roma. Stworzył dość uniwersalne wyobrażenie Roma. Mówi się o nas jak o jakiejś jednolitej grupie, a to bardzo różne społeczności!

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

ULF ANDERSEN / BE&W

Jaan Kaplinski, 1993 r.

Pokłon żurawiom

KRZYSZTOF CZYŻEWSKI

Jaan Kaplinski nie szukał pocieszenia w pytaniach o nieśmiertelność duszy. Lękał się, że ostanie się z niej tylko wędrowny żebrak, wypraszający od dobrych ludzi grosz albo uśmiech.

Widziałem fruwające wokół głowy Jaana białe motyle nocy. Opowiadał mi, że przylatują do niego we śnie i że słyszy wtedy słowa wypowiadane po rosyjsku. Siedzieliśmy w kawiarence w Tartu. Był kwiecień, ale w powietrzu czuło się jeszcze zimę, a siekący deszczem wiatr pokrywał lodem wysokie hałdy śniegu.

Jaan Kaplinski poszedł za głosem snów. On, bard i senator niepodległej Estonii, sygnatariusz słynnego listu czterdziestu intelektualistów protestujących w 1980 r. w tej sowieckiej republice przeciwko zniewoleniu języka narodowego, w późnym wieku zaczął pisać wiersze po rosyjsku, w języku przez niemałą grupę mieszkańców jego kraju wciąż uznawanym bardziej za mowę okupantów niż współobywateli.

Umarł w sierpniu tego roku.

Wszystko kończy się rozłąką

W dniu jego śmierci w Tallinie odbył się pogrzeb Ireny Veisaitė – sejneńskiego Człowieka Pogranicza i osoby, od której po raz pierwszy usłyszałem o Jaanie. Litewska literaturoznawczyni i teatrolożka, Żydówka ocalała z Zagłady, zmarła na covid w grudniu 2020 r. w wieku 92 lat – teraz urnę z jej prochami złożono do grobu jej męża Grigorija Kromanowa, reżysera „Ostatniej relikwii" i „Brylantów dla dyktatury proletariatu". To jedne z tych filmów, dzięki którym okres sowiecki nie był dla Jaana wyłącznie czasem zniewolenia i pustki duchowej. Narażał się czasem, zwłaszcza młodym Estończykom, przestrzegając ich przed jednostronną oceną tamtej epoki.

Był pisarzem, filozofem i poetą, dla wielu godnym Nagrody Nobla. Tak uważał Czesław Miłosz, który zgłaszał go Akademii Szwedzkiej i tłumaczył jego wiersze. Przypadek, a raczej wyrok Historii sprawił, że nie został poetą polskim. Nosił nazwisko ojca, Polaka z frankistowskiego rodu, zamęczonego w gułagu. Mówił po polsku, doskonale znał polską kulturę i w jego dziele bez trudu odnajdziemy ślady jej oddziaływania. Może kiedyś doczekamy się takiej historii literatury polskiej, w której będzie miejsce dla piszącego w jidysz i po hebrajsku Awroma Suckewera i dla Jaana Kaplinskiego.

Żegnając przyjaciela, powracam do jego książek. Wiersz-medytację o śmierci odnajduję właśnie w tomie poezji napisanych po rosyjsku. „*Non omnis moriar multaque pars mei vitabit Libitinam*". „Nie wszystek umrę wiem że uniknie pogrzebu cząstka nie byle jaka". Tak słowa trzydziestej pieśni z „Carminum Liber tertius" Horacego tłumaczył Adam Ważyk, usuwając z niej imię Libitiny, bogini śmierci. Inaczej Jaan. Nie oczekiwał, że Persefona przeprowadzi go na drugą stronę. Po stronie życia miał wszystko, czego pragnął, łącznie ze snami. W wierszu poprzedzonym mottem z horacjańskiej pieśni rozprawia się z umysłem szukającym ukojenia w pytaniach o nieśmiertelność duszy. Nie pragnął takiego pocieszenia. Lękał się, że z duszy ostanie się tylko wędrowny żebrak, błądzący po rozdrożach życia i wypraszający od dobrych ludzi grosz albo uśmiech, albo

słowa objawienia, a potem już niczego, niczego, „...wszystko kończy się rozłąką...". Jakże by inaczej mogło przytrafić się nam przebudzenie?

„Mogę modlić się do Boga / wskrzesiciela wszystkich wymarłych / z wyjątkiem mnie samego / zostanę po tej stronie / z zeszłorocznym śniegiem / z kwitnącymi jabłoniami tej wiosny / moje wiersze modlitwy i mantry / świtem wiatr rozwieje / na wszystkie strony świata / po drogach-tropinkach po pocztowych skrzynkach".

Ten wiersz pochodzi z tomu „Białe motyle nocy".

List do ojca

Nie potrzebowałem zaglądać do jego snów, by je dostrzec, były częścią jego aury, cichej i świetlistej. Pomagały mu obracać ból w szczęście. Były z nim, gdy śmierć zostawiał gdzieś za sobą, dosięgając głębokiego spokoju. Za dnia stawały się czarne.

Zabrał mnie kiedyś do Mutiku, miejscowości położonej kilkanaście kilometrów na południe od Tartu. Razem z żoną Tiią Toomet w roku 1970 kupili tu stare gospodarstwo, zarośnięte, ogołocone, zdziczałe. W przerwach między podróżami na Wschód, pracą na uniwersytecie, a potem także w parlamencie niepodległej Estonii (1992-95) i Parlamencie Europejskim (zdobył mandat z ramienia partii socjaldemokratycznej), Jaan kultywował ziemię. O każdym posadzonym przez siebie drzewie mówił jak o osobnym losie, który uważnie śledził, sądząc, że drzewa mają swój indywidualny charakter, a także czucie i swoją prawdę do przekazania. Zapamiętałem go z kosą i siekierą pod ręką.

Tutaj Jaan stał się buddyjskim ogrodnikiem, rodzinnym genealogiem, filozofem z równą pasją zgłębiającym nowoczesną naukę i taoizm. W domu strzegł Biblii w języku estońskim wydanej w 1863 r. w Tartu, pozostawionej mu pod opiekę jako rodzinny skarb przez Norę i Arvo Pärtów, gdy w 1980 r. emigrowali na Zachód. Zaglądał do niej tłumacząc z chińskiego „Księgę Drogi i Dobra" Lao Tzu. Tutaj też pisał list do ojca, który przybrał formę osobistej książki inkrustowanej archiwaliami i wspomnieniami zebranymi podczas podróży do Polski.

Przeczytamy w nim zdania cienką kreską szkicujące jego wierny autoportret: „Udało mi się raz nawiązać prawdziwy kontakt z żurawiami, które przylatują tu czasem na pola. Wybierałem się właśnie w stronę szosy, na autobus, minąłem żywopłot, który okala nasz ogród od północy, i na sąsiednim polu zobaczyłem parę żurawi, akurat w trakcie tańca godowego. Wobec tego i ja wykonałem parę tanecznych ruchów, pomachałem ramionami jak skrzydłami i ukłoniłem się im. Dziw nad dziwy – jeden z żurawi mi odpowiedział. Pokłoniliśmy się więc jeden drugiemu kilka razy, po czym para odleciała, a ja ruszyłem do wsi Sulaoja. Było to dla mnie pewnego rodzaju doświadczenie mistyczne, jakby chwilowe ukojenie jakieś pradawnej, wielkiej tęsknoty".

Bard nadbałtyckiego kraju

Nie znałem nikogo, kto byłby tak przygotowany do odejścia, jak on. Nie raz powtarzał, że chciałby już zasnąć. Może teraz powrócił do snu, z którego osiemdziesiąt lat wcześniej został przebudzony?

Stronił od ostro zakreślonych granic, nie ufał ludziom głoszącym absolutne racje. Bliska była mu koncepcja *fuzzy semiotics*, pewnego niedookreślenia tożsamości, niedomknięcia znaczeń. Rzecz nie w tym, że zaciera się w ten sposób centrum, to, co istotne i co nas „istoczy" – wręcz przeciwnie, zatarcie zewnętrznych granic, otwarcie ich na zmieniający się kontekst, na uwarunkowania środowiska pozwala nam być prawdziwie sobą i uwalnia dostęp do pełni sensu.

Jakże by inaczej mógł żyć w prawdzie z sobą samym, człowiekiem o splątanych korzeniach, wielojęzycznym, najbardziej u siebie czującym się w królestwach natury i książek? Od strony matki, Nory Raudsepp, związany był z dziedzictwem ugrofińskim, a zwłaszcza z regionem Võru, słynącym z odrębnej kultury i dialektu. Zdarzało mu się pisać w tym dialekcie, podobnie zresztą jak w języku fińskim. Jest jedynym obcokrajowcem uhonorowanym przez Finów literacką nagrodą Eino Leino.

Jego ojciec Jerzy Kapliński, doktor filologii Uniwersytetu Warszawskiego, przybył do Tartu w 1933 r., by na tutejszym uniwersytecie prowadzić lektorat języka polskiego. Babka Jerzego, Julia z Grabowskich, spokrewniona była z Kazimierzem Przerwą-Tetmajerem i Tadeuszem Boyem Żeleńskim. Nie wyczerpuje to bogatych koneksji rodzinnych, by wspomnieć jeszcze Leona Kaplińskiego, malarza i działacza społecznego związanego z Hôtelem Lambert, czy prababkę Janinę Dziadulewicz, wnoszącą do rodziny domieszkę krwi tatarskiej.

W pierwszym roku życia Jaana jego ojciec został aresztowany przez NKWD i nigdy już nie powrócił. Słuchał opowieści o nim jako Polaku, uczył się polskiego, czytał Sienkiewicza, ale dopiero po wielu latach odkryje jego żydowsko-frankistowskie korzenie. Znajdziemy ich ślad w „Księgach Jakubowych" Olgi Tokarczuk, gdzie pojawia się Chaim Jakub Kapliński i dwie gałęzie jego rodziny, które „wydały z siebie poetów. Jeden z najmłodszych potomków jest poetą węgierskim i dostał ostatnio prestiżową nagrodę państwową. Drugi stał się bardem w jednym z nadbałtyckich krajów".

W homeostazie

Podczas Środkowoeuropejskiego Forum Kultury, organizowanego przez Pogranicze w Sejnach w początkach lat 90., Jaan zadziwił wszystkich twierdzeniem, że zamiast koncentrować się na kwestiach obrony tożsamości narodowych i kulturowych, ludzie powinni poświęcić się walce o odrodzenie ekologicznej homeostazy świata. W tych kwestiach był pesymistą, świadomym zagrożeń, których liderzy polityczni krajów tej części Europy jeszcze przez kolejne dekady nie chcieli przyjmować do wiadomości. „Nic nie jest już święte" – pisał w liście do ojca.

Obserwowałem, jak na przestrzeni lat zmieniał się stosunek Jaana do rodzinnej genealogii i rodzimej tradycji – od fascynacji i odkryć, dzięki którym zgłębiał wiedzę o sobie i poszerzał pole własnej tożsamości, po odwagę pozostawienia tych zdobyczy za sobą, otwarcia się na pustkę, z którą zmierzyć się może tylko lekko odziany podróżny.

Nawet napisane już teksty i młodzieńcze książki zbytnio mu ciążyły, więc lekką ręką oddał bezpłatny dostęp do nich każdemu. I, jakby tego jeszcze było mało, pozwolił na ich zmienianie i uzupełnianie.

Myśl o tym, że zasłużył na wieczną śmierć i że nikt nie będzie mu ofiarowywał życia wiecznego, była dla niego pocieszeniem. Tak pisał w wierszu zamykającym list do ojca. Tej nocy jednak, medytując nad jego śmiercią, odnajduję inne słowa, które najchętniej wygrawerowałbym w kamieniu położonym na miejscu pamięci o nim:

„Po drugiej stronie jeziora / szeleszczą w trzcinie / skrzydła ważek". ©

Ciało pedagogiczne

ANITA PIOTROWSKA

Gdyby lista dialogowa do tego filmu była tłumaczona na polski dzisiaj, z pewnością znalazłoby się w niej coś o cnotach niewieścich.

Ten film jest obrazą ojczyzny! Dobrze, że nie naszej" – w taki sposób reklamuje się u nas rumuński komediodramat „Niefortunny numerek lub szalone porno", zwycięzcę tegorocznego Berlinale. Podobno już sam tytuł (w oryginale brzmi jeszcze zabawniej) stał się problematyczny dla algorytmów wyszukiwarek. I poniekąd słusznie, ponieważ najnowsze dzieło Radu Jude rozpoczyna się kilkuminutowym filmem dla dorosłych. Ale to, co ów amatorski pornos rozpętuje w dalszych częściach fabuły, można bez przesady podsumować hasłem „seks a sprawa rumuńska". Lub zapytać, czy aby na pewno narrator tej historii nie jest Polakiem.

Jude przemienił sprośną komedię w sążnisty esej o swoich (?) rodakach. Główną bohaterką uczynił nauczycielkę z bukareszteńskiego gimnazjum i to właśnie jej małżeńskie igraszki przy dźwiękach „Lili Marleen" oglądamy na samym początku. Okazuje się, że filmik wyciekł do internetu, rozprzestrzeniając się z szybkością wirusa i Emi (w tej roli Katia Pascariu) musi stanąć przed rodzicielskim sądem zwołanym przez dyrekcję szkoły. Ma on zadecydować, czy skompromitowana historyczka będzie mogła nadal uczyć.

Zanim jednak dojdzie do konfrontacji, reżyser zabiera nas na dwie wycieczki krajoznawcze: pierwszą po rumuńskiej stolicy w czasach pandemii, drugą po rumuńskiej duszy na przestrzeni stu ostatnich lat. Bo „Niefortunny numerek..." jest, trzymając się covidowej terminologii, kinem hybrydowym, w którym spotkały się trzy bardzo różne filmy. A nawet cztery, licząc inkryminowaną sekstaśmę. I wszystkie, wespół w zespół, pracują tutaj na wielką narodową diagnozę.

Można sobie tylko wyobrazić, jak się czuje Emi, wędrując po rozgrzanym mieście w oczekiwaniu na szkolne zebranie. Mimo że obowiązują maseczki i trudno o identyfikację, każdy wpatrzony w smartfon przechodzień zdaje się potencjalnym widzem wstydliwego nagrania. Paradokumentalna kamera Mariusa Panduru, stałego współpracownika Judego, bezlitosnym okiem rejestruje codzienne życie dzisiejszego Bukaresztu. Oto miejsce, które utknęło gdzieś pomiędzy epokami, miedzy ruiną a budowlanym rozkurzem, zamienione w świątynię i jednocześnie śmietnik konsumpcji. Sąsiadują ze sobą kiczowate centra handlowe, kantory i salony gier oraz osypujące się zabytkowe kamienice – w jednej z nich kiedyś było kino.

„Duchologia" Bukaresztu przejawia się nie tylko w architektonicznym chaosie, w powszechnej reklamozie i szyldozie, ale także w zachowaniu jego mieszkańców. Przed nami kraj ludzi smutnych i nerwowych. Tylko powierzchownie zmodernizowanych, komunikujących się poprzez pyskówki, narzekania, przekleństwa i samochodowe klaksony, a wszechobecność koronawirusa i związanych z nim ograniczeń nakręca ów stan jeszcze bardziej. Nim bohaterka stanie przed kapturowym sądem, ulica przypomni jej, w jakim żyje kraju. Zdąży jeszcze kupić kwiaty, tomik poezji i łyknąć coś na uspokojenie.

Lecz widownia też musi zostać odpowiednio przygotowana na rozprawę. W drugiej części filmu akcja ulega zawieszeniu i przechodzi w ułożony alfabetycznie raptularz, który w krytyczno-satyrycznej i trochę łopatologicznej formie gromadzi wszystko, co według reżysera buduje zbiorową tożsamość Rumunów. Pojawiają się zatem archiwalia z czasów hitlerowskich i stalinowskich, fragmenty programów telewizyjnych z epoki Ceaușescu, śmieszne i straszne filmiki z YouTube'a, a wraz z nimi cała ikonosfera próżności i głupoty naszych czasów. Roi się tu od różnego kalibru sentencji, np. że dzieci to więźniowie polityczni swoich rodziców, albo że ekran to tarcza Meduzy, pozwalająca zobaczyć okropności tego świata i nie oślepnąć przy tym ze zgrozy. Wzbudza ją przede wszystkim nacjonalistyczna przeszłość Rumunii oraz wyparcie ze zbiorowej pamięci zagłady Żydów i Romów, czyli wątki, które Jude zdążył już przerobić w „Aferim!" (2015) albo „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy" (2018).

Na całość idzie w trzeciej, ostatniej części „Numerka", gdzie oddaje głos rodzicom i dyrektorce elitarnej szkoły, lecz również Emi broniącej swojej racji i godności. Jakże znajomo brzmią oskarżenia pod adresem tej, która przez pechowy wyciek filmu do sieci okryła hańbą ciało pedagogiczne prestiżowej placówki i naraziła na seksualizację jej podopiecznych. Dostajemy zresztą przekrój tej „lepszej", zamożniejszej, na pozór bardziej oświeconej części rumuńskiego społeczeństwa.

Wśród zebranych pojawia się wojskowy i prawosławny ksiądz, jest postępowy intelektualista i obleśnik w garniturze, odzywa się feministka i rasistka, są też ludzie o innych niż biały kolorach skóry, o innym pochodzeniu etnicznym czy wyznaniu. Oczywiście, że reżyser bywa pod tym względem tendencyjny, rozdając role (czytaj: kuksańce) niczym w szopce. Sam zresztą nazywa ten roz-

MATERIAŁ PRASOWY STOWARZYSZENIA NOWE HORYZONTY

Kadr z filmu „Niefortunny numerek lub szalone porno”

dział swojej opowieści sitcomem i do samego końca będzie grał swoim widzom na nosie.

Zręcznie musi balansować Jude (zwłaszcza z takim nazwiskiem, choć w języku rumuńskim wcale nie oznacza ono Żyda), ażeby z narodowego psychoterapeuty nie stać się zwykłym ojkofobem. Bywa wszak prawie tak samo bezwzględny wobec swych bohaterów, jak kołtuński trybunał wobec Emi. Obsadzając go lokalnymi elitami różnych politycznych orientacji, stawia pod pręgierzem niejako całą swoją ojczyznę. Oskarża o homofobię, przesądy, zakłamanie historii i nie jest przypadkiem, że ofiara linczu uczy tego właśnie przedmiotu. Równocześnie w całym skandalu kolosalne znaczenie ma fakt, że jego bohaterka jest kobietą. Gdyby lista dialogowa do filmu była tłumaczona na polski dzisiaj, z pewnością znalazłoby się w niej coś o cnotach niewieścich.

Chwilami diagnoza rozlewa się szerzej, poza granice postkomunistycznej Europy. Choćby wtedy, gdy mowa o tym, czym jest rozróżnienie na prywatne i publiczne w czasach, kiedy przez pandemię zostaliśmy skazani na żywoty wirtualne. I jak nie zwariować w obliczu zalewającego nas zewsząd internetowego ścieku. Najbardziej znajomo brzmi jednak w „Niefortunnym numerku...” opowieść o państwie, w którym uporczywie demonizuje się erotykę, edukację seksualną zaś walkowerem oddano pornografii. A o tym, co się dzieje pod kołdrą, mówi się wyłącznie językiem przemocy, podśmiechujek i obłudnego zgorszenia.

Dlatego mimo przedniej chwilami zabawy gra toczy się o bardzo poważną stawkę. Przerażone oczy Emi spozierające znad maseczki stają się dla rumuńskiego reżysera czymś na kształt owej mitologicznej tarczy, w której odbija się rzeczywistość absurdalna i koszmarna. ©

NIEFORTUNNY NUMEREK LUB SZALONE PORNO *(Babardeală cu bucluc sau porno balamuc) – reż. Radu Jude. Prod. Rumunia/ /Chorwacja/Czechy/Luksemburg 2021. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 24 września.*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

WARTO ZOBACZYĆ

1. Ucieczka na srebrny glob

Dokumentalny, reż. Kuba Mikurda, Polska 2021, mdag.vod, do 3 X

Dlaczego pierwsza polska „opera kosmiczna” pozostała dziełem okaleczonym i spóźnionym, choć w kinie SF lat 70. mogła być rewelacją na skalę światową? Film w ciekawy sposób przedstawia burzliwe okoliczności powstania „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego, z uwzględnieniem wątków politycznych, artystycznych i osobistych.

2. Amatorzy

Dramat, reż. Iwona Siekierzyńska, Polska 2020, Netflix

Zwycięzca konkursu polskiego tegorocznej Off Camery to film pod każdym względem wyjątkowy. Opowiada o trupie teatralnej, którą tworzą osoby z zespołem Downa przygotowujące „Hamleta”. Niepełnosprawność umysłowa przestaje tu być brakiem – staje się artystycznym tworzywem oraz lekcją wrażliwości dla otoczenia i dla widza.

3. Ojciec

Dramat, reż. Florian Zeller, Francja/ /Wielka Brytania 2020, Premiery CANAL+

Anthony Hopkins prezentuje tutaj swój kolejny tour de force. Ale to nie wybitne aktorstwo pozwala zobaczyć świat oczami chorego na alzheimera. Oparty na sztuce scenicznej film tak konstruuje czasoprzestrzeń, byśmy poczuli, czym jest totalne wyobcowanie w znajomych dotychczas miejscach i pośród bliskich dotąd ludzi.

4. Świat, który nadejdzie

Melodramat, reż. Mona Fastvold, USA 2020, iTunes i inne VoD

Może nie jest to „Portret kobiety w ogniu”, ale jeszcze jedna próba opowiedzenia o miłości między dwiema kobietami żyjącymi w opresyjnych czasach. Bardziej powściągliwa, zamknięta w słowach i w pięknych widokach surowego życia na XIX-wiecznej farmie. A w rolach głównych Katherine Waterston i Vanessa Kirby.

JAN

Klata:
Hobbicie życie

Nie ma co ukrywać, owijać w bawełnę, chować pod korcem, czymkolwiek jest korzec – nie jest dobrze. Na światowym nieboskłonie rysują się czarne chmury i tyle. Wirusy, pożary, rolnik szuka żony... Nawet rychłe wyjaśnienie smoleńskiej zagadki przez Pana Antoniego i jego wesołą ekspercką drużynę nie przyniesie nadziei... Jak się nie pogrążyć, ach, jak? Jak zarazem nie dać się pokusie eskapizmu, nie żyć w „nie", nie wyemigrować wewnętrznie?

Odpowiedź do Polski przychodzi z ziemi włoskiej, konkretnie z regionu Abruzzo, gdzie na dwóch hektarach pewien cukiernik urządził sobie Hobbiton. Cukiernik-hobbit, oczywiście, urodzony 37 lat temu jako Nicolas Gentile. Zbudował hobbicią chatkę, hobbicio się przystroił, pyka fajeczkę i patrzy na swój Shire. W pewnym momencie dotarło do niego, że wszyscy jego krewni i sąsiedzi są właściwie hobbitami, wyznają podobne wartości i wiodą hobbicie życie w harmonii z naturą. Postanowił z tego wyciągnąć wnioski.

Pod koniec sierpnia tego roku – trudnego roku, nie zapominajmy – z Shire w Abruzzo wyruszyła Wyprawa Pierścienia: hobbit, krasnolud, czarodziej, elf i kilku ludzi. Dwieście kilometrów wędrówki wiodło do krateru, naturalnie, wulkanicznego, naturalnie, konkretnie krateru Wezuwiusza. Hobbit wrzucił pierścień, aby ocalić świat przed zagładą. A właściwie nie pierścień, tylko, z powodów ekologicznych, kawałek lawy. Pierścieniem został obdarzony jakiś chłopiec napotkany po drodze. Mam nadzieję, że będzie z nim postępował odpowiedzialnie. No, zobaczymy.

Oddajmy głos sprawcy całego zamieszania: „Całe życie czytałem o życiu innych ludzi, w końcu zdecydowałem, by zacząć żyć swoim życiem, jako hobbit. Niektórym się wydaje, że uciekam od rzeczywistości. Bynajmniej, ja rzeczywistość kształtuję". Tako rzecze włoski cukiernik z dyplomem geologa, który przeniósł Shire z przedmieść Birmingham do siebie. Swój entuzjazm wyrazili już Frodo, Pippin i Sam Gamgee. Hobbici wszystkich krajów, łączcie się! ©

Lektor:
Pamięć i więź

▪ *Henryk Wujec*
NADAĆ SENS TEMU ŚWIATU. FELIETONY, WIERSZE, WSPOMNIENIA
Wydawnictwo Znak, Kraków 2021, ss. 272 + fotoalbum.

Nie odnotowuję tu rozmów-rzek z politykami ani też książek o nich, bo to zwykle albo autopromocja i kreowanie wizerunku, albo dziennikarz portretujący polityka zmienia się w hagiografa – nuuudy. A i paszkwile są raczej nudne.
Ta książka jest inna, bo też jej autor i zarazem bohater był wyjątkowy. Naturalnie dobry i otwarty na innych, jakby wyzbyty negatywnych emocji, prawy, uczciwy i odważny, a przy tym – jak to określił Kuba Wygnański – „tytan pracy i mistrz organizacji", wspierany przez swoją wspaniałą żonę Ludkę (byli razem przez pół wieku). Tak, i tacy politycy się zdarzają, choć niestety rzadko. „Jeśli ktoś chce działać publicznie, powinien mieć postawę służby – pisał Wujec.
– Nie po to idzie się do polityki, żeby otrzymać stołek, tylko służyć, a przy okazji – jeżeli ludzie dojdą do wniosku, że on to robi dobrze, to i ten stołek mu dadzą. Polityk, który myśli inaczej, przegrywa całą swoją grę". I jeszcze: „Polityka jest niesamowicie ważna. To odpowiedzialne działanie każdego dorosłego człowieka myślącego o przyszłości kraju i swojego otoczenia, swojej rodziny, dzieci, które zechcą żyć w tym kraju".
Fizyk, pasjonat wybranej przez siebie dziedziny nauki. Chrześcijanin, działacz warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. W 1976 roku współorganizator akcji pomocy robotnikom Radomia i Ursusa, współpracownik Komitetu Obrony Robotników, członek Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Działacz Solidarności, więzień polityczny, uczestnik obrad Okrągłego Stołu, poseł na Sejm RP. Ufff. A przy tym człowiek czujący zawsze więź ze swoimi chłopskimi przodkami i z rodzinną ziemią, Biłgorajem i okolicami. Więzi tej zawdzięczamy książkę, bo jej zrąb tworzą felietony pisane w latach 2009-2020 dla wydawanego w Biłgoraju kwartalnika „Tanew". Wujec opowiadał w nich o swoim rodowodzie, dzieciństwie, wiejskich obyczajach i wyniesionej z domu religijności, postaciach z przeszłości swojej ziemi – a równocześnie analizował wyzwania, które przynosi współczesność, i komentował wydarzenia polityczne. Teksty z „Tanwi" uzupełnione zostały szkicami o Janie Józefie Lipskim, Leszku Kołakowskim i środowisku warszawskich fizyków. Są też wiersze – wyznania porażające prostotą i szczerością. A na końcu – wspomnienie autorstwa Henryka Woźniakowskiego i mowy pogrzebowe wygłoszone przez Krzysztofa A. Meissnera i Jakuba Wygnańskiego. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Słodko-kwaśno

Szesnaście-siedemnaście lat – tyle mniej więcej żyje człowiek, w sensie życia na nowo, na świeżo, tyle lat akumuluje marzenia, doznania i zadziwienia. Wszystko, co potem, to tylko przepracowywanie tego zbioru, wedle własnego temperamentu i jak okoliczności pozwolą. Mając siedemnaście lat umierasz, bo już wszystkiego się dowiedziałeś i przeżyłeś. Poznałeś smak czekolady i kapuśniaku.

Tak mówił kiedyś w wywiadzie Jacques Brel, profesor edukacji sentymentalnej mojego pokolenia, obecnie wyrzucony na aut wraz ze wszystkim, czego nie zaśpiewano po angielsku. Rozumiem i wybaczam, nie ma ludzkiej siły, żeby ktoś spoza frankofońskiego kręgu wymówił gładko i melodyjnie „*on prendra le tram trente-trois*" z piosenki o Magdalenie, która nigdy się nie chce zjawić na randce. A poza tym ironia, której był niepowtarzalnym mistrzem, przestała być przepustką do śpiewania o najczystszych uczuciach. W epoce, w której żeby dostać swoje pięć minut na Facebooku i Twitterze, najlepiej „pojechać" po kimś, przywalić na odlew albo wejść w tryb szyderczy ze spuszczonymi gaciami, ironia staje się podejrzanym klasowo snobizmem.

Nie urodziliśmy się w Belgii, ale sami przyznacie, że zestaw „czekolada i kapuśniak" budzi zaufanie. Znamy te smaki. W dziedzinie czekolady co prawda będziemy niestety wiecznie skazani na status dumnych wedlowskich peryferii, ale co do zup z kapustą w roli głównej, to mamy wybitne osiągnięcia i możemy śmiało postawić naszą dymiącą wazę na wspólnym europejskim stole. Czas zresztą ku temu coraz bardziej sposobny, w miarę jak z ulic znikają ostatnie lekkie sukienki, a potencjał tego wspaniałego warzywa był w naszej rubryce zachwalany tyle razy, że doprawdy nic więcej kreatywnego tu nie wymyślimy.

A może nie trzeba? Rzeczonego wywiadu z Brelem odsłuchałem, żeby sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmi znany cytat o tym, że nie istnieje coś takiego jak talent, jest tylko chcenie. Trzeba czegoś chcieć, a reszta to tylko pot i dyscyplina. Nie znam żadnych artystów, znam ludzi, którzy nad czymś pracują, mówił jeszcze. Praca, robienie czegoś – to u Brela kontrapunkt do stwarzania, kreacji z niczego, mającej konotacje nadprzyrodzone czy choćby magiczne. Nie było, a jest. Trochę to bluźniercze. Mimowolnie, międląc kreację na każdej prezentacji, robimy z siebie małych bogów.

Sam wpadam w tę pułapkę, szukając (i karcąc się, bo nie znajduję) kreatywnych inspiracji, by kapuśniak uczynić bardziej – no właśnie, jakim? Kapuśniaczym? Nie powiemy nic odkrywczego, twierdząc, że kreatywność to podstawowa waluta, za którą można kupić szacunek bliźnich i zadowolenie z bycia w porządku. Nie wiem, skąd się to wzięło, może to jest sublimacja nudy, jaka ogarnia coraz większą liczbę ludzi wykonujących jałowe, pozorne prace służące do podtrzymania w ruchu maszynki wypluwającej nieustannie „wartość dodaną". Dodajemy wciąż i dodajemy, świat puchnie od tego dodawania, a barw i głębi egzystencji to wcale nie przydaje, więc tworzymy sobie chochoł lepszej, dającej spełnienie pracy „kreatywnej" i takowe sektory gospodarki.

A po części to uboczny skutek rozpoczętego już u Platona i jego uczniów rozszczepienia myśli i czynu (spiętych w jedno w greckim słowie techne, oznaczającym sztukę robienia czegoś we właściwy dla danej dziedziny sposób, a więc także poznanie i rozumienie reguł danej roboty). Upośledzone przez to „rzemiosło" (i każda inna ręczna produkcja) zostało przeciwstawione uwznioślonej „sztuce". Rzemieślnik robi, artysta tworzy. Język jest uparty i próbuje przerzucać mosty, tworząc np. pojęcie „rzemiosła artystycznego", nad którym rzadko się zastanawiamy, a szkoda.

Czym ono jest lub może być, najłatwiej chyba zrozumieć w kuchni. Tam chyba najprościej wyjść z platońskiej pułapki, scalić pracę rąk z wiedzą i pracą umysłu – wolną w granicach danej dziedziny. Nie mogę już słuchać o kreatywności kucharzy. Ich wyścig ku zadziwieniu, narzucany przez większość kanałów kulinarnych, dawno poprowadził na manowce – albo głupich pomysłów, albo narzucania kreatywnej narracji temu, co jest po prostu robotą wykonaną zgodnie z regułami sztuki. To zresztą nie znaczy, że nie można oceniać i porównywać efektów. Pasja, uważność, składniki, osobiste dodatki, przypadek – to wszystko sprawia, że kapuśniak kapuśniakowi nierówny, i nikt nie broni kucharzom walczyć o sławę i uznanie należne człowiekowi, nie demiurgowi.

Niech ludzie robią stare zupy, a bogowie – jeśli zechcą – stwarzają nowe światy. Mam tylko do nich prośbę: następnym razem niech pozwolą człowiekowi pomarzyć nieco dłużej niż tylko siedemnaście lat. ©℗

Zanim poddacie się techne waszych mam i babć, by zrobić niekreatywny kapuśniak, mogę wam podsunąć jeden z wariantów, który robię parę razy do roku, kiedy akurat utrę kawałek parmezanu do końca i zostaje mi z niego skóra. Nie jest to warunek konieczny, możemy dodać na koniec tarty ser i smak będzie mniej więcej ten sam – ale to piękny przykład zero waste. Kroimy na talarki 1 cebulę, szklimy na małym ogniu w dużym garnku na paru łyżkach oliwy. Zwiększamy ogień, wrzucamy 2 duże lub 3 małe ziemniaki, obrane i pokrojone w kostkę, oraz stopniowo pociętą w grube paski średnią główkę włoskiej kapusty. Dusimy parę minut, mieszając energicznie. Solimy, przyprawiamy szczyptą mielonego kminku (zamiennie pasuje też tymianek) i wedle uznania pieprzem. Zalewamy gorącym bulionem warzywnym lub wodą tak, by ledwo przykryła warzywa, dodajemy skórę od parmezanu, przykrywamy. Gotujemy ok. 20 minut, aż warzywa będą bardzo miękkie. Wyjmujemy skórę od sera, miksujemy zupę. Na wydaniu można polać oliwą i dodać wędzonej papryczki.

JRP STUDIO / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

PRĘDKOŚĆ IDEALNA

ŁUKASZ SUPERGAN, PODRÓŻNIK:

Dystans z Warszawy do Poznania, który przeszedłem w dziesięć dni, samochodem można pokonać w trzy godziny. Ale wtedy widzisz głównie ekrany.

BARTEK DOBROCH: Wędrowca wypada zapytać: skąd przychodzisz?

ŁUKASZ SUPERGAN: Tym razem przyjechałem. Trudno powiedzieć dokładnie skąd, bo po sześciu tygodniach w Kirgistanie pod Pikiem Lenina i Chan Tengri ostatnie dwa spędziłem z mieszkającymi za granicą rodzicami i siostrą. Przez pandemię byliśmy odcięci. To pierwszy od dwóch miesięcy dzień w domu.

Spotykamy się w nim, choć powinniśmy raczej na szlaku.

Niedaleko stąd biegnie Główny Szlak Beskidzki. To nieplanowane, choć trochę znaczące, że gość, który chodzi na długich dystansach, zamieszkał obok najważniejszego polskiego szlaku długodystansowego. Do wypraw musiałem trenować w górach. Tu patrzysz na pewne rzeczy inaczej. Jako chłopak wychowany w dużym mieście pierwszy raz w życiu doświadczam wykluczenia komunikacyjnego. Budzisz się w niedzielę i nie możesz wyjechać ze swojej wsi, bo nic tędy nie jeździ.

I tak zaczyna się opowieść o chodzeniu. Zanim sięgnąłem do Twoich „Szlaków Polski", krajowe trasy długodystansowe kojarzyły mi się ze studenckimi wędrówkami po górach lub pielgrzymkami. Zaskoczyło mnie, jak wiele takich marszrut prowadzi po niżu.

Przez długi czas chodzenie na długie dystanse było pasją parunastu osób w Polsce, które przemierzały szlaki w Europie, Stanach czy Nowej Zelandii. Oczywiście ludzie przechodzili Głównym Szlakiem Beskidzkim, ale po tym wyczynie już do takiego chodzenia zazwyczaj nie wracali. Patrząc na ostatnie dwa lata, widzę, jak popularne stały się długie dystanse. Dotyczące ich internetowe grupy dyskusyjne rozrosły się dwudziestokrotnie, ale nie widzę na nich relacji z przejść nizinnych szlaków.

95 proc. opowieści dotyczy jednego szlaku – GSB właśnie. Frekwencja na nim jest duża, to już nie sto, ale setki, może ponad tysiąc osób w sezonie. Gdy wychodzisz w weekend na główny grzbiet Gorców, na Lubaniu jest cała masa ludzi, ale od kwietnia do października regularnie dostrzegasz charakterystycznych typów z większymi plecakami i iskrą w oku, albo już bez niej, bo są w połowie drogi i wyglądają końca.

Górskie trasy, jak GSB, znane są choć ze słyszenia, co innego Suwalski Gigant, szlak Miedzichowo–Bytom Odrzański, Szlak Jury Wieluńskiej.

Dopiero gdy zacząłem zbierać informacje, zobaczyłem, ile tych szlaków jest. Te na nizinach bywają wręcz zapomniane, zdarza się, że nieoznakowane na odcinku 10-15 km, jak szlak biegnący w rejonie Zielonej Góry. Chciałem nie tyle ulżyć górom, co przesunąć trochę frekwencję na niziny.

ŁUKASZ SUPERGAN / ARCHIWUM PRYWATNE

Widok na dolinę Dunajca z Trzech Koron, przez które przebiega liczący 184 km szlak Tarnów–Wielki Rogacz. Maj 2020 r.

Dlatego wybrałeś formę przewodnika, a nie reportażu podróżniczego, jak wcześniej, gdy pisałeś o wędrówkach Łukiem Karpat i przez góry Iranu?

Trudno byłoby mi tak opisać polskie wędrówki. Zdarzało mi się przejść dość popularnym Szlakiem Orlich Gniazd i to nie był materiał na reportaż, bo to formuła dobra, gdy coś cię zaskoczy, zadziwi. Nie chciałem też, by moje wrażenia były na pierwszym miejscu. Zależało mi natomiast, by w książce szlaki te przebiegały przez każde województwo, choć w lubuskim bardzo trudno było znaleźć jeden długi, w innych, jak w Małopolsce, jest ich cała masa, a najwięcej chyba na Śląsku. Co też jest ciekawe, bo ze Szlaku Powstańców Śląskich widać tereny przemysłowe i prowadzi on przez miasta, które są jednymi z najbardziej skażonych w Polsce. Pierwotny plan zakładał opisanie ponad sześćdziesięciu szlaków, ale na opisanie trzydziestu potrzebowałem pół roku pracy.

I zebrania doświadczeń, bo niektórymi ze szlaków przechodziłeś przed laty.

Nawet jeśli przeszedłem szlak w 2016 r., to moja wiedza jest nieaktualna. Mogło się zmienić oznakowanie, przebieg. Jako absolwent ochrony środowiska jestem nakierowany na dziką przyrodę, z którą w Polsce kojarzymy wschód z Podlasiem i Roztoczem. W całej okazałości spotykasz ją jednak także w zabudowanej, wydawałoby się, centralno-północnej Polsce, blisko dużych miast, na szlaku w rejonie Poznania, przez Pojezierze Wielkopolskie, czy Szlaku Brdy, koło Bydgoszczy. Ale pisanie o szlakach na Podlasiu czy Ziemi Lubuskiej czy o Szlaku Kopernikowskim łączącym Olsztyn, Elbląg, Frombork było także lekcją historii. Podobnie jak może być nią świadome wędrowanie. Można spędzić miesiące, wgłębiając się w historię jednego pałacu od dawna leżącego w gruzach. A na szlaku jest takich pałaców dziesięć czy piętnaście. ↦

↦ **Jaką trasę można uznać za długodystansową?**

To subiektywne. Są też różne definicje. W mojej książce przyjmuję bardzo szerokie kryterium i najkrótsza opisana trasa przez Puszczę Kampinoską ma 56 km. W Wielkiej Brytanii szlak długodystansowy ma powyżej 50 mil, czyli 80 km, w sumie niedużo.

Można przejść w dwa dni.

Jak się ma mocne nogi, mały bagaż. Ale dla mnie długi dystans zaczyna się, gdy planuję nie tylko sam marsz i biwaki, ale muszę wziąć pod uwagę, jak rozłożę siły psychiczne. Jeżeli idziesz spokojnie i co pewien czas odpoczywasz, możesz iść tysiącami kilometrów. O ile wytrzyma twoja głowa. Nawet bardzo piękny szlak będzie miał trudności, a ty będziesz mieć okresy złego samopoczucia. Łatwo powiedzieć wtedy: dalej nie idę. Ale tak jak trenuje się siłę fizyczną, można wytrenować też psychikę. Gdy wychodzę na szlak, jest błoto, zła pogoda, mam ochotę wrócić, zadaję sobie pytanie: czy miałem taki moment na jakimś innym szlaku? Jeśli z kolei cały swój animusz, optymizm zużyjesz w Bieszczadach, a do końca polskich Beskidów zostanie ci jeszcze 400 km, może się okazać, że będziesz psychicznie wydrenowany. U mnie konieczność dawkowania tych sił zaczyna się od 500 km, GSB byłby więc jedynym szlakiem długodystansowym, jaki mamy w górach. Każdy musi znaleźć ten dystans sam, dla każdego będzie znaczył coś innego.

Te szlaki są czasem kombinacją szlaków turystycznych, a czasem pokrywają się z trasami pielgrzymkowymi.

W Polsce jest prawie 40 dróg św. Jakuba, ale wiele z nich to małe fragmenty o symbolicznej długości. Albo drogi takie jak Camino Polaco, który na terenie Polski zaczyna się na granicy z Litwą, idzie na skos, by na zachodzie połączyć się z bardziej rozwiniętą siecią i stać się Drogą Wielkopolską. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby opisać szlaki pielgrzymkowe, natomiast Via Regia jest jedynym długim, który prowadzi przez całą Polskę pod tą samą nazwą.

I oznakowanym.

Nieprzesadnie, daleko mu do tego w Hiszpanii, gdzie możesz iść w środku nocy i nie zabłądzisz bez światła, bo tak często widzisz te muszle. Ale jest dobrze opisany. Poza tym wyjątkiem wybierałem szlaki turystyczne PTTK lub te poprowadzone w parkach narodowych.

Część z tych szlaków można pokonać na rowerze. Co zmienia chodzenie na takich dystansach?

Dystans z Warszawy do Poznania, który idąc do Santiago de Compostela przeszedłem w ponad dziesięć dni, zatrzymując się, spotykając z ludźmi, samochodem można pokonać w trzy godziny, ale widzisz wtedy głównie ekrany akustyczne. Dla mnie ta prędkość wędrowania, trzy-cztery kilometry na godzinę, jest idealna do poznawania świata. I by móc się w momencie zatrzymać i zacząć rozmawiać z kimś spotkanym na poboczu drogi. Jeżeli idę przez wieś – zakurzony człowiek z plecakiem – i spotykam człowieka, który idzie też zakurzony z widłami, i zaczynamy rozmawiać, to w tym momencie jesteśmy równi. Element oddalenia się, wędrówki, pielgrzymki jest wspólny dla wszystkich ważnych religii. Choć nigdy nie uczestniczyłem w pieszych pielgrzymkach, nie przypisuję siebie do żadnej religii, to wędrówkę do Santiago przed ośmiu laty nazywam pielgrzymką.

Agnostyk wyrusza tam w poszukiwaniu sensu?

Zdałem sobie sprawę, że w średniowieczu ludzie nie mieli lotów WizzAira do Barcelony, ale wychodzili z własnego domu. Myślałem: jak by to było wyjść na ten szlak z własnego domu? Może to siła wyższa, a może podświadomość powodowała, że wybierałem trasy, szlaki, miejsca, które w danym momencie były mi do czegoś potrzebne. Miałem w tym marszu momenty medytacji, innym razem długie rozmyślania, co chcę robić dalej, bo rzuciłem pracę, spędziłem dwa lata w Azji, wróciłem kompletnie spłukany, bez mieszkania. Podczas wędrówki takie pytanie mielisz jak w młynku przez parę godzin i odstawiasz, a ono codziennie powraca. Była to droga do wnętrza siebie. Do Hiszpanii doszedłem już z otwartą głową. Po trzech miesiącach zacząłem iść z ludźmi. Po czterech dociągnąłem do Santiago i do przylądka nad oceanem. Ale nie czekała tam nirwana, objawienie. Tam nie ma dosłownie nic, robisz w tył zwrot i wracasz. Ta katedra i ta latarnia morska to są tylko drogowskazy. Może to górnolotne, ale wędrówki długodystansowe są jak życie. Idziesz od czerwonej kropki do czerwonej kropki, ale ona nie jest sensem tego szlaku. Na szlaku jesteś teraz, warto iść nie poganiając siebie.

Świecka, choć parareligijna pielgrzymka, na której Boga zastępuje natura? Historia? Sama droga?

Albo ludzie. Kiedyś zdałem sobie sprawę, że w góry chodzę tak, jak ludzie chodzą do kościoła. Są one dla mnie źródłem przeżyć, których ludzie doznają dzięki religii. A gdybym mógł znaleźć coś wspólnego dla moich pieszych tras, to jest tym czymś pustka. Czy to na Islandii, czy na terytoriach palestyńskich, chciałem być sam w dziwnym, pustynnym, czasem mroźnym, czasem upalnym otoczeniu. Ale paradoksalnie podczas dwóch wypraw – przejścia Iranu i przejścia Izraela – od których oczekiwałem, że będę szedł całe tygodnie sam na pustyni, odkrywałem ludzi. W Iranie tłumaczyli mi ten kraj, pozwolili zajrzeć za jego kurtynę, w Izraelu stali się esencją pustynnego szlaku, który, ku mojemu zaskoczeniu, był regularnie przez nich odwiedzany.

Wybór samotności ma pomóc intensywności takiego spotkania, wynika ze względów pragmatyczno-logistycznych czy z introwertycznej potrzeby?

Ze wszystkich trzech. Rzeczywiście lubię chodzić sam. Mogę spotykać na szlaku ludzi, ale nie chcę mieć towarzysza. Samotny wędrowiec może podejmować większe ryzyko, ale jest też bardziej czujny i unika syndromu zbiorowego myślenia. Dwie osoby są już grupą, która tworzy bańkę. Część uwagi zwracamy do jej środka. A jeżeli chcę, żeby moje zmysły były wyczulone – nie na ryzyko, ale dostrzeganie szczegółów – to muszę być sam. Zacząłem chodzić po górach z moją mamą, potem z nią i jej znajomymi, a mając 18 lat pojechałem sam i tak zostało. Pierwsze doświadczenie głębokiej samotności miałem na Łuku Karpat, gdy przez tydzień wędrowałem z dala od miast, spotykając w tym czasie trzy osoby, w tym dwóch pasterzy. Ta samotność była naprawdę przejmująca na starcie, ale z czasem ją polubiłem.

A co każe Ci wracać na te same trasy, jak na trawers Islandii czy Łuk Karpat?

Za każdym razem co innego. Łuk Karpat był niewyrównanym rachunkiem. W 2004 r. moje doświadczenie było bardzo skromne. Przed tą trasą, która liczy 2200 km, przeszedłem tylko polskie Beskidy od Bieszczadów po Beskid Śląski. Miałem słabe doświadczenie nawigacyjne, źle dobrany sprzęt, bardzo ciężki plecak, złe jedzenie. Czułem, że warto byłoby zrobić to zupełnie inaczej, lekko, spokojnie, nie gubiąc się. Islandia była po prostu piękna. Idąc tam latem zastanawiałem się, jak musi wyglądać zimą. Wracając, dostrzegasz szczegóły wcześniej niedostrzegane.

Wróćmy do Polski. Można tu jeszcze przeżyć przygodę?

Może nie mrożącą krew w żyłach, ale dla każdego te szlaki będą przygodą w sensie osobistym. Albo chociaż zaskoczeniem, jak moment, gdy idąc Szlakiem Brdy na Kujawach zobaczyłem rzekę o górskim charakterze.

Można też doświadczyć strachu. Przed zwierzętami, ludźmi, czymś nieokreślonym. Bo wiele z tych szlaków wymaga biwaku.

Lasy Państwowe dopiero od tego roku zaczęły się otwierać na biwakowanie w nich, a wiele wyznaczonych miejsc biwakowych to parkingi przy granicy lasu, drogi, gdzie rozbijając się możesz liczyć na nocną imprezę lokalnej kawalerki. Niektóre z tych szlaków da się przejść korzystając nie tylko z pensjonatów, schronisk, agroturystyk, ale także z wiat i deszczochronów. Inne aż proszą się, by mieć ze sobą własne schronienie.

Wędrowanie jest też lekcją minimalizmu?

Jeżeli byłem w stanie przejść Europę z 35-litrowym plecakiem, choć zaczynałem od Łuku Karpat ze 105-litrowym, to chyba ją odrobiłem. Szlak długodystansowy zmusza do tego. Każdy kilogram w pewnym momencie zaczyna ważyć dużo więcej, niż ważył na początku. Tarp – płachta rozmiaru dwa na dwa i pół metra – to całe schronienie, z którym przeszedłem kilka polskich szlaków. Na Głównym Beskidzkim miałem tylko śpiwór. Liczyłem na dobrą pogodę i była – spędziłem osiem nocy pod gołym niebem, tylko dwie w schronisku. Cała kultura szlaków długodystansowych wywodzi się ze Stanów, gdzie jest Szlak Appalachów, chyba najbardziej znany na świecie, i z niej wyszedł minimalizm w sensie dążenia do lekkości. Długie dystanse są świetną lekcją tego, jak niewiele potrzebujemy.

Mijany krajobraz jest czasem terra incognita, jak piszesz o terenach na szlaku między Lublinem a Chełmem. „Prawdziwa podróż odkrywcza nie polega na szukaniu nowych lądów, lecz na nowym spojrzeniu" – przywołam z kolei Marcela Prousta.

Gdybyś przeszedł się po kraju i pytał ludzi, gdzie jest Chełm, pewnie wiele osób nie byłoby w stanie go wskazać. Dla mnie te szlaki nie były przygodą na granicy życia i śmierci, ale właśnie nowym spojrzeniem na Polskę. Tę Polskę małych miast i wsi, „zadupi" w sensie pozytywnym, czyli miejsc, gdzie nie znajdziesz atrakcji turystycznej, ale wtopisz się w krajobraz, albo takich, które wydają się być z innego kręgu kulturowego. Gdzie świątynie wyglądają nagle inaczej albo historia miała inny przebieg, niż pamiętamy ze szkoły. Można nawet doznać szoku kulturowego, nie jadąc do Indii, ale idąc sto kilometrów od swojego domu. Tak jak na początku mojej wędrówki do Santiago. Gdzie się nie zatrzymałem po drodze, kilka dni od Warszawy, w Wielkopolsce czy okolicach Wschowy, napotkane kobiety pytały, czy mógłbym zanieść do Santiago ich intencje. Były wypisane na małych karteczkach. Przeczytałem je, bo nikt nie prosił o dyskrecję. Wszystkie co do jednej zawierały tę samą prośbę – o dar trzeźwości dla ojców, synów, mężów. Wiedziałem, że to żadna próba reprezentatywna, zaledwie kilka karteczek, ale zdałem sobie sprawę, że za nimi stoją historie milionów ludzi w całej Polsce.

MAKSYMILIAN ZIELIŃSKI

ŁUKASZ SUPERGAN (ur. 1981) jest podróżnikiem, piechurem długodystansowym, fotografem. Autor książek „Pustka wielkich cisz", „Pieszo do irańskich nomadów" oraz „Szlaki Polski. 30 najpiękniejszych tras długodystansowych". Oprócz dwukrotnego przejścia Łuku Karpat i trawersu Islandii, samotnie przemierzył m.in. łańcuchy gór Zagros w Iranie, Alp, Pirenejów oraz cały Izrael. W 2021 r. dokonał w ciągu 49 dni na dystansie 1098 km zimowego przejścia polskich gór – Sudetów i Karpat.

Spotykałeś też migrantów, którzy pokonywali długie trasy nie z pasji, lecz z konieczności.

Wyjeżdżając w 2015 r. na Bałkany, miałem świadomość, że być może w tym tłumie jest Azad, który przyjął mnie u siebie w domu, albo ludzie, których kiedyś mijałem na ulicach Damaszku. Cały czas mam w głowie setki ludzi, którzy przyjmowali mnie w swoich krajach. Miałem poczucie, że muszę spłacić ten dług i właściwie zawsze będę go spłacał. Stąd moje poczucie, że ludzie, którzy podróżują, powinni być trochę aktywistami, bo kto, jak nie my, może przybliżać tamtych ludzi, gasić strach podsycany przeciwko nim. My robimy szlaki długodystansowe dla frajdy, ale są ludzie, którzy dla ratowania życia piechotą przechodzą setki czy tysiące kilometrów. Zastanawiałem się, jak by to było, gdyby iść z nimi od granicy z Syrią. Obiecałem sobie, że jeśli Syria będzie kiedyś spokojna, to pójdę pieszo do Jerozolimy. Ciekawe też, czy kiedyś powstanie jakiś szlak na pamiątkę wydarzeń, które teraz przeżywamy – np. piesza trasa z Turcji do Niemiec? Choć myślę, że te migracje to dopiero początek, czubek szpilki. Podróżując przez Iran, spotykałem już ludzi, którzy byli wewnętrznymi uchodźcami klimatycznymi, rolników, którzy migrowali do miasta za jakąkolwiek pracą, bo ich pola zmieniły się w pustynię.

A dokąd zmierzasz w swojej wędrówce?

Myślę o szlakach, gdzie można wyjść do ludzi związanych nie tylko z tematyką migracji, ale też zmian klimatu i zmieniającego się świata. Myślałem o przejściu takiego szlaku w Indiach. Myślę też o powrocie na Bliski Wschód – do Libanu i Jordanii, gdzie można spotkać palestyńskich i syryjskich uchodźców. Chciałbym, żeby kolejne wyprawy skupione były na takich ludziach jak ci, którzy do nas przychodzą, przyjeżdżają. To zakręt, w który wchodzę, po latach moich wypraw, za którym będą one miały inny charakter, zahaczający w mniejszym stopniu o góry i przygody, a w większym o ludzi.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz: *Mamutkowo*

Dochodzą nas sygnały, że wespół w zespół Amerykanie z Rosjanami mają wskrzesić mamuta włochatego. Rzecz jasna pomysł jest komentowany bardzo szeroko, a przy sprawach tego typu zawsze wypowiadają się pierw etycy, a niestety na szarym końcu estetycy.

Oczywiście dużo w tej sprawie mówią polscy eksperci, z którymi zresztą nikt nie konsultował ożywiania starożytnego, ale i jakże bajkowego słonia. To nas nieustannie raduje, że polski świat akademicki jest tak ogromnie wygadany, zorientowany i tak wspaniale świadom postępu w naukach przyrodniczych. Szarzy ludzie, to normalne, zastanawiają się zaś – jeśli mają na to chwilkę – do czego mamut włochaty, łażący tam i siam, być może dużego formatu szkodnik niszczący uprawy, albo takoż nieudomowiony zwierzak trudny w pożyciu, mógłby się im przydać. Powiedzieć tu coś sensownego bądź niebanalnego nie sposób, można tylko gdybać.

Ponieważ jesteśmy w Polsce, ponieważ powiedzenie „słoń a sprawa polska" jest wciąż w użyciu, słuszne są cisnące się analogie, że na przykład planowana odbudowa Pałacu Saskiego w Warszawie jest czymś na kształt owej przyrodniczej inicjatywy. Na naszą miarę. Będzie to też mamut, tyle że z cegły i zadaszony. Jest oczywiste, że zamysł budowy ceglanego mamuta jest mniej skomplikowany technologicznie, bo technologie nieskomplikowane są polską specjalnością. Zaawansowanie technologiczne nie jest w Polsce ani popierane, ani reklamowane, ani wspomagane z banalnego powodu: oto nasz Gospodarz jest technologicznie gruntownie wykluczony. Ostatnio – dla przykładu – dowiedzieliśmy się, że o nieprzychylnych mu komentarzach w internecie usłyszał od współpracowników, bowiem on sam z internetu nie korzysta, co zresztą w ogóle nie jest śmieszne, a jest najgłębiej przejmujące. Nie ma dziś w Europie przywódcy podobnie wykluczonego ze współczesności jak Gospodarz III RP. Jeśli ktoś teraz pyta, po cóż te odkrywcze frazy, odpowiadamy – to ilustracja problemu „słoń a sprawa polska".

A więc wspólnymi siłami i naszymi pieniędzmi wesprzemy zaraz, bo jest to już ustawowo klepnięte, budowę mamuta milion razy większego niż ów amerykańsko-rosyjski. Będzie zaprojektowany i wykonany w stylu oczywistym, to znaczy mamucim, przez mamuta polskiej architektury, co wydaje się jasne. A o tym, kto i na jakich zasadach mamuta postawi, nie trzeba chyba pisać. Będą to ludzie biznesu, najbliżsi władzy. Wszystko to razem będzie najpewniej największym pomnikiem polskiej tzw. patodeweloperki i każdy Polak, mały i duży, będzie mógł to sobie dokładnie obejrzeć i sfotografować.

Przez lata bardzo wiele pomysłów zdumiewającej polskiej prawicy uważaliśmy za fantazje bez szans na realizację. Trzeba dziś odkaszlnąć i przyznać, że byliśmy bardzo naiwni. I w ogóle nie mówimy teraz o polityce, nie. Choć chciałoby się rzec, że wszystko jest dziś polityką – każda powieść, wiersz, pomnik, rzeźba, obraz i piosenka, a nawet słynny taniec ludzi władzy z ojcem Rydzykiem. To też jest czysta polityka, bo użycie słowa choreografia byłoby nadużyciem przenośni. No więc chodzi nam nie o politykę, a o gust. O gust władzy. O jego wschodnioeuropejską, najgorszą odmianę w każdej skali – mikro i makro. Gust ocierający się zawsze o gigantomanię, ale uwaga: nie słowo gigantomania jest ważne, najważniejsze jest ocieranie się. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Festiwal im. Zygmunta Haupta

Gorlice

22–26.09.2021

7th Zygmunt Haupt Festival

festiwalhaupta.pl

5 DNI, 22 WYDARZENIA, 31 GOŚCI

TRANSMISJE ONLINE

NA WSZYSTKIE WYDARZENIA WSTĘP WOLNY

Organizatorzy

Patronat medialny

Partnerzy

Sponsorzy

REKLAMA

PRZE
KRÓJ

Poznaj nasze czułe strony

Kup na przekroj.pl cena 28 zł plus koszt przesyłki

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRóJ